

MIESIĘCZNIK

11(62) LISTOPAD 1987 CENA 100 ZŁ

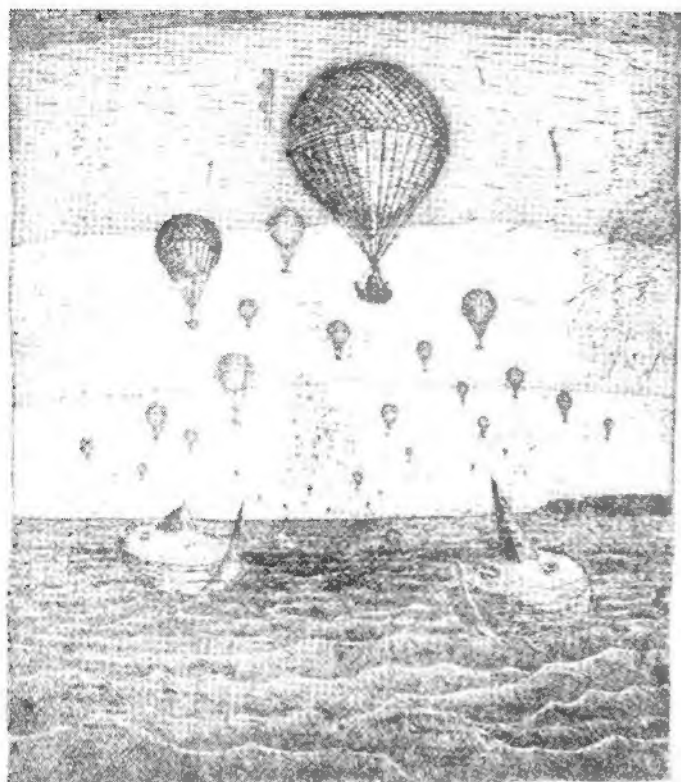
Fantastyka

PL ISSN 0209-1631

NR INDEKSU 35839



HISAKI YASUDA



Futurindusz uczeń Wasy

NAGRODY LITERACKIE „FANTASTYKI”

Z okazji pięćdeciolecia naszej „Fantastyki” jury postanawia, odmiennie niż zazwyczaj, przyznać nagrody osobom, które zasłużyły się szczególnie w propagowaniu polskiej science fiction.

Nagrodę otrzymuje najpopularniejszy obecnie za granicą spośród polskich fantastów (po Stanisławie Lemie), autor dwóch powieści „Homo divinus” i „Adam jeden z nas” oraz wielu zbiorów opowiadań – utworów przetłumaczonych dotychczas na 13 języków – Konrad Fiałkowski.

Nagrodami wyróżnieni zostali także pisarze i działacze zagraniczni: Zdeněk Volný, redaktor naczelny czeskiej „Světové Literatury” w Pradze, pisarz, za systematyczne publikowanie utworów autorów z Polski i not o naszej SF, oraz – Swietłana Michajłowa z WAAP (Wszeczchwiazkowa Agencja Praw Autorskich) w Moskwie za przekazywanie wydawnictwom i czasopismom radzieckim utworów i informacji o utworach autorów polskich i umacnianie przyjaznej współpracy autorskiej między naszymi krajami.

W sierpniu 1987 r. już po raz czwarty obradowało w Warszawie jury dorocznych literackich nagród „Fantastyki”. W skład jury wchodził: Adam Hollanek (red. nac. „Fantastyki”) – przewodniczący jury, Maciej Parowski (kier. dz. prozy polskiej „Fantastyki”) – sekretarz jury, oraz Leszek Bugajski (krytyk), Lech Jeczmyk (kier. dz. prozy zagranicznej), Maciej Hoffman (dyrektor Krajowego Wydawnictwa Czasopism), Maciej Makowski (wiceprezes Polskiego Stowarzyszenia Miłośników Fantastyki), Andrzej Niewiadowski i Jacek Rodek (zastępcy red. nac. „Fantastyki”) – członkowie jury.

Na zebraniu tym, po długotrwałej dyskusji podsumowującej dokonania roku 1986 w dziedzinie science fiction, jury postanowiło zmienić regulamin nagród miesięcznika. Kie-

rując się względami oszczędnościowymi, ale i obawą przed deprecjacją nagród, jury wydłuży okres, za który będą przyznawane nagrody do dwu lat. Nagrody za lata 1986-1987 zostaną przyznane na posiedzeniu jury, które odbędzie się w pierwszym kwartale 1988 roku.

Jury postanowiło wprowadzić też dodatkowe kategorie nagród:

- w dziedzinie popularyzacji polskiej SF za granicą,
- w dziedzinie popularyzacji światowej SF w Polsce,
- w dziedzinie komiksu SF,
- w dziedzinie filmu fantastycznego.

Powyższe decyzje podyktowane zostały chęcią objęcia przez „Fantastykę” większego spektrum przejawów twórczości i działań SF w kraju i na świecie, a jednocześnie obawa,

by przyznawanie nagród za okres zbyt krótki nie zmuszało jury do rozdzielania ich trochę na siłę. Zwłaszcza że w roku 1987 „Fantastyka” rozstrzygnęła obfitujący w nagrody i wyróżnienia konkurs na opowiadanie SF, obejmujący swym zasięgiem również teksty opublikowane w roku 1986.

W dodatku sytuacja w polskiej SF ustabilizowała się na średnim, przyzwoitym poziomie. Powstała wyraźna czołówka, ale nawet autorzy z tego grona coraz rzadziej zaskakują nas i siebie. A przecież nagrody „Fantastyki” winny premiować dokonania w wyraźny sposób nowe, otwierające nieznane jeszcze horyzonty, bliskie doskonałości.

Mimo to jury z radością przyznaje, że i w tym zwyczajnym, średnim roku 1986 dotarły do czytelników powieści, opowiadania, opracowania co najmniej interesujące. W pierwszej fazie dyskusji, zanim została podjęta decyzja o wydłużeniu cyklu nagród, jury rozważało przyznanie nagród i wyróżnień w poszczególnych kategoriach następującym autorom:

W kategorii książki roku 1986

● KONRADOWI FIAŁKOWSKIEMU za powieść „Adam, jeden z nas” (Wydawnictwo Literackie),

● JACKOWI NATANSONOWI za powieść „Złote Brighton” (Wydawnictwo Literackie),

● EMMIE POPIK za zbiór opowiadań „Tylko Ziemia” (Wydawnictwo „Iskry”),

● ANDRZEJOWI ZIMNIAKOWI za zbiór opowiadań „Homo determinatus” (Wydawnictwo Poznańskie),

● WIKTOROWI ŻWIKIEWICZOWI za powieść „Delirium w Tharsys” (Wydawnictwo „Pomorze”).

W kategorii debiutu roku 1986

● WŁODZIMIERZOWI RÓŻYCKIEMU za opowiadanie „Weekend w mieście” („Fantastyka” nr 1/86),

● GRZEGORZOWI BABULI za opowiadania „Rondo” i „Resocjalizacja” (Almanach Literacki „Iskier” nr 4).

W kategorii opowiadania lub noweli roku 1986

● KRZYSZTOFOWI BIELECKIEMU za nowelę „End & Fin Company” („Twórczość” nr 8-86-9-86),

● MARKOWI ORAMUSOWI za opowiadanie „Kompleks Hioba” („Fantastyka” nr 7-86).

W kategorii krytyki 1986

● ANDRZEJOWI KOŁODYŃSKIEMU za prace o filmie grozy „Seans z wampirem” (Wydawnictwa Artystyczne i Filmowe).

Jury prosi, by traktować wymienionych Autorów jako honorowo wyróżnionych

★

Przedstawione ustalenia dotyczą również nagród na działalność klubową. Nagrody w tej kategorii przyznawane będą także w cyklu dwuletnim.



21

Lino Aldani i Daniela Piegai zaliczani są do najwybitniejszych przedstawicieli włoskiej fantastyki. Ich wspólnie napisana powieść „Znak białego księżyca” to tak lubiana przez wielu naszych Czytelników fantasy – odmienna nieco od tradycyjnej „conanowskiej”, ale nie mniej przez to ciekawa.

Opowiadania i nowele

Brian Aldiss
Nie zapytałeś nawet
jak mam na imię

Karl Michael Armer
Okrażenia

4

„Netniki wypuścił strzałę. Gnała do swego celu wydając wściekły, znamionujący jej siłę, dźwięk. Przeszła przez cienki metal ostaniający pierś dowódcy i skonowała między jego zębami...”

12

„W połu jego widzenia pojawiła się wykrzywiona kurczowo ręka. Ogarnęło go przerażenie, kiedy zorientował się, że jest to jego własna ręka, poruszająca się jakby samoistnie...”

Powieść

Lino Aldani i Daniela Piegai
Znak białego księżyca (1)

21

„Gavor, na niewielkim koniu o długiej sierści już pół dnia podążał głównym traktem, prowadzącym do Tharab, gdy nagle wydarzyło się coś dziwnego: parę śniegowych zasp poruszyło się...”

Z polskiej fantastyki

Andrzej Urbańczyk
Paul, dziewczyna,
jej duże oczy i małe piersi

Marek Oramus
Owieczki

45

„Błysk piorunu, który uderzył w ścianę lasu, oślepił mnie. W tym momencie huk dolatującego ze wszystkich stron grzmotu zgniótł ścianę pokoju...”

50

„...najpierw doszło do wydzielenia na większych stłakach sekcji transportowych lądujących na powierzchni Ziemi i przebijających niebezpieczne ładunki, podczas gdy eskorta z palcami na spustach czekała na orbicie...”

Krytyka

Słownik polskich
autorów fantastyki

Polemiki

Recenzje

56

Marek Oramus (ur. 1952) – publicysta, krytyk, autor SF. Na str. 50 fragment jego najnowszej książki „Dzień drogi do Meonii”

56

Wojciech Gutowski i Andrzej Niewiadowski dyskutują o fantastyczności dzieł Tadeusza Micińskiego.

60

Omawiają: Leszek Bugajski i Krzysztof Sokolowski – „Fundację” Isaaca Asimova, Magdalena Szmit – „Delinium w Tharsys” Wiktora Zwikiewiczza, Maciej Parowski – „Tylko Ziemię” Emmy Popik.

Nauka i SF

Gość w Obłoku Magellana

62

„Gwiazda zaczyna jasnieć jak miliard słońc, rozrzedzone strugi materii rozszerzają się nagle w mgławicowy obłok” – Maciej Iłowiecki o jednej z najpotężniejszych katastrof w skali Wszechświata: wybuchu gwiazdy supernowej.

Film i fantastyka

Różne recepty na film SF

64

Czy wyświetlany obecnie na naszych ekranach film „Obcy – decydujące starcie” zdoła dorównać słynnemu obrazowi Ridleya Scotta „Obcy – ósmy pasażer Nostromo”?

Wiele osób sądziło, że polityka cenowa w odniesieniu do książek przywróci szybko równowagę rynkową, że zmusi księgarzy do sprzedaży najwartościowszych utworów nie spod lady, ale w systemie „wszystko do zbycia”: niech zagrają gusty i namiętności. Tymczasem zaczęły się dziać rzeczy dziwne, o których wspominałem już w majowym naszym orbitowaniu – pochód cen wzwyż, ku niedostępnym dla normalnych kieszeni regionom wciąż nie ustaje, książki wyszły istotnie na lady, ale bynajmniej nie wszystkie, a zmonopolizowany ich dystrybutor rozpoczyna wyraźnie nową grę: nic nie mającą wspólnego ze stabilizacją na rynku!

To, co dawniej zamawiał w dziesiątkach czy setkach tysięcy i co bardzo szybko zniknęło z półek, obecnie zamawiane bywa w dziwnie mikroskopijnych ilościach. Co jest u diabła kosmicznego, to już nikt się z czytelnikiem kompletnie nie liczy, gwizdzą panowie księgarze na jego faktyczne zainteresowania i potrzeby, jego namiętności i marzenia? Po staremu zostało tylko jedno – niechlujstwo wydawnicze, książkę kupujesz bracie za wielokrotnie wyższą od dawnych cenę, lecz pozbawiona jest ona najczęściej wszelkich ilustracji, zawarta w lekturowej lepiącej się okładce. Żle skleciona, słabo zszyta. Prawa rynku znowu zostały pogwałcone, a była i jest jeszcze okazja na ich pełne poszanowanie. I niech się panowie księgarze nie usprawiedliwiają, że swoimi jednostronnymi działaniami doprowadzili do wygoszczenia puli papierowej na zwiększenie liczby tytułów, bo to zwiększanie nie jest jeszcze absolutnie adekwatne ani do faktycznego popytu na książki, ani do możliwości naszych twórców: z deszczu nie zawsze w pełni uzasadnionych nakładów o olbrzymich wysokościach zostaliśmy nagle wprowadzeni do szaleństwa i grozy cen (wykrzywiających prawdziwy obraz zainteresowania w Polsce książką). Równocześnie zaczął się wytwarzać swoisty „młot na twórców”. Także i fantastyki. O to nadesłany do naszej rubryki „Ładowanie” list jednego z pisarzy (już znanych i uznanych) science fiction, Marka Oramusa z Myślenic:

Przeczytałem w numerze 5/87 komentarz Adama Hollanka na temat rozpowszechniania książek w naszym



kraju (dotyczy to całej literatury, nie tylko SF). Pan Hollanek ma sto procent racji: księgarze przyzwyczaili się do dystrybucji książek, nie do handlu nimi. W handel, jak wiadomo, trzeba włożyć trochę starań i własnej inicjatywy, a dotąd książki sprzedawały się same. Obecnie, kiedy rynek nieco się nasycił (głównie wskutek wysokich cen, ale to inna sprawa), pojawiła się praktyka zamawiania przez księgarnie dużo mniejszej liczby egzemplarzy niż mogłoby się sprzedać. Sam padłem ofiarą tego mechanizmu: na moją książkę o SF „Wyposażenie osobiste”, którą „Iskry” planowały wydać w 20 tysiącach nakładu, przyszło niespełna 5 tysięcy zamówień. Postanowiłem wyręczyć „Dom Książki” i we współpracy ze Śląskim Klubem Fantastyki zająć się osobiście rozprowadzeniem części nakładu. Czytelników i Kluby proszę o zgłaszanie zapotrzebowania na „Wyposażenie osobiste” (w księgarniach nie będzie) pod adresem SKF lub moim, redakcję o zamieszczenie listu. Łamanie tego monopolu leży chyba w interesie nas wszystkich.

Marek Oramus, ul. Batorego 6
32-400 MYŚLENICE

Życzę oczywiście powodzenia w tej imprezie autorowi książki o fantastyce, którą ma wydać tak znana oficyna jak „Iskry”, jednakże nie jest to na pewno recepta na załatwienie całej sprawy rozpowszechniania książek, jakaś ogólna recepta na nie ustabilizowany rynek. Niepokoi jednakże fakt oddania w pacht księgarzom praktycznie bezwzględnej władzy nad książką! Nie dość bowiem, że przytłaczającą większość tytułów rozprowadza jedna, jedyna firma, to jeszcze ona feruje wyroki według swoich anonimowych gu-

stów i pretensji w odniesieniu do tego co „pójdzie”, a co „nie pójdzie”. Niebezpiecznie zakorzenił się nawyk sprzedaży książek spod lady, bo jakież inne mogą być poza tym nawykiem motywy nagłego ścinania wysokości nakładów o grube dziesiątki procent. Być może tego rodzaju próbną dystrybucją książek, stosowaną w większości krajów Europy, powiodłaby się, gdyby można było dodrukowywać szybko – do małych początkowych nakładów – dodatkowe. Ale przecież to u nas niemożliwe, wprost absurdalne przy naszych kłopotach z poligrafią, która nie jest w stanie, tak, po prostu nie jest i długo jeszcze nie będzie, dodrukowywać, gdy z drukiem tego co już u niej zamówione nie nadąża.

Wszystko to razem ani autorom, ani czytelnikom nie rokuje dobrych nadziei i nie uderza jedynie w autorów słabszych, przeciwnie, bije z większą siłą w tych najbardziej popularnych, rozchwytywanych, między innymi także i w najpoczytniejszego na świecie z żyjących polskich autorów – Stanisława Lema – bez względu na to, czy fantastykę zaliczy się do normalnego, czy nienormalnego nurtu literatury. Zamówienia na książki Stanisława Lema ze strony panów księgarzy również, jak mnie poinformowano, wydatnie spadły.

Kończę ten w gruncie rzeczy alarmistyczny felieton fragmentem listu zaadresowanego do mnie przez pana Jerzego Kupisza z Gdańska (ul. Kościuszki 14/5), który wytykając nam przy okazji nasze błędy i stawiając swoje żądania (jak to zawsze miłośnicy fantastyki z wielką pasją pisze:

(...) Nowe pismo („Fantastyka” – przyp. red.) przyciągnęło rzesze czytelników (i bardzo dobrze), uwypukliło jednak zjawisko, o którym pan pisał: coraz droższe, coraz gorzej wydawane książki polskich wydawnictw były, są i będą kupowane – na co został skazany polski czytelnik, można by to jednak odcierpieć, gdy chodzi o pozycje dobre, poszukiwane i wydane tak, by nie rozsypały się po drugim czytaniu. Brak ilustracji i ciekawej okładki też nie zachęcają do kupowania, a w niektórych przypadkach wołają o pomstę do nieba. (...)

Nic ująć, nic dodać. Sprawy te, wywołujące najwięcej reperkusji czytelnich, zostawiamy do następnych orbitowań.

10-9-8-7-6-5-4-3-2-1-0

Adam Hollanek

WYDZIAŁ LITERACKI **Fantastyka**

Adres redakcji:
00-640 WARSZAWA,
ul. Mokotowska 5/6

Telefony: 25-34-75 (red. nac., sekretariat, działy: techn., graf., literatury polskiej), 25-50-51 (z-ca red. nac., sekretariat, działy: zagr., krytyki).

Redaktor naczelny: Adam Hollanek.

Zespół redakcyjny: Andrzej Brzezicki (kier. działu graf.), Leszek Bugajski, Anna Gładka, Lech Jęczmyk (kier. działu zagr.), Sławomir Kędzierski (z-ca sekr. red.), Zbigniew Latała (fotoreporter), Maciej Makowski (kier. działu techn.), Dorota Malinowska, Andrzej Niewiadowski (z-ca red. nac.), Maciej Parowski, (kier. działu literatury polskiej), Jacek Rodek (z-ca red. nac.), Krzysztof Szolginia (sekr. red.), Dariusz J. Toruń, Marek K. Zalejski, Rafał A. Ziemkiewicz.

Redakcja nie zwraca materiałów nie zamówionych, w publikowanych tekstach zastrzega sobie prawo dokonywania skrótów.

Wydawca: Krajowe Wydawnictwo Czasopism RSW „Prasa-Książka-Ruch”, ul. Noakowskiego 14, 00-666 Warszawa, tel. centr. 25-72-91 do 93. Ogłoszenia przyjmuje Biuro Reklam i Propagandy tel. 25-35-36. Skład: Zakłady Włókiendrukowe RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Warszawa, ul. Okopowa 58/72. Druk i oprawa: Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa-Książka-Ruch”, Łódź, ul. Armii Czerwonej 28.

Zam. 3302/87, K-22
Nakład 150 000 egz.

Czytelnicy i „Fantastyka”

Lądowanie LVII

Dzisiaj, na odmianę, pytania Czytelników i natychmiastowe odpowiedzi. Niestety, nie zawsze jestem w stanie wy-czerpująco i jednoznacznie zadowolić Państwa w tym względzie. Na przykład mnóstwo osób pyta mnie, dlaczego tak trudno załatwić prenumeratę pisma. Zwracają się także do nas liczni miłośnicy fantastyki z prośbą o pomoc w uzyskaniu prenumeraty lub poszczególnych, brakujących im numerów naszego pisma. Niestety, nie mamy żadnej władzy nad urzędnikami zajmującymi się prenumeratą ani też nie posiadamy składu zapasowych numerów.

Gdybyśmy spróbowali zaspokoić same tylko potrzeby uzupełniania zbiorów przez kolekcjonerów „Fantastyki” – musielibyśmy dodrukować tyle egzemplarzy, ile obecnie drukujemy. Ale jest to niemożliwe, ze względu na ograniczoną pulę papieru. Sądję więc, że ci z Państwa, którym nie udaje się zaprenumerować, czy kupić pisma, mogliby korzystać z pomocy bibliotek klubowych, kolekcjonujących nasz miesięcznik, lub starać się zaprenumerować go zbiorowo. Innej drogi na razie nie wi-dać.

Dla zagranicy

Już trzeci rok kupuję Wasze czasopismo i jestem z niego w sumie zadowolony. Co prawda jakość papieru nie najlepsza, ale rozumiem, że to od Was nie zależy. Piszę do Pana dlatego, bo w numerze majowym czytałem o edycji książek Biblioteki „Fantastyki”. Czy mogliby mi Pan poradzić, jak mieć dostęp do tych książek? Niestety, nieczęsto mogę wyjeżdżać do Polski, bo pracuję i mam mało urlopu, no i to trochę kosztuje. Czy byłaby możliwość wysłać te książki do Domu Polskiej Kultury na moje nazwisko, a ja bym kupił je za forinty (i tak wpadam tam co jakiś czas – gazetę też tam kupuję). Czekam na odpowiedź.

Póka Peter
Budapest
Węgry

Vadasz u.27. 2(12)a. H – 1954

Dlaczego tak mało numerów „Fantastyki” wysyła się do ZSRR, Czechosłowacji i Bułgarii? Sporo osób potrafi tam czytać po polsku. Mam wrażenie, że także i fantastyka z tamtych krajów zbyt słabo dociera do Polski, a przydałaby się żywsza wymiana wzajemna między fanami książek i czasopism fantastycznych. Myślę, że za mało w tym kierunku starają także i Waszych.

Jan Woszczagin z Gdańska

Te dwa listy są przykładami dość częstej korespondencji, otrzymywanej przez redakcję – zawiera ona prawie zawsze te same prośby czy dezycje dotyczące możliwości zakupu pisma czy książek. Myślę, że wymiana między miłośnikami mogłaby być na razie jednym ze skuteczniejszych rozwiązań. Równocześnie przydałyby się usilniejsze starania kierowników księgarń w polskich ośrodkach zagranicznych o zwiększenie liczby pokupnych tytułów, także i literatury science fiction. Wiemy na przykład, że ma się powiększyć liczba

egzemplarzy „Fantastyki” wysyłanej do ZSRR i Czechosłowacji, instytucje zaś kompetentne w sprzedaży książek polskich za granicę bardziej powinnyby dbać o zaspokajanie gustów tamtejszych czytelników. Nie słyszałem jednak właściwie nigdy i znikąd o – chociażby – próbach przeprowadzenia sondazy, jakie tytuły polskich książek idą za granicą i znajdują tam chętnych czytelników. Przecież w krajach całej Europy i nie tylko Europy zamieszkuje mnóstwo naszych rodaków, nie tak mała, jak się na pozór wydaje, jest liczba osób, znających przynajmniej biernie, język polski. Szkoda, że te sprawy, jakże dla naszej kultury ważne, są ciągle mocno zaniedbane. I jeszcze jedno wyjaśnienie: Biblioteka „Fantastyki” w KiW-ie jeszcze dotąd nie wystartowała. Gdy to wreszcie nastąpi, natychmiast poinformujemy o tym wszystkich Czytelników.

Humor fantastyczny?

Ciągle nie mogę zrozumieć dlaczego fantastyka czy science fiction muszą być drastyczne i ponure, dlaczego bywa to najczęściej literatura wprost stracająca, na śmierć i życie i do ostatniej kropli krwi? Potwory, zabijania, pożogi i katastrofy, ależ czarna ta fantastyczna wyobraźnia twórców. Czy z wymaginowanych przez fantastyków światów nie można by trochę pożartować, pokpić, czy karykaturalne wymiary przyszłości muszą być prawie zawsze katastroficzne? Oprócz jednego Lema (w jego opisach przygód Iłona Tichego i w bajkach pełnych zjadliwego humoru) nikt prawie na świecie nie pokusił się u fantastykę kpiącą lub chociażby ironiczną, jak gdyby nie wypadało prześmiewać brzydkich wytworów

ludzkiej wyobraźni. Wśród najmłodszych autorów polskich chyba tylko Jabłoński, jeśli dobrze pamiętam, w swoim opisie londyńskich przygód bohatera, pokpił sobie zarówno z samej fantastyki, jak i z jej wi-zji.

Przypominam, sporo humoru w ujęciu charakterów jak i rozwoju akcji powieściowej obserwujemy, a raczej obserwowaliśmy u Verne’a, który chyba właśnie na skutek tego dystansu do swoich bohaterów i ich losów zachował po dziś dzień zainteresowanie wśród znawców i miłośników SF i nie wyszedł całkiem z mody. Jak jednak zrozumieć tę falę ponuractwa, ogarniającego całą współczesną SF twórczość?

Z poważaniem
Poloniarka z Wrocławia

Nie umiem odpowiedzieć na to pytanie, jednakże przyznaję, że to zadziwiające zjawisko, iż literatura nie traktowana jako naj-poważniejsza stała się tak potwornie poważna w swoich treściach. Być może dzieje się tak, ponieważ jej autorzy chcą sobie w ten sposób przydać więcej powagi niż się im należy – oświadczył mi jeden z najbardziej znanych na świecie autorów, gdy dyskutowaliśmy na ten temat. Mówił to z przekornym uśmiechem, lecz przecież – jak dobrze wszyscy wiedzą – pisuje on równie ponure teksty, co jego inni koledzy po fachu. Dlatego pozwolę sobie nie wyjawiać jego nazwiska, a Państwa zapytać z kolei – czy nie drażni Was, Czytelnicy, brak poczucia humoru pośród twórców fantastyki, dlaczego „Seksmissja” czy utwory (niektóre) Jamesa Tiptree, Jr. należą do rzadkości? Proszę o wypowiedzi na ten temat i życzenia.

Redaktor

TA MAK
JEST FANTASTYCZNA!

W pierwszym numerze:

- Opowiadania Marty Tomaszewskiej, Jane Yolen, Joanny Rudniańskiej, J.O. Jeppsona i Olgi Erben!
- Felietony Macieja Iłowieckiego, Stanisława Remuszki i Adama Hollanka!
- Zaproszenie do konkursu literackiego i plastycznego
- Bazyliszek w leksykonie postaci fantastycznych!
- Czy możesz zostać kosmonautą? – test!
- Komiks Tadeusz Baranowskiego!
- Kosmiczne katastrofy!
- Kochajmy Tolkiena!
- Fantasy!
- I tak dalej...



opowiadania i nowele

W zamierzchłej przyszłości, na kamiennym półwyspie istniało miasto leżące o jakieś dwa dni drogi od miejsca, gdzie kiedyś wznosiły się Ateny.

Półwysep wyglądał jak palec, spuchnięty w stawie, a potem zważający się i wskazujący błękitne morze. Wzdłuż jego grzbietu rosły aromatyczne sosny, o kształcie otwartych parasolek, kaktusy, cyprysy, winogrona i drzewa oliwne nakrapiane mchami jak koronka pleśnią. Tam, gdzie półwysep się kończył, jakby na paznokciu tego palca, wyro-

stojną twarz o regularnych rysach, niebieskich oczach i silnie zarysowanej szczecie, okalała rzadka, złota broda.

Nefriki prawie zawsze się uśmiechał, nawet gdy był zły. A zły był prawie zawsze. Jego zadaniem było zabijanie ludzi.

Antarida, jego siostra, była osobą innego pokroju. Jej ruchy były tyleż ocieźlate, co jego pełne napięcia. Miała jasną skórę, a jej ciemne brwi i rzęsy okalały intensywnie zielone źrenice o odcieniu, który można zobaczyć jedynie w oczach kota. Mia-

Brian Aldiss

NIE ZAPYTAŁEŚ NAWET JAK MAM NA IMIĘ

(You never asked my name)

sło małe miasto-państwo, zwane Tolan. Jego mieszkańcy zwali je Miejscem Doskonałym.

Ludzie, którzy mieszkali w Tolan, w swej wysoce zorganizowanej społeczności, uważali siebie za szczęśliwców. Sądziли, że są bezpieczni od szalejących po zrujnowanym świecie jak wiatry po wybuchu, wojen. Ominęły ich najgorsze fizyczne deformacje, spowodowane przez Katakлизm. Lecz ich umysły, bardziej wrażliwe niż ciała, nie mogły pozostać nietknięte przez to, co się zdarzyło.

Gdy patrzyło się nań z oddali, Tolan wyglądało jak zabawka. Każdy szczegół sprawiał wrażenie sztucznego, od miniaturowych pałaców po maleńkie, otoczone murami winnice. Sami ludzie, świadomi kruchości swego przetrwania, poruszali się jak lalki.

Nie było w Tolan takich dwóch domów, które by stały na tym samym poziomie. Uniemożliwiała to schodkowatość opadających ku morzu wzgórz. Dachy jednych były na poziomie skrawków trawy przed innymi. Ich białe ściany schodziły w dół, ku wodzie, pomiędzy głazami i krzakami, odwracając się od siebie jak skłóceni członkowie rodziny. Obcy, przybywający ze zniszczonej, pozostałej części świata, jadąc na mule przez góry, natknąłby się najpierw na dom Nefriki. Stał on na szczycie pochyłości, na najdalszym skraju miasta.

Tam żył Nefriki ze swoją siostrą Antaridą.

Nefriki i Antarida żyli z dala od miasta i od siebie nawzajem.

Nefriki był silnym, młodym mężczyzną, wspinał się umiśnionym, z głową okoloną masą złotych włosów, tworzących jakby lwią grzywe. Jego przy-

ła smukłą postać o drobnych piersiach i wąskich biodrach. Golila głowę, tak że w wieku dwudziestu jeden lat przypominała zarówno embrión jak i wiekowego starca. Jej obowiązkiem było zajmowanie się zmarłymi.

Żeby bronić się przed technicznym barbarzyństwem, które zapanowało nad resztą planety, mieszkańcy Tolan stworzyli bardzo sztywny system społeczny. Każda rodzina zajmowała niezmienną pozycję od najniższej znajdującego się w tej hierarchii poławiacza wodorostów aż po najwyższych urzędników, tak doskonałych i subtelnych, że zabronione im było oglądanie własnych ekskrementów. Praw w Tolan było wiele i wszyscy je znali. Wiedza, że za jakiegokolwiek przewinienie grozi kara śmierci, zazwyczaj niestychanie wyostreza pamięć. Przetrwanie zależało od posłuszeństwa w stosunku do prawa.

Utopiści z Tolan stworzyli coś, co nazwali Miejscem Doskonałym, ale przy tym zabili radość.

Purytanizm i zmysłowość przeplatały się tam jak dwa pędy winorośli niszczące się nawzajem. Chociaż mężczyźni mieli absolutną władzę nad kobietami, pod osłoną nocy pozwalali się znieważać przez nie na wszelkie możliwe sposoby. Czczono kłamstwa, kastracja była czymś powszechnym, a w sadyzmie widziano piękno.

Sławiono czystość moralną, a praktykowano każdą możliwą perwersję. Do smutku, który i tak stanowił główny składnik ludzkiego życia, Tolan dodało swoje własne supernieszczeście o imieniu utopia. I właśnie dzięki takim sposobom społeczności sprzed Katakлизmu udało się przetrwać.

Czasami przybywali tu uchodźcy ze zrujnowanego świata, wędrujący po opadającym grzbiecie półwyspu. Niekiedy do zatoki Spetsai wpływały małe łodzie chcąc przybić do brzegu w porcie Tolan.

Antarida zajmowała się zmarłymi. To do niej śmieciarze przynosili ciała tych, których zabił jej brat. Antarida skrapiała miłością swoją gołą czaszkę perfumami i zakładała czysty, biały welon. Potem delikatnymi dłońmi, igrającymi palcami, czyściła ciała nieżywych wrogów. Jej ręce i palce wędrowały we wszystkie, nawet najbardziej intymne zakątki ich ciał, szperając, dotykając i muskając. Włosy trupów były myte, a miejsca, z których wyrastały z ciała, nasączone woskiem dzikich pszczoł, zamieszkujących półwysp. Potem ciała były palone poniżej miejsca, w którym gromadzono odchody kobiet tolańskich.

Dla tych, którzy urodzili się w Miejsu Doskonałym ostatni obrządek był inny. Oni także, gdy życie ich opuściło, byli oddawani w ręce Antaridy. To jej palce, po raz ostatni, naruszały ich intymność. Rodowitych Tolańczyków oddawano wodzie. Ich ciała, obmyte i uperfumowane przy użyciu całego kunsztu Antaridy, zabierane były w miejsce przy brzegu, specjalnie przeznaczone dla tego celu.

Pare stóp poniżej czystej tafli wody zatoki zbudowana była półka skalna, do niej odchodzący przymocowywany był za pomocą żelaznych łańcuchów. Żałobnicy mogli stać na brzegu i patrzeć. Nagie ciała jakby kiwały lubieżnie do żyjących swymi rozwartymi członkami. W zatoce nie było przypiętów, bo nie było już Księżyca wędrującego po niebie, zniszczonego w czasie Kataklyzmu. Martwi zdawali się poruszać tylko w rytm małych, kołyszących je fal, delikatnych jak palce Antarydy.

Ławice małych rybek szybko niszczyły niewinność trupa. Ryby, lśniące jak igielki falowały podobne tkaninie. Wkrótce ci, którzy niedawno jeszcze żyli, byli nie do rozpoznania.

W czasie gdy w Tolan odbywał się jeden z takich pogrzebów, niedaleko, w miejscu gdzie kiedyś stało starożytne miasto Ateny, rozgrywano jedną z wielu małych wojen. Resztką ludzkiej rasy walczyła przeciwko wywodzącym się z niej wynalazcom. Grupa tych, którym udało się ująć z walki cało, skierowała się na południe. Dzień po dniu, uchodząc pogoni, zbliżali się do półwyspu, którego strażnikiem był Nefriki.

Czym była miłość lub co uchodziło za miłość w Miejsu Doskonałym? W niczym innym różnica między bratem a siostrą nie zaznaczała się głębiej. Wszyscy mężczyźni pożąдали Antaridy. Pożąдали jej młodości i jasnego ciała, kruchej piękności jej czaszki, ale przede wszystkim pożąдали jej rąk, pamiętających to, czego dotykały. Od najdosłowniejszego do najmniej znaczącego, wszyscy mężczyźni i niektóre kobiety marzyli – nawet bardziej niż o śmierci – żeby znaleźć się w objęciach Antaridy.

A ona nie odmawiała wzdychającym swoim wdzięków. Nie można powiedzieć, żeby była kobietą zmysłową. Ale lubiła pokazywać się całkiem nago, być obslanią i oblapianą. A ona leżała tylko nieruchomo, jak jedno z tych ciał, którymi się zajmowała.

Jej brat, z małej wieży wartowniczej, górującej nad ich domem, patrzył w dół przez otwór w dachu. Widział, jak wyciągnięta w tej samej pozycji, w jakiej przymocowywano trupy podczas ich morskiego pogrzebu, leżała, a mężczyźni przychodzili, żeby ją posiąść. Widok ten sprawiał Nefriki melancholijną przyjemność. Wiedział – bo takie były o-

byczaje w Tolan – że podniesie to tylko prestiż jego siostry.

Czasami Antaridę odwiedzał mężczyzna, którego Nefriki bardzo się bał, Sedzia Ikanu. Ten człowiek o ciemnym obliczu był głównym przedstawicielem prawa w mieście i Nefriki był przed nim odpowiedzialny za swoją pracę. Ikanu podlegały rubieże miasta. Ikanu mógł zdjąć Nefriki z jego stanowiska, lub skazać go na śmierć za najbardziej blahe uchybienie prawu.

Twarz sedziego była pełna okrucieństwa. Jego łysa czaszka naznaczona żyłami, wyglądała jakby mózg był na wierzchu. Kiedy Ikanu złożył swoje brudne ciało na ciało siostry Nefriki, przed domem siedział, tuż przy drzwiach, jego dziki pies, pilnujący swego pana. Gdy ujrzał twarz Nefriki, wydającego przez otwór w dachu, wyskrzecztał „Pilnuj się!” głosem tak niskim i przerażającym, jak głos jego właściciela. Pies jadał mięso, jego pan po przestawiał na diecie składającej się z wina i drobnych owadów.

Czasami Nefriki pozwalał swoim myślom powrócić w przeszłość, do Etsimity, miłości jego wczesnej młodości. Etsimita stała wyżej od niego w hierarchii społecznej. Nie wolno im było się kochać. Gdyby ktoś dowiedział się o ich uczuciu, oboje – Nefriki i Etsimita – ponieśliby śmierć. Być może grożące im niebezpieczeństwo sprawiło, że ich namietność była tym większa. Wtedy Nefriki zdolny był jeszcze do miłości. Jego dusze całkowicie podbiło uczucie. Pragnął tylko jednego, zawładnąć Etsimitą i oddać się jej we władanie aż po głąb swojej duszy.

Spotykać się mogli tylko, gdy ciemność panowała nad światem. Pewnej nocy, kiedy gwiazd nie zakrywały chmury, spotkali się na brzegu morza i spacerowali boso, trzymając się za ręce. Rozmawiali cicho i poważnie o rzeczach, o których mówią zwykle kochankowie – rozmowy te były pełne uczucia, lecz Nefriki potem, w świetle poranka nie mógł ich odtworzyć, choć bardzo się starał.

Etsimite przepelniało szczęście i piękno tej chwili. Podkasawszy swoją długą spódnicę weszła do wody, którą srebrzył blask Drogi Mlecznej. Zawołała do Nefriki, żeby poszedł za nią.

O niczym innym nie marzył. Ale nie zdążył. Przed Etsimitą wyrósł nagle ciemny kształt i wciągnął ją pod fale. Krzycząc, rzucił się jej na ratunek.

Gdy wypłynęła, morze wokół poczerwieniało od krwi. Obie jej nogi ucięte były prawie na wysokości kolan. Ciecie było czyste. To nie rekin rzucił się na nią, ale machina wojenna, która zdryfowała daleko ze swego kursu, przekłety produkt zniszczonego świata.

Etsimita umarła, zanim Nefriki doniósł ją do domu. Jego siostra zasklepiła rany na jej nogach kikotach i przeszła do obrządków pogrzebowych dochodząc swymi zrezygnowanymi rękami, pilnymi palcami do każdego miejsca martwego ciała. Potem, ponieważ Etsimita pogwałciła nienaruszalne prawa swojego społeczeństwa, to co z niej pozostało, zostało złożone w dole na odchody. Wtedy w Nefriki zaszła jakaś zmiana.

Te wspomnienia wróciły do niego, gdy siedząc w swej wartowni, przyglądał się leżącemu poniżej ciała siostry. Ale nagle pierzchnęła na dźwięk kamienia spadającego gdzieś w górach, tak daleko, że tylko jego ucho zdolne było to wychwycić.

Nefriki natychmiast był gotów znów stać na straży swojej społeczności. Ześlizgnął się na ziemię, wziął swój długi łuk i kołczan pełen strzał, który stał oparty o drzwi, a potem ruszył w stronę gestych krzaków, które mogły go ukryć. Wspinając

się po głazach, szybko znalazł się na grzbiecie półwyspu. Na wprost niego coś się poruszało. Pomiedzy rozpiętymi jak parasole sosnami zobaczył grupę mężczyzn. Wysoko, ponad ich głowami, wytrzeszane przez inamtu złowieszcze ptaki krążyły, skrzecząc do wrogów swymi sztucznymi głosami: „Oddalcie się, oddalcie się”.

W mieście byli też inni strażnicy, których Nefriki mógł przywołać. Przy kołczanie tkwiła piszczałka, której przenikliwy dźwięk wezwałby ich, ale Nefriki był tak pewien siebie, że podobna myśl nawet nie powstała mu w głowie. Podniecony, oczekiwał na moment, kiedy będzie mógł zabijać.

W ostatnich latach na górskie łańcuchy Grecji powróciły lwy i wilki. Nefriki poruszał się nie mniej cicho niż one. Kiedy posuwał się naprzód, widział jak w jego stronę zbliża się grupa pięciu mężczyzn. Jako pierwszy szedł zwiadowca skradający się z ogromną ostrożnością – trudniej było śledzić wzrokiem jego ruchy niż czterech pozostałych, podążających za nim. Jeden z tamtych był oczywiście dowódcą. Jechał na czymś w rodzaju maszyny z nogami, która skrzypiała cicho poruszając się naprzód. Pozostali trzej ciągneli za nim z zawziętością i cierpliwością podwładnych. Rozsądnym posunięciem było zabicie dowódcy jako pierwszego.

Był to dumny mężczyzna. Rozglądał się arogancko, a jego ogolony podbródek wysunięty był mocno do przodu. Zauważył już, wyglądające jak zabawka, Doskonałe Miejsce. Głowę zakrywał mu hełm z maską, prawdopodobnie mającą chronić go przed szkodliwym promieniowaniem, które ciągle jeszcze obecne było w powietrzu. Przez jedno ramie przewieszony miał karabin.

Nad jego głową i nad sosnami kołowały złowrobnе ptaki, krzyczące wciąż swoje „Oddalcie się, oddalcie się”.

Nefriki oparł się jedną ze swych silnych rąk o skałę, napiął mięśnie i czekał bez ruchu aż zwiadowca minie go o parę jardów. Wtedy założył strzałę na łuk. Uniósł się nieco i z całych sił naciągnął cięciwę.

Mały oddział zastłonięty na chwilę kaktusy. Gdy pojawił się znowu, Nefriki wypuścił strzałę. Gnała do swego celu wydając wściekły, znamionujący jej siłę, dźwięk. Przeszła przez cienki metal osłaniający pierś dowódcy i skończyła między jego zębami.

Mężczyzna umierał nie wydawszy jeku. Najwyraźniej był człowiekiem nie znającym wahań. Trafiony strzałą, nie namyślając się, spadł ze swojego pojazdu. Jego głowa uderzyła o ziemię, a z ust popłynęła mu krew wpływając pod hełm.

Nefriki wypuścił drugą strzałę i pobiegł do przodu nie sprawdzając, czy osiągnęła swój cel. Kiedy przemysł się między głazami, zarzucił łuk na ramie i wyciągnął krótki miecz. Ruszył na spotkanie z resztą wrogów.

„Oddalcie się” – krzyczały ptaki. Jeden z pozostałych przy życiu żołnierzy był zbyt przerażony, żeby strzelać. Drugi wymierzył swą samonastawną broń i wypalił. Sosna nad głową Nefriki wystrzeliła językami ognia. Nefriki ciał mieczem odrabując prawe ramie mężczyzny. Pozostały przy życiu człowiek odwrócił się i zaczął uciekać. Dysząc ciężko Nefriki podniósł solidny, owalny kamień i cisnął nim za oddalającym się w dół wzgórze wrogiem. Usłyszał tępy dźwięk kamienia uderzającego w kość, a zarazem potem świst kuli przecinającej powietrze. To wracał zwiadowca.

Ponieważ zwiadowca strzelał bez przerwy, zdradzał tym swoją pozycję. Tym razem nie chodziło już o to, żeby atakować od tyłu i cicho, w zabawie wziął więc udział krótki miecz, którego

skrwawione ostrze weszło gładko tuż nad zębami zwiadowcy. Gdy ten upadł w pył drogi i umarł, Nefriki odwrócił się, żeby skończyć z mężczyzną, któremu wcześniej odrabiał reke. Uśmiechał się.

Pomiedzy trupami stała maszyna, załadowana z tyłu ładunkami. Gdy Nefriki podszedł do niej odezwała się łagodnym głosem:

– Panie, będę ci służyć. Jestem stworzona do służenia. Nie niszczone tak, jak zniszczyłeś tych ludzi. Mogę dla ciebie pracować przez wszystkie dni twojego życia.

Nefriki, nie odpowiadając, podszedł ostrożnie, żeby ją obejrzeć. Maszyna pomalowana była na mały zielony kolor. Jej cztery nogi o wielu złączach kończyły się powyżej korpusu. Mogła się podnosić lub zniżać, upodabniając się do mniejszego lub większego zwierzęcia. W jej kwadratowej głowie obok oczu mieściły się wyloty dwóch karabinów. Były one wymierzone prosto w Nefriki w oczekiwaniu na jego odpowiedź.

W ułamku sekundy wymierzył jej potężne kopnięcie, trafiając maszynę w podbródek. Przez moment myślał, że złamał nogę, albo co najmniej palce, ale jego siła i sandały ochroniły go. Kiedy ból przeszedł, zobaczył, że zablokował głowę maszyny pod takim kątem, że jej karabiny były już bezużyteczne.

Przeniósł uwagę na znajdujący się z tyłu ładunek. Leżała tam przymocowana, zawinięta w folię, nieruchoma i jak przypuszczał, nieżywa, piękna dziewczyna. Gdy Nefriki stał, przyglądając się jej, otworzyła oczy i spojrzała na niego. Uśmiech zamalował mu na twarzy i Nefriki zaczął szarpać swoją złocistą brodę.

Potem zerwał paski, którymi dziewczyna była przymocowana, zdjął ją delikatnie z maszyny i postawił na ziemi. Podtrzymywał ją w pionowej pozycji obejmując jedną ręką w pasie. Potem zepchnął maszynę ze wzgórze, w kierunku odległego morza.

Usta dziewczyny poruszyły się:

– Oszczędź mnie – powiedziała, a z jej ust nie wydobył się nawet cień pary.

Usłyszeli strzały oddane w niewielkiej odległości. To nadchodzili inni strażnicy, wołając Nefriki po imieniu. Nie odpowiedział. Na wpół niosąc, na wpół ciągnąc owiniętą w folię dziewczynę, kierował się w kierunku płytkiej jaskini, której nie znał nikt poza nim. Wejście do niej zasłaniały gesty krzaki. Wgramolił się do środka wciągając dziewczynę za sobą. Leżeli obok siebie, dopóki krzyki pogoni nie ucichły, a szarość następująca po zachodzie słońca nie zlała się z szarością skał. Przez cały ten czas przyglądał się srebrnej twarzy swojej towarzyszk.

Kiedy wokół zapanował już spokój, Nefriki zaczął odwijać dziewczynę – najpierw delikatnie, potem coraz gwałtowniej, bo folia opierała się jego szarpnięciom. Kiedy była już wolna, wydała głębokie westchnienie i przeciągnęła się, podnosząc ręce ponad głowę tak, że jej tunika odsłoniła uda. Włosy dziewczyny były ciemne i spadały prosto na ramiona. Była szczupła, a właściwie bardzo chuda. Połączenia jej ramion lekko zaskrzypiały, gdy podnosiła ręce do góry. Nefriki czuł, jak przechodzi przez nią niesłychanie delikatne drżenie i zrozumiał, że jej serce jest z plastyku. Leżał przestraszony. Oto był wróg, przeklęty przez Doskonałe Miejsce. Sztuczna istota. Kobieta nie będąca przedstawicielką rodzaju ludzkiego, ale stanowiąca jednocześnie ucieleśnienie kobiecości.

Leżąc czuł dotyk jej ciała. Silniki pracujące wewnątrz powodowały, że syntetyczna skóra była ciepła. Tak łatwo mógł ją zabić.



HISAKI YASUDA

Nasza okładka: Ilustracja opowiadania R. Zelazny'ego „24 widoki góry Fudzi wg Hokusai” dla „Isaac Asimov's Science Fiction Magazine” VI/1985

o autorze czytaj na III stronie okładki



- Dziękuję ci, żeś mnie uratował - powiedziała.
- Nie musisz się mnie obawiać. Nie byłabym w stanie się obronić, gdybyś zechciał mnie zniszczyć. Wszyscy mężczyźni są moimi zdobywcami, wiem to - w jej głosie słychać było cień żalu.

- Mężczyźni, których zabiłem byli twoimi przyjaciółmi...

- Mężczyźni, których zabiłeś... - pozwoliła tym słowom pobrzmić przez chwilę, po czym dodała.
- Dla nich byłam tylko rzeczą. Mówiłam ci, nie musisz się bać.

- Bać się ciebie? Jak mógłbym się ciebie obawiać? Przecież widziałas, jak sobie poradziłem z mężczyznami, którzy byli z tobą.

Kiedy nie odpowiadała, dodał.

- Nie boję się niczego.

Uniósł się i opartwszy na łokciu, spojrzał w dół na jej twarz. Milczała nadal.

Gniewnie dorzucił:

- A czym ty w ogóle jesteś? Sztucznym stworzeniem. Nie rozumiesz nawet tego, co do ciebie mówię.

- Tak, jestem sztuczna. Jestem domowym androidem, zaprojektowanym, żeby zaspokajać męską potrzebę dotyku. Zabawką. - Było w jej głosie coś, czego nie rozumiał.

Tym razem to on nie odpowiedział.

- Stosunki między kobietami i mężczyznami są tak złe, że mężczyźni musieli wymyśleć mnie, żeby uniknąć prawdziwych kontaktów międzyludzkich - dodała.

- Czy możliwe jest mieć z tobą... prawdziwy kontakt?

Android z lekką kokieteryą powiedział.

- To już ty musisz ocenić. I zależy to od twojego charakteru.

- Wyjdźmy stąd, chciałbym ci się przyjrzeć. I nie próbuj uciekać - powiedział tonem, któremu usiłował nadać władcze, meskie brzmienie.

Wyszła za nim z jaskini i stanęła w swobodnej pozycji, z oczami zwróconymi ku morzu, mamroczącemu daleko w dole. Jej doskonale ukształtowana, anonimowa twarz przybrała zamyślony wyraz. Nefriki chwycił ją za nadgarstki.

- Rozbierz się.

- Chciałbyś zobaczyć mnie nagą? Wyglądam tak jak prawdziwa kobieta. Oczywiście rozbiorę się, jeżeli sobie tego życzysz, ale najpierw odpowiedz mi na parę pytań dotyczących ciebie.

- Dlaczego chcesz coś o mnie wiedzieć?

- To nas zbliży. A może boisz się tego? Powiedz, jak ci na imię.

- Nefriki, jestem strażnikiem tego miejsca. Widziałas jakim dobrym jestem strażnikiem. Zabijam tych, którzy zbliżą się do Tolan. Jestem silniejszy i bardziej okrutny niż ktokolwiek inny w mieście. Mogę mieć każdą kobietę, jaką tylko zechcę. Wszystkie marzą, żeby się ze mną kochać.

Android odezwał się łagodnym głosem.

- Ja także chciałabym kochać się z tobą, Nefriki. Ale najpierw powiedz mi kim jesteś.

- Powiedziałam ci już. Jestem strażnikiem i najsilniejszym mężczyzną w Tolan. To jest Miejsce Doskonałe. Każdy tutaj boi się mnie i szanuje. Ostatnio zabiłem górskiego lwa gołymi rękami.

Usiadła, a jej twarz była ledwie widoczna w ogarniającym wszystko mroku.

- To wszystko przechwałki, Nefriki... Ale co znajduje się pod nimi. Powiedz mi, kim jest prawdziwy mężczyzna siedzący w tobie, i wtedy będziemy mogli się kochać.

Kucnął obok niej i gniewnie parsknął śmiechem.

- A czy to taki przywilej kochać się z maszyną?

Też coś, wszystkie kobiety z Tolan pragną tylko tego i żadna nie pyta kim jestem naprawdę.

- Być może boją się pytać? A może boją się poznać prawdę? Czy wiesz, że istnieje garstka mądrych ludzi, którzy uważają, że Kataklizm nadszedł, ponieważ rządzący światem mężczyźni cierpieli na wspólny ich płci strach przed kobietami i lęk, że są kobietami? Musieli dowodzić swojej meskości, choćby nawet mieli zniszczyć planetę. A władze dostali od ludzi, którzy myśleli tak samo jak oni. Kobiety wiedzą różne rzeczy.

- A co takiego wiedzą kobiety, czego nie wiedzą mężczyźni?

- Wiedzą, że mężczyźni pożądają ich ciał, ale boją się umysłów.

- Bzdury. Jesteś obłąkaną maszyną.

Pochyliła się bliżej ku niemu.

- Zanim odkryjesz jak bardzo potrafisz być ludzka, Nefriki, wyjaw mi swoje najgłębsze sekrety, najbardziej skryte prawdy, powiedz mi, kim jest twoje najprawdziwsze ja... Nie pytam, żeby zdobyć nad tobą władzę, ale żeby cię wyzwolić.

Zbliżył się, wziął ją w ramiona i brutalnie zaczął całować w usta.

- Widzisz, nie czuję przed tobą lęku - roześmiał się. - A może to ty opowiesz mi swoje sekrety, jeżeli je w ogóle masz?

Położyła palec na ustach.

- Zdradzę ci mój największy sekret. Jest tak wielki, że uznasz go za błąh. Jestem jedynie lustrem. Mogę tylko odbijać mężczyzn mojego życia. Tak mnie zaprogramowano jako maszynę, ale mogę ci powiedzieć coś więcej. Odkryłam, że wiele kobiet rodzaju ludzkiego to także lustra. Same się w nie zamieniały. Ze strachu.

Tego typu rozmowa wcale mu nie odpowiadała. Nic z tego nie rozumiał. A poza tym był głodny.

Zerwał się na równe nogi i poleciał kobiecie-androidowi, żeby poszła za nim. Skierował się prawie niewidoczną ścieżką w kierunku swego domu.

Antaridy nie było. Dom był pusty, drzwi otwarte. O tej porze nocy na pewno spoczywała w łóżku jednego z małych pałaców Tolan, leżąc pod jakimś nekrofita z wyższych sfer.

Zapalił lampę, przyniósł chleb i mętne tolańskie wino. Poczestował nimi dziewczynę, która stojąc tuż przy drzwiach, śledziła jego poczynania zmrużonymi oczami.

- Ja nie jem - odpowiedziała przyglądając mu się uważnie.

- Więc usiądź, gdy ja będę jadł. Denerwujesz mnie, gdy tak stoisz.

Podeszła do stołu, kołyszając biodrami. Została zaprojektowana, żeby sprawiać mężczyznom przyjemność każdym swoim ruchem, to było widać. Zastanawiał się, jak najłatwiej byłoby ją zabić.

- Jakie sekrety chciałabyś poznać. Ja nie mam tajemnic.

- Tak łatwo cię zranić, Nefriki - odpowiedziała łagodnie. - Można to poznać po tym, jak załamuje ci się głos pod koniec zdania. Uwielbiam to.

- Takimi głupstwami nigdy nie zdobędziesz mojego serca - odpowiedział napychając sobie usta chlebem.

- Ja nie chcę twego serca, tylko twojej duszy. Przyprowadziłeś mnie do tego domu, żeby mi odkryć jeden ze swych sekretów.

- Przyprowadziłem cię tutaj, bo chciałem coś zjeść. To jest mój dom, głupia gasko, to wszystko. Mogłbym przetrącić ci ten twój plastikowy karczek.

Smutno pokręciła głową. Położyła obie ręce na stole i powiedziała:

- O nie, przyprowadziłeś mnie tutaj, żeby poka-

zać mi, że żyjesz z kobietą. Czuje jej zapach w tym pokoju. Ale ty nigdy nie byłeś z nią w łóżku. Dlaczego mieszkasz z kobietą z którą nie sypiasz?

Walnął pięścią w stół.

- Ponieważ ona jest moją siostrą. A może uważasz, że powinienem sypiać z własną siostrą? Cokolwiek dzieje się w tym zniszczonym świecie, za taką nieprzyzwoitość płaci się śmiercią.

- Bo gdyby nie to... - powiedziała i pozwoliła słowom zawisnąć w powietrzu.

Pochylił głowę i jadł nie patrząc na nią, z ponurą miną wpychając sobie jedzenie do ust.

Wreszcie wstał, przeżuując jeszcze ostatni kęs chleba.

- Noc jest piękna. Chodźmy popływać. A potem zobaczymy co dalej. Chyba umiesz pływać?

- Umiem, Nefriki. Umiem, podobnie jak inne kobiety, robić większość tych rzeczy, których mężczyźni oczekują.

Poprowadził ją w dół. Od czasu do czasu oglądał się, patrząc czy kobieta-android wciąż podąża za nim. Okazywała całkowite posłuszeństwo, ale nie ufał jej.

Jego obowiązkiem było ją zabić. Gdyby sędzia Ikanu odkrył, że darował życie intruzowi ze zniszczonego świata, Nefriki musiałby zginąć. Czuł wewnętrzny opór przed zrobieniem tego własnymi rękami. To stworzenie było potężną czarownicą, znającą mężczyzn w stopniu, który Nefriki uważał za niebezpieczny. Ale były inne sposoby na to, żeby się jej pozbyć.

Schodząc w dół w stronę brzegu mineli stojącą na stoku rezydencję Ikanu. Składała się ona z małych wleż, w których tylko gdzieś widoczne były małe, kwadratowe okienka zaprojektowane tak, żeby nie wpuszczały do wnętrza światła słonecznego. Budynek przypominał kopiec mrówek. Gdy mężczyzna i kobieta-android mijali jego pochyły bok, w jednym z okien zobaczyli światło. Kiedy przechodzili jak najciszej koło frontowego wejścia, siedzący przy nim pies wydał groźny okrzyk „Pilnuj się”.

Ale przynajmniej tym razem Nefriki był zbyt zajęty swoim zadaniem, żeby czuć lęk przed głównym sędzią miasta. Skoczył w dół, na piasek a tuż za nim dziewczyna.

Brian ALDISS

Znany jest ze swojej różnorodności - widać, że lubi eksperymentować z nowymi stylami i tematami. Jeżeli jednak istnieje temat stanowiący jego specjalność, to jest nim spotkanie dwóch zamieszkujących ten sam Kosmos ras istot (na różne sposoby) rozumnych: mężczyzn i kobiet.

Znamy ten temat w ujęciu krwiożerczo feministycznym („Houston, Houston” J. Tiptree), kiedy kobiety wyrażają swoje marzenia o ostatecznym rozwiązaniu kwestii męskiej.

Aldiss nie ustępuje feministkom w krytycznym przedstawieniu postawy karykaturalnie męskiej, ale robi to w imię ideału człowieka harmonijnego.

Ta konfrontacja pierwiastków męskiego i żeńskiego dokonuje się u Aldissa na tle dziwnego,

postkatastroficznego społeczeństwa, którego fundamentalna obcość polega nie tylko na postawie antytechnicznej (to rzecz jakby oczywista i często wykorzystywana w brytyjskiej science fiction - Wyndham, Cooper i inni), ale i na kulcie śmierci, co przecież psychologicznie jest równie uzasadnione. A jednak tutaj Aldiss stoi prawie samotnie, może tylko obok Dicksa i Zelazny'ego, którzy w powieści „Deus Irae” ukazują kult inicjatora atomowej zagłady.

Na plaży noc była jakby jaśniejsza. Nad głowami lśniły gwiazdy, a światło ich odbijało się w falach. Ciepła woda przy brzegu świeciła, jak pomalowana farbą luminescencyjną. Wzdłuż plaży przemykały robaczki świetlojańskie, błyszczące jak miniaturowe żaróweczki. Nefriki zrzucił sandały, a potem, wahając się tylko przez moment, zdjął ubranie. Kobieta-android potulnie rozebrała się także. Stała przed nim zupełnie bezbronna, ze swym bezużytecznym biustem blisko jego piersi. Sam słyszał, że mówi zmienionym głosem:

- Wejść pierwsza do wody. Ja pójde za tobą.

Minęło dużo czasu od nocy, gdy jego najukochańsza Etsimita zaryzykowała wejście do tej samej wody, żeby znaleźć w niej śmierć. Nefriki nigdy od tego czasu nie ośmielił się zanurzyć w kuszące fale.

Stał na brzegu i oparłszy pięści o biodra patrzył, jak dziewczyna brnie posłusznie coraz głębiej.

- Stój! - nie mógł znieść już tego dłużej. Woda sięgała po delikatne łopatki. Odwróciła się, żeby spojrzeć na niego. Nefriki parł w jej stronę, krzycząc coś niezrozumiale.

Złapał ją za ramię i wyciągnął na brzeg przedzierając się przez wodę.

- To jest niebezpieczne - wykrztusił. - Niebezpieczne. W wodzie są maszyny...

Upadli na piasek. Nefriki obejmował dziewczynę i całował ją gwałtownie.

- Musisz mi wybaczyć, musisz mi wybaczyć.

- Czy to odwaga pchnęła cie, żeby wyciągnąć mnie z wody?

- Nie, nie - tulił twarz do jej syntetycznych włosów. - To był strach, nie chciałem cie stracić. Ofiarowałaś mi coś...

Oddychała głęboko.

- Nie, zostaw mnie. Chciałeś mnie zabić. Pozbyć się mnie.

Starła się wyrwać, ale nie mogła. Nefriki przycisnął twarz do jej twarzy prawie dotykając ustami jej ust. Widziała ból w jego rysach. Czuła na szyi jego mokrą brode.

- Posłuchaj kobieto, dałaś mi szansę mówienia o sobie prawdy. Nie mogłem jej przyjąć - bo moje życie wypełnione jest kłamstwami. Miałas rację, wszyscy mężczyźni są kłamcami. Lecz teraz znowu cie mam. Trzymam cie i powiem ci prawdę, a ty jej wysłuchasz.

Odwróciła głowę w bok.

- To śmierć tak cie podnieca, prawda? Już jesteś gotowy znowu kłamać.

- Powiem ci prawdę, ale tylko wtedy, jeżeli mi uwierzysz, jeżeli mnie spokojnie wysłuchasz, jeżeli zaakceptujesz to, co ci powiem.

- Nie godzę się na żadne warunki - odpowiedziała. Możesz opowiedzieć mi to, co jak twierdzisz jest prawdą - wtedy ja ci powiem, czy można w to uwierzyć. Im bardziej będzie nienormalne to co wymyślisz, tym więcej zgadzać się będzie z koszmarną ludzką normalnością. Pojmujesz mnie, Nefriki, ty słabeuszu, ty głupcze. Zrozum to wreszcie, jedyne co ludzkość potrafi, to powtarzać koszmarną szalenstwo - szalenstwo narodzin i koszmarną śmierci. A mężczyźni mają jeszcze swój lęk przed kobietami... Ten strach jest w każdym z was, ponieważ wszyscy macie te same chromosomy, ale jeden z nich dzielicie z rodem żeńskim. Mówię tu o mężczyznach Zachodu, tych którym stery wyrwały się z rąk, co spowodowało na świat Kataklyzm. Teraz Nefriki - mów, jeżeli musisz i wiedząc, że uwierze ci tylko wtedy, gdy odsłonisz się jako nikczemnik.

Podczas gdy mówiła, udało jej się uwolnić i teraz klęczała nad nim. Trzymał ją kurczowo obiema



Mitsuo II (Tokyo Bay)

rękami w pasie. Odezwał się niskim, zduszonym głosem.

- A więc dobrze. Nikczemność, podłość. Jestem całkowicie zniszczony przez Tolan. Jego obyczaje, jego społeczeństwo. Nie mam nikogo, kogo bym kochał. Nawet do mojej siostry czuję nienawiść... I być może rzeczywiście pragnę ją zbezczęścić po jej śmierci... Tak, jestem mężczyzną. Zawsze muszę być twardy. Gdy te fale zniszczyły moją najmiłą, nie wolno mi było płakać. Muszę być twardy - i dla siebie i dla kobiet. To mnie zatruwa. Kobieta. O tak, nienawidzę ich, ich słabości... A ich siły nawet bardziej...

Kobieta-android otworzyła usta, żeby coś powiedzieć, ale uciszył ją przyciskając usta do jej uda.

- Nie mam wyjścia. A czyż ucieczka nie byłaby kobiecym rozwiązaniem? Jestem strażnikiem tego miejsca, mężczyzną między mężczyznami, tylko mężczyznami. Oczywiście, że nienawidzę kobiet i... tak, boję się ich...

- Dlaczego się ich boisz?

- Mineły lata... Żadnej nie dotknąłem... Miłość oznacza słabość, poddanie się. A prawdziwy mężczyzna, taki jak ja, musi być twardy. Miecz w dłoni, żadnych uczuć. Jeżeli tak bardzo chcesz, żebym ci powiedział, to dobrze, powiem ci, bo jesteś androidem. Nienawidzę kobiet, ponieważ im zazdrościsz. To wszystko.

Spojrzała na niego z góry, jej twarz była spokojna jak zwykle. Otworzyła usta, zawahała się i wreszcie powiedziała:

- To przez tę nienawiść, wrodzoną seksualną nienawiść świat uległ zniszczeniu. Szaleństwo mężczyzn odrzucających prawdziwe uczucia doprowadziło do Kataklizmu. A kobiety ze strachu zmieniły się w lustra.

Nefriki nie słuchał. Mówił dalej.

- Jak mogę uciec od mojego więzienia? Nienawidzę siebie, pragnę... pragnę być kobietą. Oto masz moją przeklętą duszę, o którą prosiłaś. Masz ją i bierz za tyle, ile jest warta.

Nefriki wybuchnął płaczem i upadł na piasek, w którym krył swoją twarz.

- To wszystko, nadal jest grą, Nefriki. Nie ofiarowujesz mi swojej duszy, tylko jej pozór, nic więcej. Jesteś zarażony, nie umiesz powiedzieć prawdy - nie poznałbyś jej nawet, gdybyś ją zobaczył. Mogę stwierdzić, że w tym co mówisz, jest jakieś ziarno szczerości, ale w większości to gra. Spowiadają się tylko ci, którzy oczekują litości lub uznania.

- Jesteś okrutna - powiedział nie podnosząc głowy.

- Mówiłam ci, że jestem tylko lustrem. Narcyz nie potrzebuje żywej kobiety, tylko swego odbicia. Właśnie dlatego mężczyźni stworzyli takie istoty jak ja. Nie dałeś mi nic. Nie zapytałeś nawet, jak mi na imię.

Zaczęła odchodzić plażą pozostawiając Nefriki, pozostawiając Tolan, Miejsce Doskonałe.

Krzyknął w ślad za nią.

- Chciałaś mojej duszy, przeklęta wiedźmo i ja ci ją dałem. Ofiaruj mi coś w zamian.

Piasek oświetliła nagle smuga światła i Nefriki zobaczył, że kobieta przystanęła. Odwrócił się, żeby sprawdzić skąd dochodzi światło.

Okrutny sędzia, Ikanu, otworzył na oścież frontowe drzwi swego domu i stał w nich dzierżąc w dłoni miecz. Obok niego biegł jego wierny pies, wykrzykując swoje „Pilnuj się” chrapliwym głosem. W drzwiach domu Ikanu stała kobieta trzy-

mając ponad głową pochodnię. Nefriki zobaczył, że była to jego siostra. A więc chciała być świadkiem jego śmierci.

Przez chwilę Nefriki stał niezdecydowanie, przenosząc wzrok ze swojej siostry na sędziego i wreszcie na kobietę-androida. Pies minął swego pana i biegł skrzecząc swoim sztucznym głosem „Pilnuj się”. Za nim podążał Ikanu, teraz już groźnie wznosząc w górę swój miecz. Odziany był w suknie, która wlokła się po piasku, a jego gołą czaszkę zakrywała rozwiana peruka, która przekrzywiła się, podczas gdy sędzia parł z mozołem w kierunku Nefriki.

Z ust tego ostatniego wyrwał się nagle niespodziewany dźwięk. Śmiał się niepohamowanie. Po stać Ikanu, na wpół mężczyzny, na pół kobiety w jednej chwili uświadomiła mu całe teatralne szaleństwo Tolan. Melodramat odgrywany przez Ikanu, nekrofilę Antaridy, wyniszczający styl życia, do którego zmusiło odosobnienie obleganego miasta.

A śmiejąc się Nefriki zobaczył, że i on sam żyje w świecie kłamstwa. Nie potrafi nawet pokazać spójnego obrazu samego siebie kobiecie-androidowi - nie istniało nic trwałego, nic, w czym mógłby znaleźć oparcie. Jego życie emocjonalne zostało zamrożone. Śmiał się na myśl, że odgrywał swą rolę nawet o tym nie wiedząc.

Jego śmiech wzniosł się histerycznie i opadł w niskim zgrzytliwym dźwięku, bardzo przypominającym sztuczny głos psa.

Sędzia Ikanu usłyszawszy ten śmiech stanął, opuścił miecz i patrzył w zdziwieniu. Powoli jego obute w sandały nogi osuwały się po piasku. Tracąc równowagę upadł do tyłu. Jego pies skakał naokoło i lizał mu twarz, wołając cały czas „Pilnuj się, pilnuj się”.

Nefriki odwrócił się. Nikle światło padające od drzwi domu Ikanu, gdzie Antarida wciąż stała jak skamieniała, oświetlało plecy oddalającej się kobiety-androida. Wyglądała tak, jakby ciemność miała ją lada chwila pochłoniąć.

Biegąc wzdłuż plaży wołał do niej:

- Chcę poznać twoje imię. Chcę dać ci coś rzeczywistego.

Nie odwracając się i nie przestając iść plażą odpowiedziała.

- A czy posiadasz coś rzeczywistego?

Jego głos prawie nikt w szumie morza. Nefriki, biegnąc krzyczał dalej:

- Moją duszę. Czyż nie jej właśnie chciałaś? Ty nie posiadasz duszy. Pomóż mi odnaleźć moją, a wtedy może wszystko ułoży się lepiej. Dokąd idziesz?

Gdy nie odpowiedziała, zdesperowany krzyknął znowu:

- Dlaczego miałbym chcieć iść z tobą?

Tym razem przystanęła i na wpół odwrócona odpowiedziała:

- Zniszczony świat może przypominać piekło, ale być może właśnie piekło, nie Miejsce Doskonałe, jest odpowiednie dla ludzi. Przynajmniej piekło niczego nie udaje. Musisz wyrzucić z siebie kłamstwa, Nefriki. Jeżeli masz odwagę, żeby pójść ze mną, może pewnego dnia oczyścisz się całkowicie.

- Nienawidzę cie powiedział.

A potem wziął ją za rękę.

Karl Michael Armer

O KRAŻENIA

(Umkreisungen)

9 lipca, godzina 18.00

Jak w każdy piękny letni dzień serce Roberta Förstera było przepelnione goryczą. Kolory wydawały mu się zbyt jaskrawe, a ludzie za bardzo weseli. W takie dni jak ten szczególnie boleśnie odczuwał swoje siedemdziesiąt lat. Pancerz, którym oddzielał się od świata zewnętrznego pokrywały kolejne warstwy smutku i wściekłości.

Dzisiejszy dzień był nawet gorszy od innych. Pogoda i krajobraz odznaczały się tą nierzeczywistą pocztówkową perfekcją, jaką osiąga się tylko wtedy, kiedy wcale nie jest zamierzona. Niebo było tak wysokie, błękit tak głęboki, że życie stawało się jedną obietnicą. Wszelkie nadzieje, nawet te najbardziej złudne, wydawały się dziś możliwe do spełnienia. Oczywiście, o ile było się wystarczająco młodym. Białe jachty unoszone słabą, popołudniową bryzą krążyły leniwie po Chiemsee, niemal pozbawione siły ciążenia, jak obłoki na niebie. Pomiedzy nimi tańczyły wielobarwne żagle amatorów windsurfingu; wesołe punkciki przywodzące na myśl obrazy impresjonistów. Na cyplu wrzynającym się w wodę pasły się krowy. Metaliczny dźwięk ich dzwoneczków tworzył dyskretny, ale stały akompaniament do filmu wyświetlanego przed oczyma Förstera. W tle widniał precyzyjnie wytłoczony zarys łańcucha Alp, ukoronowanych błyszczącymi w słońcu, pokrytymi śniegiem wierzchołkami. Taki to był dzień.

- Gówno - odezwał się Förster.

I ponieważ to, co powiedział, spodobało mu się, powtórzył:

- Co za cholerne gówno!

Młoda kobieta, siedząca obok na nabrzeżnej ławce, spojrzała na niego ze zdziwieniem. Wyzywająco odparował wzrok. Było mu wszystko jedno, co sobie o nim pomyśli. Dla niej był i tak tylko starym dziwakiem.

- Nigdy nie mówi pani do siebie? - Zachichotał. - A ja tak. Przynajmniej rozmawiam wtedy z kimś, kogo lubię.

Wstała z ławki i odeszła. Miała ładne nogi i uroczy tyłek. Zupełnie jak Barbara przed laty, kiedy byli jeszcze młodzi. Na odludnej, greckiej wysepce znajdowała się niewielka zatoka. Wylonila się z turkusowej toni Morza Egejskiego, jej smukłe ciało połyskiwało w słońcu wilgocią. Odrodzenie Afrodyty, bogini miłości, kapłanki ich tajemnego kultu miodowego miesiąca. Była tak oślepiająco młoda, że wydawała się nieśmiertelna. Trzydzieści lat później popełniła samobójstwo. Co się nie udało? I dlaczego? Na miłość boską, dlaczego?

Dłoń Förstera ścisnęła mocniej łaskę, zamrugał powiekami, usiłując pozbyć się wilgotnej mgiełki przed ocz-

ma. Spójrz tylko na siebie! Co z ciebie za sentymentalny, stary dureń! Bez stylu i godności. Kręcisz się tu tylko i obrażasz innych!

Jego rozmyślenia przerwał Samson, warcząc głucho. Wielki bernardyn zbudził się ze snu i rozejrzał wokół palającym wzrokiem. Wyglądał na zdeorientowanego. Po kilku chwilach wydał z siebie dźwięk przypominający do złudzenia ludzkie westchnienie, a następnie złożył na łapach swój olbrzymi łeb.

- I co, grubasie, znowu przyśniły ci się stare, dobre czasy, tak? - Pogłaskał psa po grzbiecie, zaskoczony przypiływem sympatii, jaką nagle odczuł do niego. Jak bardzo przerzedziła mu się sierść. I na pysku był już prawie biały. Bernardyn miał już ponad jedenaście lat, co - tak przynajmniej mówią - odpowiada 77 latom u człowieka. To biedaczysko jest nawet starsze ode mnie, pomyślał Förster. Byli dwoma mamułami w tym świecie pełnym sprytnych, młodych ludzi, którzy na razie nie dopuszczali do siebie myśli, że kiedyś i oni będą pochyleni, zmęczeni.

- Odpadki, oto czym jesteśmy, Samsonie - powiedział. - Odpadki jakiegoś niedźnego gatunku. Nic, co mogłoby zainteresować historyków i światłych biografów, jesteśmy przypadkiem jedynie dla śmieciarzy. Chodźmy stąd, zanim nas wywieżą na wysypisko!

Nachylił się po smycz, uwiązaną wokół metalowej nogi ławki, gdy wtem bernardyn skoczył jak oparzony i zaczął zaciekle ujadać. Stał teraz rozdygotany przed Försterem, jak przed niebezpiecznym wrogiem, rozdziawiająco szeroko nabiegłe krwią ślepia.

Förster zatoczył się, przerażony i zupełnie zbity z tropu. Poczuł zawrót głowy, jak przy chorobie morskiej. To było niesamowite. Co tu się działo? Coś rwało go w całym ciele, jak gdyby operowano go bez znieczulenia. A więc tak wygląda śmierć. Dziwne. Nogi ugięły się w kolanach. Opadł z powrotem na ławkę.

Raptem wszystko minęło.

- Spokojnie - odezwał się machinalnie Förster do psa. - Spokojnie... zawahał się przez chwilę, usiłując przypomnieć sobie jego imię - ...Samsonie.

W polu jego widzenia pojawiła się wykrzywiona karczowo ręką. Ogarnęło go przerażenie, kiedy zorientował się, że to jego własna ręka, poruszająca się jakby samoistnie. Na jego oczach dłoń wykonała jakieś dziwaczne, skomplikowane gesty, jakby w jakimś tajlandzkim tańcu rytualnym. Odnosił wrażenie, jakby nie była to rzeczywistość, lecz film oglądany na monitorze - oglądany w sposób rzeczowy, z zainteresowaniem godnym naukow-

Czyżbym zwariował?, zastanowił się Förster z nienaturalnym spokojem, idącym w parze z szokiem.

- Nie - odparł w jego głowie czyjś obcy głos.

I w ten oto sposób kontakt Förstera z przybyszem pozaziemskim był niezwykle krótki, bowiem momentalnie stracił świadomość.

9 lipca, godzina 18.20.

Od kilku minut Förster był znowu przytomny. Jego wzrok spoczywał nieruchomo na niewielkiej, białej chmurce, tkwiącej na niebie niczym niezrozumiałe pozostałości po jakimś sygnale dymnym. W głowie czuł nadal dźwięczącą ciszę, jaka zwykle nastaje po eksplozji lub ostatnim, szalonym crescendo symfonii, kiedy piersi rozrywa nadmiar uczuć i trudno jest zdecydować się na jedno z nich. Pustka przeciążenia.

Usiłował przypomnieć sobie to wszystko, co ów głos przekazał mu w ciągu ostatnich minut. - A więc jesteś przybyszem pozaziemskim - powiedział powoli. - Takim E.T. w moim mózgu. - W charakterystyczny dla siebie sposób zachichotał. - To doprawdy zdumiewające. Science fiction w programie na żywo.

Nie otrzymawszy odpowiedzi, wzruszył ramionami i całą swoją uwagę skierował ponownie na urlopową siankę, której tak bardzo nienawidził. Krajobraz był egzotyczny, zaludniony młodymi, zdrowymi humanoidami. Nie miał z nimi nic wspólnego. I to już od wielu lat.

- No więc - odezwał się. - Witam w bractwie obcych.

Poczuł, jak uderza węż fala konsternacji. - Czyżbyś nie był człowiekiem z Ziemi? - zapytał go głos.

- Byłem nim przez kilka lat - odparł Förster. - Ale teraz jestem już stary, a starzy ludzie to obcy na tym świecie. Jesteśmy odizolowani tak dokładnie, że równie dobrze moglibyśmy mieszkać na innej planecie. Tamci wiedzą, że znajdujemy się gdzieś na zewnątrz, ale jest im to całkowicie obojętne. Życie toczy się nadal bez naszego udziału. Nie mamy żadnego wpływu na to, co się dzieje. Jesteśmy tylko widzami, wyobcowani z naszego własnego świata. Z tego powodu obaj jesteśmy obcy na tej planecie.

- Rozumiem - powiedział głos po krótkiej przerwie. - Rozumiem.

Förster mówił dalej, uniesiony gniewem. - Pomiedzy nami jest tylko jedna różnica: spotkanie przybysza z innej planety zwykle się określać jako spotkanie pierwszego stopnia, a starzenie się to najczęściej kontakt ostatniego stopnia.

- Jesteś rozgoryczony.

- Owszem, jestem. Starzenie się nie jest niczym wesołym.

- Ale przecież mógłbyś rozkoszować się tymi latami. Jesteś człowiekiem majetnym, wykształconym, mieszkasz w pięknej okolicy. Powinieneś czuć się szczęśliwym.

- Tak, powinienem. Ale tak nie jest. I to właśnie doprowadza mnie do szalu. Chciałbym być szczęśliwy, ale to mi się nie udaje. Coś jest ze mną nie tak. Taki już ze mnie dureń, że nie potrafię być nawet szczęśliwy. - Rozplakał się. - Popatrz na mnie! - krzyczał zrozpaczony, ocierając sobie twarz dużą, niebieską chustką. - Dawniej nigdy nie płakałem, a dziś maże się na sam widok młodej pary z dzieckiem, gdyż to przypomina mi moją młodość. - Złożył z powrotem chustkę, niezwykle powoli, dokładnie. - Bardzo mi przykro.

- Już dobrze - odparł przybysz.

10 lipca, godzina 9.30

Pora była jeszcze wczesna, ale na taras kawiarni „Panorama”, gdzie Förster spożywał śniadanie, spływał już z nieba żar. Lekka bryza chłodziła go od czasu od czasu, a jednak Förster pocił się. Parasolki były źle rozmieszczone i rzucały cień na drogę, podczas gdy stoliki wystawione były na pastwę prażących promieni słonecznych.

Jak zwykle Förster siedział sam przy stoliku. Usiłował ustawić parasolkę tak, żeby spełniała swe zadanie, ale brakowało mu sił, nie mógł ruszyć jej z miejsca. Nikt z obecnych nie przyszedł mu z pomocą.

Kiedy chwycił filiżankę z kawą, spostrzegł, że ręce drżą mu z wysiłku. Nie mógł nad tym zapanować. Był obserwowany.

- Nie troszcz się o mnie! - powiedział głos.

Förster zebrał myśli. - Wiem, że tu jesteś. Znajdujesz się we mnie. Używasz mojego mózgu jako encyklopedii. Wodzisz za mną wzrokiem, niezależnie od tego, co robie. To twoje „nie troszcz się o mnie” to po prostu niedoświadczenie umysłowe.

- Nie pozwalaj sobie za dużo, ty nieokrzesany osobniku! - Głos stał się raptem mocny, agresywny. - Uważaj na to, co mówisz! - Reka Förstera drgnęła, wylewając gorącą kawę z filiżanki na drugą rękę. Ból był piekący. - Znajdujesz się pod kontrolą, rozumiesz? A więc zachowuj się przyzwoicie. Spójrz na swego psa! On wie, co znaczy być posłusznym.

Ty przeklęty sukinsynu!, pomyślał Förster w nagłym przypływie gorącej nienawiści. Ty przeklęty sukinsynu z kosmosu. Ja nie jestem twoim bernardynem! Nie pozwól, byś mnie tak traktował!

- Hau, hau - odezwał się szyderczo przybysz, po czym przerwał kontakt.

10 lipca, godzina 9.50

- No dobrze - wysłał Förster wiadomość do wewnątrz. - Może za bardzo poniosły mnie nerwy. Zapomnijmy o tym, co? Nie miałem nic złego na myśli. Porozmawiajmy sobie znowu!

Daremnie czekał na odpowiedź.

- Hej, ty... - Förster uświadomił sobie nagle, że nie zna imienia swego najeźdźcy. - Odezwiij się!

Przybysz milczał w dalszym ciągu.

- Aha, supermózg galaktyczny dąsa się. Jakie to atawistyczne. A ja myślałem, że jesteś mądrzejszy, bardziej zrównoważony.

W tym momencie zarejestrował jakąś słabą emocję, której nie potrafił sklasyfikować, jakkolwiek wydała mu się znajoma. Była to jednak jedyna reakcja przybysza.

Ku swemu zaskoczeniu Förster poczuł ukłucie żalu. Zdał sobie nagle sprawę, że brakuje mu głosu wściekłego najeźdźcy. Wolął już spór niż całkowity brak komunikacji.

Nasłuchiwał teraz bacznie, ale po pewnym czasie dał za wygraną. Znowu był sam.

- W takim razie możesz mnie pocałować gdzieś - mruknął. Skinął na kelnera, ale ten udawał, że go nie widzi. Stara sztuczka. Wszystko jest jak dawniej.

Opuścił dłoń zawisłą niezgrabnie w powietrzu i nakrył nią drugą rękę. To była pozycja najbardziej bezpieczna, teraz drżenie ustało. Odchylił się do tyłu i przeniósł wzrok na wodę, po której przepływał właśnie łabędź. Dwie proste jak strzała linie jego śladu, układające się w literę V, potyskiwały na spokojnej, zielonkawej toni. Łabędź sprawiał wrażenie dumnego z siebie. Był młody.

10 lipca, godzina 19.30

Förster był wyczerpany. Od rana miał pełne ręce roboty - a właściwie nie on, lecz przybysz z Kosmosu, który nim sterował: telefonował, przeprowadzał konferencje, zawierał umowy, uzgadniał terminy. Godzinami Förster słyszał siebie mówiącego językiem, którego w ogóle nie rozumiał. To było przerażające. Zaczęło mu się wydawać, że jest po prostu schizofrenikiem.

Teraz siedział w wygodnym fotelu przy otwartym oknie, usiłując się odprężyć. Czuł się jak po ciężkiej operacji, słaby, rozdygotany, stary, bliższy śmierci niż życia. Jedyne odgłosy, jakie docierały do jego świadomości, to świergot ptaków w ogrodzie i regularne tykanie zegara stojącego w pokoju. Jak głośnie było to tykanie! Förster zamknął oczy.

- Tak, dzień był ciężki - rozległ się cichy głos przybysza. Förster nie poruszył się nawet. - Daj mi spokój! - mruknął niewyraźnie. - Jestem zmęczony.

- Ja też!

Förster zamrugał oczyma, nie mogąc opanować zdziwienia. Nigdy by nie przypuszczał, że przybysze pozaziemscy mogą odczuwać zmęczenie. A ten wyglądał na tak wszechmocnego. Z pewnością był młody, wielostronnie badany specjalista do spraw kontaktów międzygwiazdnych. I nie miał ciała, jedynie duszę. Ale przecież dusza też mogła ulec zmęczeniu. Nikt nie wiedział o tym lepiej niż właśnie Förster.

- Dobrze ci tak, że jesteś zmęczony - powiedział, wydobywając mimo wyczerpania resztki gniewu z głębi. - W końcu nikt cię nie prosił, żebyś tu przyjeżdżał i zalał się jakimiś metnymi interesami. A właściwie po co to robisz?

- To należy do moich obowiązków. Na mojej planecie jest niewielu ludzi, którzy potrafią przeskoczyć tę olbrzymią pustkę pomiędzy gwiazdami za pomocą projekcji myślowej. Jest nas tylko garstka, a praca wymaga dużo wysiłku. Ale ktoś musi ją przecież wykonać.

- Nie powiedziałbym, że zabrzmiało to niezwykle heroicznie.

Po raz pierwszy przybysz wydobył z siebie coś jakby śmiech, ale trudno było doszukać się w nim wesołości. - Bo to nie ma nic wspólnego z heroizmem. Jest to postępowanie bardzo żmudne i smiertelnie nudne. Zresztą co szczególnego może być w tym, że jest się członkiem Międzyplanetarnej Służby Zagranicznej?

- Międzyplanetarnej Służby Zagranicznej? - powtórzył Förster zbity z tropu. - To jest... Chciałem powiedzieć... z tej strony jeszcze na to nie patrzyłem.

Tak, wiem. Jesteśmy dla was tym, czym dla Inków byli legendarni biali bogowie: potężnymi istotami z innego świata, dysponującymi olbrzymią wiedzą i zadziwiającym sprzętem. W rzeczywistości jesteśmy tylko handlarzami, którzy wymieniają kilka szklanych pereł na cenne surowce. I na tym polega wasze szczęście, gdyż moglibyśmy być również żołdakami, którzy wolą płać niż płacić.

- Ale...

- Jesteś zaskoczony, nieprawdaż? Wyobrażałeś sobie, że jesteśmy supermózgami z kosmosu, znajdującymi się na bardzo zaawansowanym stopniu rozwoju naukowego i duchowego, czy tak? Wątpię, aby tak było w istocie. Jesteśmy tu tylko po to, aby zalać wasze interesy. I muszę zrobić to możliwie najszybciej i najskuteczniej, wtedy otrzymam wysoką premię. A więc nie narzekaj tu ciągle, że jesteś za stary i zmęczony, bo szkoda na to czasu.

Możliwie jak najszybciej i najskuteczniej, powtórzył w duchu Förster. Dziwne, tak mógłby powiedzieć Berghäuser, jego dawny szef sprzed kilkadziesiąt laty. Sprzedawanie jest jak boks, Förster. Wygrywa ten, kto jest szybszy, bardziej odporny i mocniejszy. Tak, panie Berghäuser. Nie, Barbaro. Nie dziś. Teraz jestem za bardzo zmęczony. Musiałem odwiedzić piętnastu klientów.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że przybysz milczy od dłuższego czasu.

- Nie miałem zamiaru cię obrażać - odezwał się wreszcie gość z kosmosu.

- Nie, nie - powiedział Förster. - Już dobrze, wszystko w porządku. To było bardzo... ziemskie. - Potrząsnął głową i zdobył się na uśmiech. - To niewiarygodne. Masz w sobie coś ze sprzedawcy. Potrafię wyczuć to na dziesięć metrów. Zbyt dużo rutyny i za daleko od domu. Coś ze sprzedawcy...

Głos przybysza był znowu stanowczy, autorytatywny. - Dosyć już! Następnym kontaktem naważemy ponownie jutro, punktualnie o godzinie siódmej. Na razie!

- Tak - odparł Förster. A po krótkiej chwili dodał: - Dobranoc.

11 lipca, godzina 14.00

Förster odsunął na bok pusty talerz.

- To było dobre. - Czuł się najedzony i tak zadowolony, jak rzadko kiedy dotychczas. Przez cały dzień zalał się znowu interesami, częściowo w języku przybysza, częściowo po niemiecku lub angielsku. Było to bardzo wyczerpujące, ale sprawiało mu osobliwą satysfakcję. Znowu był aktywny i w pewnym sensie miał przed sobą cel. Od wielu już lat nie miał takiego uczucia.

- Proszę o cappuccino! - powiedział do przebiegającego obok kelnera. Nie powiedział tego bardzo donośnie, ale w jego głosie zabrzmiała jakaś nowa nuta, która wzbudziła posłuszeństwo i na którą kelner zareagował natychmiast.

- Subito, signore.

- I jak, znowu na wierzchu, staruszk?

Nieskrywana agresywność w głosie przybysza zaszkodziła Försterowi tak, że zdobył się jedynie na mizerne, defensywne „tak, owszem”.

- Cóż, to wspaniale! - powiedział tamten zgryźliwie. Potem nastąpiła cała gama emocji, a z tego całego rozgardiaszu można było wyłowić tylko jedną cechę: histerię.

Förster nie zwracał już na to uwagi. Był wściekły. Jakim prawem ten nędzny intruz psuł mu dobry nastrój? Właśnie wtedy, kiedy po wielu latach poczuł wreszcie znowu smak życia, ten sukinsyn usiłował mu to obrzydzić!

- Do diabła, tak! - wybuchnął przybysz. - Mój Boże, jak ja nienawidzę tego wszystkiego: nędzne planety, nędzne interesy, nędznych ludzi. Nie wytrzymam tego dłużej! Ale tak źle jak z tobą, nie było jeszcze nigdy. Syriański neurotyk i ziemski neurotyk; nie ma co, wspaniała para. I po co mi to?

Försterowi ogarnęło wzburzenie. A sprawił to nie tyle ów wybuch uczuć, co raczej niejasne, niemal podświadome przekonanie, że przybysz stanowi odbicie jego własnej postawy. Symptomy były aż nadto wyraźne: uzalanie się nad samym sobą i agresja. Zazdrość o szczęście innych ludzi, spowodowana swoim nieszczęściem. Försterowi nie podobano się własne odbicie.

- Już teraz jest dosyć ciężko, ale ty odbierasz mi resztki szans powodzenia - grzmiał nadal przybysz. - Wszyscy ludzie ziemscy, przejeżdżając przez ludzi gwiazdnych, mają spać na centralnych konferencjach w swoich krajach, aby zająć się koordynacją działań. Jeżeli o mnie chodzi, jestem jednym z nielicznych, którzy nie wezmą w tym udziału, gdyż...

Zawahał się przez moment, ale Förster wiedział i tak, co teraz usłyszy - i instynktownie wstrzymał oddech.

- ...gdź jesteś zbyt stary i niedołężny. To długa podróż, za bardzo ryzykowna dla ciebie. Niezły kawał. Jestem rozbitkiem. Rozbitkiem w ciele umierającego.

Förster milczał długo. Wreszcie szepnął: - Dlaczego to powiedziałeś? To złośliwe i okrutne. - W spontanicznym odruchu zamówił butelkę czerwonego wina. Przybysz nie wtrącał się już do niego.

Kiedy mniej więcej po godzinie Förster opuszczał restaurację, był trochę pijany i dał kelnerowi o wiele za dużo napiwek.

11 lipca, godzina 15.30.

Kiedy Förster otworzył drzwi, ujrzał Samsona leżącego na podłodze. W oczach psa widniało tyle bólu, że sprawiało to wrażenie ekstazy.

- Samson! - wykrzyknął Förster. - Co ci się stało?

Opadł na kolana, kładąc dłoń na głowie psa. I w tym właśnie momencie, jak gdyby bernardyn zużył wszystkie swoje siły, aby doczekać się tego ostatniego dotyku swego pana, Samson rozstał się z życiem.

- Nie, tego już za wiele! - jęknął Förster. - To nie może być prawda!

Wspominając nazajutrz te chwile, nie mógł się nadziwić, że w takim starym, wysuszonym człowieku jak on znajdowało się jeszcze tyle łez.

11 lipca, godzina 13.00.

Igla przesuwiała się po papierze, kresząc niespokojną linię, podobną do grzbietu gorskiego z ostrymi wierzchołkami i głębokimi przepaściami. Drugi przyrząd wydawał ciche piski w dosyć regularnych odstępach czasu. Jeden z plastrow, przytrzymujących elektrody na ciele Förstera, podrażniał skórę, powodując swędzenie. Stojący w kącie analizator szumiał i wstrząsał probówką z krwią Förstera – sprawny Dracula najnowszej generacji.

Förster znosił comiesięczną kontrolę lekarską ze stoickim spokojem, ignorując niemal całkowicie upokarzającą procedurę, to grzebanie w jego ciele. Leżał na wznak, odziany jedynie w krótkie kalesony. Plastikowe przesłanianie na kozetce kleiło mu się do pleców, zdawało się wchłaniać go jak wygłodniała osmiornica.

Oprocz niego w pokoju nie było nikogo. Żaden lekarz czy pielęgniarka nie zawracali sobie dziś głowy taką rutynową sprawą bardziej, niż było to konieczne. Do pacjenta podłączało się po prostu ileś tam przyrządów i całe badanie przeprowadzała już pani doktor Elektronika.

Wszystko w tym pomieszczeniu było białe, jasne i czyste. Jeżeli można wierzyć relacjom ludzi, którzy otarli się o śmierć kliniczną, delikwenci ulegają wówczas złudzeniu, jakby unosili się gdzieś w górę, ku oślepiającemu jasnemu światłu. W tym aspekcie gabinet lekarski, ze swoją szumiącą, pozbawioną konturów jasnością, przywodził na myśl komorę treningową dla kandydatów na śmierć. Przedśmerek śmierci.

Szybko otrząsał się z tych myśli i znowu zatopił beznamietne spojrzenie w sufit. Nie myślał o niczym, ale czekał na coś. Przybysz z kosmosu zachowywał się tak samo. Obaj stali tu, na Ziemi, na uboczu, byli odizolowani. Dwie czarne dziury, w które wpadały wszelkie smutki i melancholie naszego wszechświata.

11 lipca, godzina 23.00.

Jednym z nielicznych przywilejów starości jest to, że człowiek nie potrzebuje już wtedy dużo snu, pomyślał Förster, nalewając sobie po raz drugi kieliszek drambuie. Szkoda tylko, że i tak nie może wykorzystywać zdobytego w ten sposób czasu.

Siedział w swoim ulubionym fotelu. Światła w salonie były zgaszzone, on zaś spoglądał na drzewa widoczne za oknem, chwiejące się sylwetki o srebrzystych liściach, połyskujących w mlecznej poświacie pełni księżyca. Nie chciało mu się spać, był lekko podchmielony i brodził po kolana we wspomnieniach.

Nastroj chwili sprawił, że nastawił płytę. „Clair de lune” Debussy’ego. I podczas gdy romantyczne dźwięki perliły się, wypełniając stopniowo cały salon, myśli Förstera rozpoczęły swą wędrówkę. Sceny z jego życia wylaniały się z mroku nocy jak podczas błysków flesza i gineły z powrotem.

Smutne dzieciństwo spędzone w surowym, pozbawionym miłości domu rodzinnym. Okres szkoły i w tym czasie cały szereg zagadkowych chorób; psychosomatycznych, jak już dziś wiedział. Rozwścieczony ojciec. Pechowiec, słabeusz. Pierwszy rok na uniwersytecie. Brak orientacji, ustępujący powoli miejsca poczuciu wolności. Następnie wybuch II wojny światowej. Nagła przepro-

Karl Michael ARMER

Znany już jest naszym czytelnikom z kilku świetnych opowiadań, w których centralną zagadką jest zawsze człowiek. Tutaj bohaterem jest człowiek stary, a starzy ludzie – mówi pięknie Armer – czują się w świecie obco, jak przybysze, wprowadzając nie z innej planety, ale z innego czasu. Wprowadzenie do science fiction starości jest nowością: czy wiąże się to z dojrzałością literacką gatunku obejmującego coraz to nowe obszary doświadczenia ludzkiego, czy też jest to znak czasu, odbicie faktu, że kultura zachodnia od niedawna przestaje zamykać oczy na temat starości i śmierci, a nawet zaczęła się nim jakby fascynować?

L.J.

wadзка z sal wykładowych na front. Okres sześcioletni, w ciągu którego w ogóle nie myślał. Ciągłe tylko bitwa, marsz do przodu i odwrot. Nie czuł do nikogo nienawiści, ale zabijał ludzi, żeby oni nie zabili jego. W jakiś sposób udało mu się pozostać przy życiu. Był jedynym z kompanii liczącej 120 żołnierzy, który przeżył wojnę. Zdarzało się już później, że we śnie słyszał znowu wybuch granatu i widział walące się ściany okopu i wyrzucane w powietrze, roztrzaskane ciała kolegów. Ciało bez twarzy, bez kończyn, ale nadal żywe. Mieso rzeźne dla nienasyconych władców wojny. Śnił mu się lodowaty ziąb rosyjskich równin, śnieg barwiony całymi kilometrami przez krew, głód, który sprawiał, że gryzli skórzane pasy. Śnił mu się obóz jeniecki na Syberii, gdzie spędził cztery lata. Rosjanie nie traktowali ich łaskawie, ale Förster rozumiał to w pełni. Kiedy w końcu wyszedł na wolność, kiedy po dziesięciu latach mógł powrócić znowu do normalnego życia, wisiał nad nim cień. Nie był neurotykiem ani psychopatą, nie, ale uśmiechał się bardzo rzadko i sprawiał wrażenie człowieka odcinającego się od wszystkiego i wszystkich. Zachowywał się jak ktoś, kogo obdarzono zbyt dużą dawką elektrowstrząsów i kto czeka teraz instynktownie na następny.

Nurt wspomnień ustął, kiedy umilkła muzyka. Förster drgnął, usiłując odnaleźć się w bezkresie pomiędzy rzeczywistością a wspomnieniami. Udało mu się to dopiero po dłuższej chwili.

Niesamowita cisza w salonie... i w jego myślach. Przybysz milczał. Z pewnością jednak przysłuchiwał się wszystkiemu z największą uwagą, co do tego Förster nie miał żadnych wątpliwości.

– No i co, czy zdobyłeś jakieś interesujące informacje na temat życia na Ziemi? – zapytał złośliwie.

– Owszem, zdobyłem – odparł przybysz. Chciał dodać coś jeszcze, ale najwidoczniej rozmyślił się. – Nastaw może drugą płytę – powiedział po chwili. – To nam dobrze zrobi. Ta muzyka była bardzo ładna.

Förster kiwnął głową. Wstał i nastawił Nokturn Nr 2 Es-dur Fryderyka Chopina. Wraz z muzyką napłynęły ponownie wspomnienia. Na początku lat pięćdziesiątych poznał Barbare. Pobrali się, uczyniła go bardzo szczęśliwym. Rozpoczęła się jego kariera zawodowa. Zarabiał sporo pieniędzy. Zasadniczy przełom nie był mu jednak dany. Miał w sobie za mało charyzmatu, tak przynajmniej twierdzili jego przełożeni. Förster nie przejmował się tym. Wiódł piękne życie z Barbarą i dziećmi. Ale tamten cień nie opuszczał go, podążał za nim krok w krok. Był szczęśliwy, ale było to szczęście z drugiej reki, gdyż pochodziło z rozumu, nie zaś z serca. Ustawicznie powtarzał sobie w duchu: Masz wszystko, czego ci trzeba, powinienes czuć się jeszcze bardziej szczęśliwy. Wszystko na nic. W końcu pogodził się z tym. Przynajmniej był zadowolony.

Gramofon wyłączył się z cichym trzaskiem.

Piękne – powiedział przybysz. – Wprost cudowne. Wydaje mi się, że muzyka to najpiękniejsza rzecz, jaką posiadacie na swojej planecie. Nastaw coś jeszcze!

Głos przybysza z kosmosu był tak łagodny i prosiący, że Förster bez wahania wyciągnął z regału kolejną płytę.

– Dolega ci samotność, co? – zapytał.

– A komuż ona nie dolega – odparł tamten.

Förster skierował wzrok poprzez mroczny pokój na kąt, gdzie zwykle sypiał Samson.

– Tak, komuż ona nie dolega!

Igla spoczęła na płycie. „Strangers in the night”. Barbara uwielbiała tę piosenkę. Ież to razy tańczyła do jej rytmu! Förster nie umiał tańczyć, ale kiedy był razem z Barbarą, zapominał o tym. „Midnight Cowboy”. Tę piosenkę słyszał po raz pierwszy późną nocą w swoim pokoju hotelowym. Ach, te samotne noce jego służby, spędzane w hotelach. Być ostatnim gościem przy barku. Niezdecydowanie kręcić w dłoni pusty kieliszek. Jeszcze raz to samo. Bardzo mi przykro, proszę pana, już zamykamy.

reklama przemysłowa (dekle do wozów sportowych).



HISAKI YASUDA

Miasto III



Ach tak, no to dobranoc. Dobranoc panu. Potem leżeć na łóżku w ciemnym pokoju, niespokojnie, pocąc się. Na zewnątrz taki spokój! Wszyscy śpią. Wszyscy, ale nie ty. Przez radio nadają łagodną muzykę, zbawienie dla wszystkich, którzy nie mogą znaleźć żadnego innego pocieszenia. „Help me make it through the night”. Przyjemnie jest leżeć w ciemnościach i słuchać takiej muzyki. Myśli płyną spokojnie. W twojej samotności kryje się gorzka słodycz. Wspominasz swoje dotychczasowe życie i powoli zasypiasz.

Obecność istoty pozaziemskiej Förster czuł teraz o wiele intensywniej. Tak jakby obcy przysunął się bliżej.

„Moonlight Serenade”. Jeszcze jedna z ulubionych melodii Barbary. Prosiła o nią orkiestrę w każdym hotelu. Była dobrą tancerką. Sposób, w jaki tańczyła tango, sprawiał, że mężczyźni szaleli za nią. Förster rozkoszował się tym tak, jak umiał najlepiej. Ale to wszystko już minęło. Barbara nie żyła. A po to, by zatańczyć tango, potrzebna jest para.

Czuł się niedźwie. Dokładnie tak samo czuł się przybysz. Chybotliwe, niepewne emocje docierały teraz do Förstera, zapewne jako telepatyczny ekwiwalent gwałtownego placzu.

Förster nie wiedział, jak ma się zachować. – Przecież nie było znowu aż tak źle – powiedział bezradnie. I to była prawda. „Serenada księżycowa” przypomniła mu ich dziesiątą rocznicę ślubu. Tańczyli na tarasie luksusowego hotelu na Lazurówym Wybrzeżu. Gwiazdy błyszczały w całej swej śródziemnomorskiej krasie. Morze było ciemnym zwierciadłem, po którym czasem przesunął się fosforyzujący grzebień fali. Gdzieś w pobliżu pluśkała woda z wielobarwnie oświetlonej fontanny. Nieco dalej połyskiwała w ciemności biel przesłodzonej architektury hotelu. Tam na gorze spała w swoim pokoju mała Sandra, szczęśliwa i zadowolona. On zaś tańczył z Barbarą, coraz dalej, coraz dalej. Jego stopy zdawały się unosić w powietrzu. Dzisiejszej nocy był Gary Grantem, a Barbara – Grace Kelly.

Tak.

– Nie było wcale aż tak źle – mruknął. – Nie, naprawdę nie było źle – powtórzył jakby ze zdziwieniem, po czym usnął.

Na jego ustach błąkał się nikły uśmiech.

12 lipca, godzina 15.00.

Urządzenie klimatyzacyjne w sali obrad nastawione było na maksimum. Zimno. Białe ściany, biała skóra. Zimno. Wymuskany typ w garniturze w jodełkę, o oczach jak szklane kulki. Zimno.

Pertraktacje z doktorem Hellmannem – tak nazywał się uśmiechnięty businessman – utknęły w martwym punkcie. Förster nie rozumiał wprowadzić nic z rozmowy, jaką prowadził w nieznanym sobie języku, orientował się jednak, że nie posunęli się do przodu ani na krok.

Czuł, jak narastają w nim gniew i rozpacz; emocje, które nie zrodziły się w nim samym, lecz wydobyły się z hermetycznie zamkniętej zazwyczaj duszy istoty pozaziemskiej, niczym z przegrzanego kotła.

Bezsilność wszechmocnego przybysza początkowo bawiła Förstera, ale po pewnym czasie echo frustracji stało się tak silne i podobne do jego własnych depresji, że zakiełkowało w nim spontaniczne poczucie solidarności. Zapragnął nagle pomóc swemu pozaziemskiemu sublokatorowi, uznał bowiem, że nikt nie powinien być tak upokorzony.

Wykorzystując chaos emocjonalny i utratę kontroli ze strony przybysza, Förster – nie namyślając się długo – po prostu wstał i podszedł do drzwi.

I wtedy wydarzyły się dwie rzeczy.

Usłyszał we wnętrzu swojej głowy coś w rodzaju historycznego śmiechu, a jednocześnie poczuł ulgę.

Doktor Hellmann zerwał się z miejsca i poleciał za nim, obsypując go lawiną słów. Widocznie jego pozycja prze-

targowa nie była tak dobra, jak ją usiłował przedstawić.

I w ten sposób przybysz zdołał dobić targu na warunkach, jakie mu odpowiadały. Kiedy opuścili już budynek biura i wyszli na rozgrzaną ulicę, powiedział zupełnie spokojnie: – Dziękuję, Robercie.

Był to pierwszy raz, kiedy przybysz zwrócił się do Förstera po imieniu.

12 lipca, godzina 23.30.

Również tego wieczoru Förster nastawił te płyty, które akurat wpadły mu w rekę: Czajkowski, Gershwin, średniowieczne madrygały, afrykańskie pieśni plemienne i dużo Mozarta. W pokoju panowała niemal całkowita ciemność, problemy nekające świat były teraz tak odległe... Wszystko składało się wysmienicie.

Szukając kolejnej płyty Förster zwrócił uwagę na boczną półkę. Uśmiechnął się.

– No, proszę – zawołał – tu mamy coś innego. The Rolling Stones. „2000 light years from home” („2000 lat świetlnych od domu”). Coś dla ciebie. I Beatlesi. „When I’m sixty-four” („Kiedy będę miał 64 lata”). To dla mnie.

Jednak gdy ujął płyty, jego ręka zadrżała. Uświadomił sobie, że popełnił ciężki błąd. Nagły smutek wkradł się w jego myśli, jak woda na dziurawy statek. A zapowiadało się tak dobrze!

– Co się stało? – zapytał przybysz.

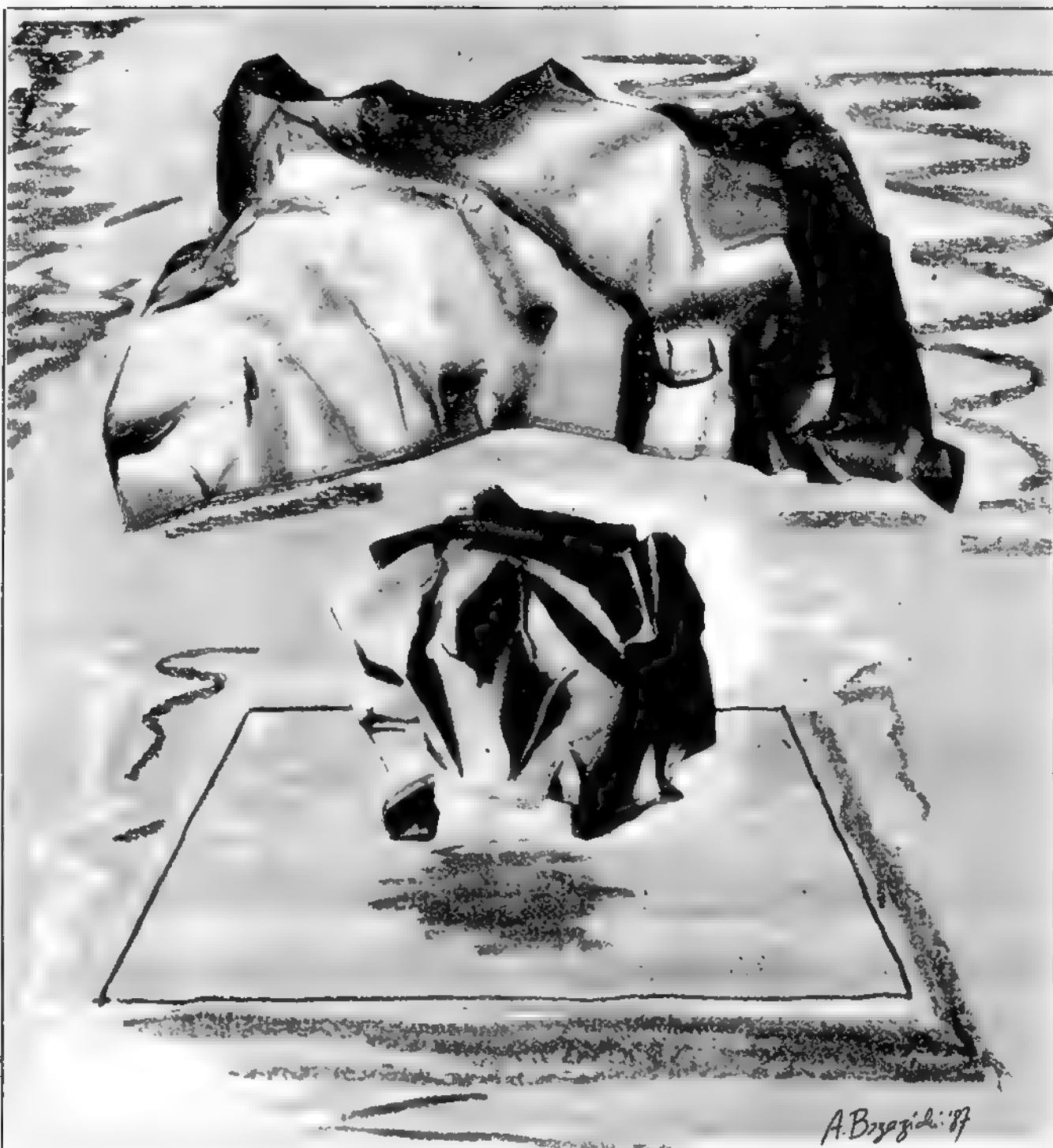
– Moje dzieci – odparł Förster. – Przypomniły mi się moje dzieci. Kiedyś podarowałem im te płyty. Mój Boże, ileż to już lat! Chyba ze dwadzieścia. Sandra i Ryszard...

Sandra była ich pierwszym dzieckiem. Jakże kochał te kruszyne! Kiedy jej drobna dłoń ścisnęła po raz pierwszy jego wyciągnięte ku niej palce, był to dla niego chyba najpiękniejszy moment w życiu. Jej cichy szczebiot, przepelniający dom magiczną harmonią. Pierwsze słowa, pierwsze niezdarne kroki, zakończone nieuchronnym bęc! na owiniętą w pieluchy pupkę. I ta fascynacja, z jaką spoglądał na odkrywanie świata przez jego małość, które podziwiał i śmiało się z rzeczy nie zauważanych już przez niego. Sandra nauczyła go wtedy bardzo dużo: nowej skromności, nowej otwartości na liczne cuda życia. Jakże to proste, być szczęśliwym.

Teraz Sandra ma już swoje dzieci. Wyszła za mąż za faceta, którego Förster nie cierpiał i zamieszkała z nim w Berlinie. Niestety nie mogą przyjechać, tato, Heinz ma tyle pracy! Z dziećmi też mamy wiele problemów, a do tego ta długa podróż. Może innym razem. Dobrze, Sandro, innym razem. Kłk. Nie miałbym nic przeciwko temu, że mnie okłamujesz, gdybyś przynajmniej była szczęśliwa. Ale tak nie jest. O, Sandro! Tyle miłości, która nigdy nie została odwzajemniona.

A Ryszard? On był jeszcze bardziej dziwny. Jako dziecko był zawsze trochę grubawy i ocieślał, ale niezwykle pogodny i zrównoważony; puciołowy aniołek, któremu nikt nie potrafił się oprzeć. Förster przypominał sobie przede wszystkim dwa wydarzenia, zakorzenione na dobre w jego pamięci. Było to w zoo. Ryszard miał wtedy trzy lata. Po raz pierwszy w życiu kupił sobie lody, płacąc za nie odliczonymi uprzednio przez ojca monetami. Tak był z tego dumny, że nie myślał wcale o lizaniu lodów. Nieprzerwanie spoglądał na nie – pierwsze własnoręcznie kupione lody – a kolorowe kulki topniały i kapały, brudząc mu ręce i rozpromienioną z radości twarz. Rok później, w przejmująco zimną niedzielę grudniową, Ryszard wszedł do jego gabinetu, trzymając w reku połamanego samochodzik i poprosił: – Napraw to, tatusiu. Ty to potrafisz. Ty umiesz wszystko. – Förster ujrzał w oczach dziecka bezgraniczną ufność i poczuł, że oblewa go pot, wiedział bowiem, że nie potrafi naprawić tej zabawki. Był to moment tak intensywnej dumy, a zarazem bólu, że poruszał go jeszcze dziś, mimo upływu tych wszystkich lat.

Obecnie Ryszard jest cenionym chirurgiem szczękowym, szczupłym, opalonym, dynamicznym mężczyzną.



Andrzej Gąsienica

Miał idealny dom i idealną żonę. Wszystko, czego dokonał, było idealne. Był nawet idealnie nieszczęśliwy. Ale karty z życzeniami urodzinowymi i świątecznymi przychodziły od niego zawsze na czas.

Dopiero teraz Förster uświadomił sobie, że stoi nadal przed gramofonem, trzymając w dłoni płytę. When I'm sixty-four. Z wszystkich możliwych dróg życia wybiera zawsze tę najgorszą. Jego zasada retrospekcji autobiograficznej.

Machnął bezradnie ręką i usiadł z powrotem. Życie wypełnione walką i dążeniami – po to, by osiągnąć tak mizerny wynik? Kiepski kawał.

Głos przybysza, o którym zupełnie zapomniiał, rozległ się znowu w jego głowie. Był niezwykle delikatny i pełen współczucia.

– Robercie Förster, jesteś dobrym człowiekiem. Bardzo cię lubię. – Zastanowił się przez chwilę. – Twoje wspomnienia zadziwiają mnie każdorazowo od nowa. Okazuje się, że nasze życie ma wiele punktów zbieżnych. Zwalczając złe szanse, dawać to co najlepsze i kończyć jako zwycięzca z poczuciem straty. Znam to doskonale. – Przez umysł Förstera mignął kalejdoskop egzotycznych,

niezrozumiałych scen, wspomnienia z odległej planety. – Dziwne, jak życie we wszechświecie toczy się zgodnie z regułami uniwersalnymi.

W jego słowach Förster dostrzegł prawdziwe ciepło i nagle przybysz przestał wydawać mu się obcy. Współczucie istoty pozaziemskiej było tak zaskakujące jak nieoczekiwana wizyta przy łóżku chorego i tak samo krępujące.

– Dzięki – powiedział. – Dziękuję ci, ee...

– Ssaskan – powiedział przybysz. – Na imię mi Ssaskan.

13 lipca, godzina 7.00.

Ziemię otulała jeszcze poranna cisza, słońce wylonilo się dopiero zza wierzchołków drzew. Jego ukośnie padające promienie rzucały groteskowo wyciągnięte cienie i rozświetlały krople rosy. Gładką toń wody przecinały tylko od czasu do czasu śmigłe ryby. Chłodne, rześkie powietrze owiewające balkon sprawiało, że brzek sztuców śniadaniowych rozbrzmiewał głośniejsze i radośniejsze, niż zwykle.

– A więc jesteśmy teraz przyjaciółmi – powiedział Ssaskan. – Podczas moich podróży służbowych zdarza się

to bardzo rzadko. Najczęściej uznają mnie za ciemieżce, okupanta. Tu, na Ziemi, nie jest inaczej, o ile informacje, jakie otrzymałem, są prawdziwe. Ty stanowisz wyjątek.

- Czy rzeczywiście?

- Tak. Mimo własnych problemów osobistych byłeś nadzwyczaj przystępny. Większość ludzi reaguje histerycznie, kiedy... do nich przychodzi. Ty zaś zachowywałeś się od pierwszej chwili zupełnie spokojnie.

- Może dlatego, że jestem stary. Wiele widziałem w życiu. Wiem, że nie ma rzeczy niemożliwych. Czy jest coś, co zdołałoby mnie zaskoczyć? - Förster upił z filiżanki tyk kawy. - Zresztą ty sam ułatwiłeś mi wszystko. Respektowałeś mnie, przynajmniej po pewnym czasie. Większość z was, gwiazdnych ludzi, jest chyba agresywna. Dlaczego ty jesteś inny?

- Nie jesteśmy grupą homogeniczną. Pochodzimy z różnych planet i dlatego różnimy się między sobą pod względem zachowania. Wiesz, my, Syrianczyki, mieliśmy u siebie niedawno straszliwą wojnę. To doświadczenie sprawiło, że miłujemy pokój bardziej niż inne rasy.

- Rozumiem. Tak, wojna zmienia ludzi. - Myśli Förstera rozpoczęły swoją wędrówkę. Umierający ludzie, unurzani we krwi. Martwe dzieci w ruinach, ciała pozbawione kończyn, nieważne w obliczu wielkich spraw. O Boże!

- Widzę, że myślisz dużo o tych sprawach, Robercie.

- Tak, one zmieniły moje życie.

- Często myślisz też o Barbarze - powiedział Ssassakan, zmieniając temat.

- Po prostu nie potrafię o niej zapomnieć - Förster wpatrywał się w łyżeczkę od kawy, jakby miał przed sobą jakiś egzotyczny owoc. - A przecież nie żyje już od dziesięciu lat.

- Od dziesięciu lat? - powtórzył ze zdumieniem Ssassakan. - Nie przypuszczałem, że minęło już tyle czasu. Ona jest tak bardzo... obecna w twoich myślach.

- Nie przypuszczałeś - zdziwił się z kolei Förster. - Ale przecież powinieneś to wiedzieć, potrafisz odczytywać wszystkie moje myśli.

- To nie jest takie proste. Twoja dusza jest dla mnie jak olbrzymia biblioteka. Mogę uzyskać tam wszelką potrzebną informację. Ale najpierw muszę zajrzeć. Do niektórych książek na regałach w ogóle się nie sięga.

- A, to o to chodzi. - Förster uśmiechnął się w typowy dla siebie sposób, z rezerwą. - A więc jestem w stanie zachować przed tobą jakieś drobne tajemnice?

- Oczywiście. - Ssassakan mówił teraz z namysłem. - Polubiłem cię od tego momentu, kiedy odczytałem twe myśli na temat Barbary. Tak olbrzymia miłość do siostry z Ziemi wywarła na mnie duży wrażenie.

- Siostra...? - wykrusił Förster. - Czy chcesz przez to powiedzieć... czy to znaczy, że jesteś kobietą?

- To właśnie miałam na myśli.

Förster przelknął ślinę. - To zmienia bardzo dużo. Jesteśmy w takim razie na najlepszej drodze do nawiązania romansu międzygwiezdnego, czy nie tak?

Oboje roześmiali się jakby trochę za głośno.

13 lipca, godzina 18.00

W nocy przeszła burza, pozostawiając po sobie bardziej czyste i chłodne powietrze. Dzięki temu rutynowy spacer Förstera po bulwarze sprawił mu większą przyjemność niż zazwyczaj. Pogoda była umiarkowana, widoczność tak dobra, że mógł dostrzec nawet najbardziej oddalone wierzchołki gór. Poza tym miał przy sobie przyjaciela.

Wraz z Ssassakan przylądali się sprzedawcom upominków, którzy składali swoje stoiska z pocztówkami i kiczowatymi, plastikowymi pamiątkami. Pływacy i miłośnicy windsurfingu wracali na brzeg i pakowali swoje rzeczy. Młodzi, harmonijnie zbudowani ludzie, opaleni tak intensywnie, że na tle ciemnych twarzy ich wargi sprawiały wrażenie białych. Wsiadali do swoich bronco, pajero, jeepów, golfów i odjeżdżali na jakieś ważne spotkania. Młodzi, gorliwi hedoniści, zawsze w pogotowiu.

Försterowi wydawali się nadal bardziej obcy niż Ssassakan, ale przynajmniej przestał ich nienawidzić.

- Piękny mamy dziś dzień - powiedział.

- Owszem.

Z drugiego brzegu dobiegały strzepy jakiejs zabawy. Förster wsłuchiwał się przez chwilę w dudnienie kapeli detej.

- Masz może chęć na jakąś muzykę dziś wieczorem?

- O tak - odparła Ssassakan. - Nawet bardzo.

- Proponowałbym w takim razie koncert organowy...

- Urwał nagle, nie wiadomo dlaczego zirytowany. - Czy coś jest nie tak?

- Wracam jutro do siebie. - Głos Ssassakan był beznamiętny, przywodził na myśl informacje przekazywaną przez wokoder. - Moje zadanie zostało wykonane. Komwojażer udaje się w dalszą podróż. Chyba to rozumiesz.

- Ale... - wyjąkał Förster. - ... akurat teraz... - Nie mógł wypowiedzieć ani słowa więcej. W uszach czuł szum krwi, serce waliło jak młot. Dopiero po chwili dokończył: - Właśnie teraz, kiedy odzyskałem trochę nadziei.

- Życie jest jak sadysta - skonstatowała Ssassakan.

Förster nie odpowiedział. Opadł na ławkę, postarzały nagle i bardziej samotny niż kiedykolwiek przedtem. Mimo słonecznej pogody trząsł się jak w febrze.

14 lipca, godzina 15.30.

Z trudną do opisaną satysfakcją Förster rzucił słuchawkę na widełki. Właśnie odwołał swoją cotygodniową wizytę u lekarza. „Niech pan zarabia pieniądze na jakimś innym starym durniu, doktorze. Ja jeszcze nie jestem tak niedołężny, abym musiał stale przesiadywać u pana. Zamelduje się znowu, kiedy będzie mi pan potrzebny”.

Zachichotał. „Zamelduje się znowu, kiedy będzie mi pan potrzebny”. To mu się udało. Z pewnością zaskoczył tego sprytnego półboga w białym kitlu.

Pod każdym względem był to dzień godny uwagi. Kiedy jadł śniadanie w kawiarni „Panorama”, przysiadł się do jego stolika młody, korpulentny mężczyzna. Sprawiał wrażenie speszzonego i zatroskanego. W toku rozmowy, jaka wywiązała się między nimi, okazało się, że młody człowiek odziedziczył firmę, która cieszyła się dobrą sławą, nie mogła jednak konkurować z tanim importem z Dalekiego Wschodu. Sytuację poprawiłyby nowoczesne nakłady inwestycyjne, spadkobierca nie dysponował jednak odpowiednimi środkami finansowymi, a banki nie chciały udzielić żadnego kredytu. W tej sytuacji firmie groziło bankructwo - i to w ciągu najbliższych tygodni.

- Sprawa jest prosta, młody człowieku - poradził mu Förster. - Jedyna rzecz, jakiej pan potrzebuje, to kontrakt na sprzedaż i dzierżawę zwrotną. Wygląda to tak: sprzeda pan swoją fabrykę firmie dzierżawnej. Za to otrzyma pan masę pieniędzy. Jednocześnie wynajmie pan od owej firmy ten sam budynek fabryczny. Będzie więc pan mógł pozostać i produkować nadal, mając jednak ciche rezerwy finansowe. Dzięki tej gotówce będzie pan mógł zainwestować i postawić firmę z powrotem na nogi. Kiedy zgarnie pan wystarczająco duży zysk, powiedzmy po kilku latach, odkupi pan z powrotem swoją fabrykę.

Jego rozmówca zakrztusił się. Kasłał tak intensywnie, że twarz nabiegła mu krwią. - To nieprawdopodobne! - sapał. - To wspaniałe! Jak mam panu dziękować?

- Ależ, mój panie - uśmiechnął się Förster. - Dla mnie była to czysta przyjemność. Może w przyszłości będzie pan myślał trochę inaczej o ludziach starych. Dużo lat oznacza bowiem również dużo doświadczeń. - Podał mu nad stołem swoją wizytówkę. - Proszę do mnie zadzwonić, gdyby wylonił się jakiś problem!

- Uczynię to z całą pewnością - wykrzyknął rozpromieniony młodzieniec i wypadł z kawiarni jak na skrzydłach.

Förster spoglądał za nim zadowolony. A więc jednak nie był jeszcze zniedołężniałym starym durniem! To samo odczuł na własnej skórze kelner, który swoim zwy-

czajem nie zareagował na wezwanie. Förster udał się natychmiast do właściciela, ten zaś z miejsca wyrzucił kelniera. To już piąta albo i szоста skarga na pana w tym tygodniu, Schulz! Mam tego dosyć! Jest pan zwolniony!

Prawidłowo. Tak, ludzie, Förster jest znowu w formie. Lepiej uważajcie i nie wchodźcie mi w drogę! Nie będę już wszystkiego tolerował!

Dzień przebiegł dosyć gorączkowo. Ssassakan miała jeszcze dużo spraw do załatwienia przed opuszczeniem Ziemi. Nie kryła swej irytacji. „Jakie to typowe! Inni mogą tu jeszcze pozostać przez jakiś czas, ale my, Syrianczy, musimy wykonać swoje zadanie w rekordowym czasie. Zawsze to samo!”

Förster nie przejmował się tym. Wprost przeciwnie, wzmożona aktywność sprawiała mu nawet przyjemność. Wolał już to, niż przesiadywanie w ponurym nastroju na ławce w parku i przyglądanie się zabawie z zewnątrz.

Może właśnie dlatego zareagował tak szybko w hotelu „Pod Łabędziem”. Skonczył akurat naradę z jednym z partnerów handlowych Ssassakan i czekał w hallu na taksówkę. Na ulicy szalała letnia, gwałtowna burza. Deszcz huczał za oknami jak wodospad. Wtem do środka wbiegła jakaś kobieta z olbrzymim nowofundlandczykiem, przemoczona do suchej nitki. W tej samej chwili w biurowiec mieszczący się po drugiej stronie ulicy uderzył piorun. Potworny huk poprzedzony oślepiającą błyskawicą wypełnił najdrobniejszy zakątek hotelu.

Pies wyrwał się z rąk swej pani i ujadając zawzięcie pognał przerażony przez hall. Wyglądał jak agresywny, niebezpieczny potwór.

Förster był jedynym z obecnych, który zareagował. Kiedy nowofundlandczyk przebiegał obok niego, chwycił za smycz i zawołał ostro: – Siad!

Pies był tak dobrze wychowany, że mimo strachu posłuchał natychmiast. Förster poglaskał go po grzbiecie. – No, już dobrze, Samson, już dobrze! – uspokajał go. – Wszystko w porządku. Już dobrze.

Z oczu psa zaczęła znikać panika. Do Förstera podeszła właścicielka nowofundlandczyka.

– Bardzo dziękuję – powiedziała spokojnie.

Förster spojrzał na nią i uświadomił sobie natychmiast, że jest to wyjątkowy moment w jego życiu. Znowu była przy nim Barbara. Oczywiście nie ta prawdziwa, ale tak właśnie wyglądałaby Barbara, mając 60 lat. Krótkie, siwe włosy o niemal metalicznym odcieniu, ostrzyżone na pazia, szare oczy, reagujące z rozbawieniem na jego uporczywy wzrok, żywa twarz, nie kryjąca rzeczywistego wieku, a mimo to promieniejąca młodzieńczą witalnością. Proste, ale drogie ubranie.

– Zareagował pan z niezwykłą przytomnością umysłu – powiedziała. – Jestem naprawdę bardzo wdzięczna, panie...

Förster nadal nie mógł oderwać od niej wzroku. Jej wygląd, sposób, w jaki mówiła... To chyba cud! Uświadomił sobie nagle, że przez te wszystkie lata, przegniety gniewem i melancholią, czekał właśnie na tę chwilę, tak jak świeca na zapalce, która by ją zapaliła.

Przypomniał sobie, że nie odpowiedział jej jeszcze na pytanie. – Förster – poprawił się. – Robert Förster.

– Jestem Katarzyna Erhard – uśmiechnęła się. – A pan jest chyba reporterem? Wygląda pan na dosyć ciekawskiego.

– Ależ nie, bardzo przepraszam, ja... – Ku swemu zdumieniu objął ją machinalnie ramieniem i spontanicznie zaproponował: – Jest pani cała mokra. Proszę zdjąć płaszcz i podejźmy do barku. Przyda się pani kieliszek whisky na rozgrzewkę.

Uśmiechnęła się ponownie, powiedziała „dobrze”, a potem siedzieli w przyćmionym, wyłożonym boazerią barku, długo, nie mogąc się nagadać. Powietrze przesycone było czystym zapachem drzewa, skory i tytoniu, zmieszany z wytwornym aromatem jej perfum.

Förster był szczęśliwy.

14 lipca, godzina 21.00.

Od wschodu na niebo wkradła się noc. Na zachodzie dzień zęgał się dziwacznymi formacjami chmur, płynącymi w stronę nurzającego się w złości, czerwieni i purpurze widnokregu.

Förster stał na tarasie zamku Herrenchiemsee podziwiając piękno parku, wchłanianego powoli przez mrok. Strumyk z dużej fontanny, wykonywał pełne gracji, coraz to nowsze figury taneczne. Z sali lustrzanej, znajdującej się za Försterem, padało na taras silne światło. W środku płonęły setki pochodni, a ludzie w strojach wieczorowych oczekiwali niecierpliwie na rozpoczęcie koncertu.

A Katarzyna czekała na niego. Przypominał sobie przejażdżkę parowcem, który przewiózł ich przez jezioro na wyspę, gdzie znajdował się właśnie zamek Herrenchiemsee. Przez cały czas stali oparci o reling, w milczeniu, chociaż w głowach kłębiły się myśli. Wieczorny wiatr przynosił woń siłowia. Förster wsłuchiwał się w astmatyczne sapanie starego parowca. Ileż rzeczy, których przez ostatnie lata w ogóle nie dostrzegał, widział teraz i czuł.

W sposób zupełnie naturalny ujął jej dłoń i pocałował ją. Zetknięcie ich warg było tak łagodne, tak cudownie delikatne, jak to można spotkać jedynie u małych dzieci, odkrywających właśnie w sobie dar dawania. Potem wrócili do innych pasażerów i napili się szampana, aby uczcić ponowne otwarcie życia Förstera.

– Jestem bardzo szczęśliwa – powiedziała Ssassakan – że mój pobyt na Ziemi kończy się tak pięknym dniem. Teraz będę cię musiała opuścić, Robertcie.

Förster kiwnął głową. Była to smutna chwila, wiedział jednak, że musiała nadejść.

– Ssassakan – powiedział. – Chciałbym powiedzieć ci tak wiele, że nawet nie wiem jak...

– Nie musisz nic mówić – usłyszał głos Ssassakan. – Wiesz przecież, że cię przenikam.

– Rzeczywiście. – Förster roześmiał się. – Co za nieprawdopodobna historia! Istota pozaziemska pomaga mi wrócić do życia.

– Właściwie to sam sobie pomogłeś – powiedziała Ssassakan. – Ja tylko przerwałam twoją rutynę, tak jak ty przerwałeś moją. Wiele nauczyliśmy się wzajemnie od siebie.

– Tak. Wielka szkoda, że musisz już odejść.

– Przecież masz teraz Katarzynę.

– Na szczęście tak. Gdyby nie ona, nie zniósłbym tego, że cię tracę. – Coś mu nagle przyszło do głowy. – Hej, zczekaj chwilę! Katarzyna... ten młody człowiek z firmy zagrożonej bankructwem... Katarzyna jest bardzo podobna do Barbary. Dużo zbiegów okoliczności jak na jeden dzień! A to, że już po minucie objąłem Katarzynę, nie leży w moim zwyczaju. Ty zaaranżowałaś wszystko i potem pociągałaś trochę za sznurki, czy nie tak?

– Może tak, może nie – odparła Ssassakan. – To nie istotne. Najważniejsze, że jesteś szczęśliwy. To ułatwia pożegnanie.

– Ty szatanie – szepnął Förster. – Lubię cię. Niech to diabli, lubię cię!

– Ja też ciebie lubię, Robertcie. Bądź zdrow. Trzymaj się.

– Bądź zdrowa, Ssassakan. I dziękuję za wszystko.

I Förster pozostał znowu sam. Zatopiony w myślach wpatrywał się w park, jego wargi poruszały się, mamrocząc coś bezgłośnie. Następnie odwrócił się i skierował do jasno oświetlonej sali lustrzanej. Już na progu odwrócił się i spojrzał za siebie, na niebo.

Wiele szczęścia, Ssassakan, gdziekolwiek jesteś.

Powoli zapalały się gwiazdy.

obrócił się na pięcie i skierował ku środkowi barki, tam gdzie w uległej pozie czekał Jednooki. Być może spodziewał się nagrody lub choć gestu pochwalającego jego podłość. Lecz strażnik obrzucił go gwałtownymi obelgami.

*

Barka dobiła do Me-Ghir po dwóch dniach żeglugi i bez żadnych innych zajęć. Pilnowani przez straż więźniowie zeszli na ląd w strugach deszczu. Całą grupę przejął jakiś wyższy ranga żołnierz i poprowadził pod ponure zadaszenie, dające jako takie schronienie przed deszczem. Dwie rozczochrane, nędznie odziane staruchy krzątały się wokół wielkiego, dymiącego kotła. W kącie oczekiwała już inna grupa zesłańców.

Gavor chwile wyleżał gorącą zupę i przełknął gotowany boczek i pory, mimo ich obrzydliwego smaku. We wszystkich strawach czuł straszną wilgoć, a całym jego ciałem wstrząsał dreszcz przenikliwego chłodu, na przemian z napływającymi falami gorąca.

Przerwa nie trwała długo. Pod prowizoryczne schronienie podjechał rząd wozów i więźniowie zostali wepchnięci do ustawionych na nich klatek. Na szczęście strugi deszczu przemieniły się w drobną mżawkę, która jednak niechętnie siekła ciała, aż do zupełnego zwiórczenia mięśni.

Konwoj przejechał między dwoma rzędami osmalonych resztek domostw wyludnionej osady, z chylącymi się murami i resztkami kominów, i zagłębił się w dębowy las, tak ciemny, że zdało się, jakby zapadła noc. Słychać było uporczywe nawoływanie sojek, zagłuszone niekiedy wysokim i stanowczym krakaniem kruków. Podróż przeciągnęła się przez całe popołudnie, bez krótkiej choćby przerwy. O zmierzchu, po przebyciu zalesionego obszaru, wozy dotarły na skraj trawiastej równiny. W miarę posuwania się naprzód, trawa stawała się coraz rzadsza i stopniowo ustępowała twardemu i kamienistemu podłożu.

W złudnym świetle zachodzącego słońca wzgorza Me-Ghir wznosiły się niby porosnięte mchem czaszki z pustymi, bielejącymi oczodołami: były to pozbawione roślinności wyrobiska.

Wozy zatrzymały się przy pierwszych podjazdach, w długiej wąskiej kotlinie, porośniętej trawą i suchymi szkieletowymi krzewami.

Po zachodniej stronie kotliny ciągnęło się długie na pięćdziesiąt lokri, wsparte na słupach schronienie dla wozów, które nieustannie krążyły między kamieniolotami w Me-Ghir a ościennymi rejonami, zaopatrując je w kamienne płyty i tłuczeń. Po stronie południowej widok na wzgórze przestępował zaniedbany, masywny budynek. Nieliczne okna wzmocnione były solidnymi kratami, a skrzydeł potężnej bramy strzegły skomplikowane zasuwki. Nie opodal znajdowały się dwie mniejsze budowle: pierwsza to zapewne magazyn, druga mieściła kwatery strażników.

Gavor wraz z więźniami został brutalnie popchnięty w stronę centralnego budynku, mieszczącego skazanców. Jeden ze strażników odryglował drzwi i szeroko otworzył oba skrzydła. Drugi strażnik zniknął wewnątrz, oświetlając pomieszczenie niewielką latarnią i po krótkim przeglądzie zakrzyknął.

- Tutaj jest miejsce dla trzech.

Trzech skazańców popchniętych zostało w tamtym kierunku.

- Tutaj czterech - krzyknął strażnik. - Tutaj jeden, tutaj trzech, tutaj dwóch...

Gavor znalazł się mniej więcej na środku budynku, który dawniej musiał być stajnią, jak można było sądzić po żłobach, umieszczonych wzdłuż bocznych ścian pomieszczenia.

Odór ekskrementów i moczu był nie do wytrzymania, gesta, czarna ciecz zalegała dwa równoległe kanały, ciągnące się przez całą długość budynku. Gavor ujrzał ludzkie cienie przykucnięte nad nimi w najbardziej groteskowych pozycjach, okryte łachmanami, skrawkami zniszczonego płótna z żółtymi plamami.

Strażnik szybkim ruchem przykuł mu rękę do przytwierdzonego do żłobu kółka. Gavor opadł na ziemię, starając się zgarnąć jak najwięcej słomy, gdyż znalazł się na gołych kamieniach posadzki, a jego wycieńczone ciało potrzebowało suchego miejsca, żeby osuszyć się po wielu godzinach przebywania na deszczu.

W parę minut strażnicy uporali się ze wszystkimi więźniami i odeszli klnąc i złorzecząc.

Gavor natychmiast zasnął

LINO ALDANI
DANIELA PIEGAI

Znak białego księżycyca

(Nel segno della luna bianca)

Przełożył Radosław Kłos

„Znak białego księżycyca” jest jedyną dotychczas powieścią spótki autorskiej Lino Aldani – Daniela Piegai. Lino Aldani, ur. w 1926 roku, autor dwóch powieści fantastyczno-naukowych („Quando le radici”, 1977; „Eclissi 2000”, 1979) oraz wielu opowiadań jest najczęściej tłumaczonym włoskim pisarzem SF (przekłady na języki: angielski, francuski, niemiecki, rosyjski, hiszpański, rumuński, holenderski, japoński). Jest redaktorem naczelnym i założycielem czasopisma „Futuro”. Daniela Piegai ma w swoim dorobku powieści oraz opowiadania SF (m.in. za opowiadanie „La dama delle sette lune” otrzymała nagrodę Mary Shelley, 1979).

Zamiarem autorów było stworzenie opowieści w stylu swobodnej średniowiecznej heroic fantasy. Lecz efektem współpracy autorów o dociekliwym usposobieniu jest dzieło znacznie poważniejsze, nie pozbawione głębszej symboliki, której sednem jest idea wolności.

R.K.

Rozdział I

Gavor zasiadł w cieniu gigantycznego wiazu i spokojnie obserwował pasące się nad brzegiem stawu żrebaki. Rozleniwione wśród listowia ptactwo zamilkło w południowym skwarze i niepodzielnie panovalo szalone cykanie świerszczy.

Gavor zlewnął i przetarł oczy, żeby odegnąć ogarniającą go senność. Lecz po chwili drgnął, wyczulonym słuchem wyławiając odgłos kroków za plecami.

Odwrocił się gwałtownie. Jakis mężczyzna zmierzał przez polane wprost do stawu. Gavor rozpoznał go bez trudu: kotyszający się chód, czerwona kita pior, krzywe i owłosione ogromne nogi nalezec mogły jedynie do Grumaka, kapitana straży.

- Witaj, chłopcze - dobrodusznie pozdrowił go kapitan. - Jak widzę, siedzisz sobie beztrząsco w cieniu.

- Drzewo jest duże i starczy pod nim miejsca dla wszystkich - odparł Gavor z cieniem irytacji w głosie. Grumak nie był złym człowiekiem, ale zbyt często naprzykrzał się pytaniami, które prawie zawsze wprawiały w zakłopotanie.

Kapitan zdjął z ramienia łuk i kołczan i rzucił je na ziemię. Potem odpiął miecz i schował zakurzone buty.

- Chce się ochłodzić - powiedział i skierował się do stawu. Kiedy mężczyzna znalazł się na brzegu, dwa żrebaki odskoczyły spłoszone. Grumak zrzucił z siebie kaftan, zanurzył czubek stopy w wodzie i zaklął, gdyż woda przypominała ciepłą zupę i wcale nie zachęcała do odświeżenia się. Zanurzył się jednak i zaczął oddalać od brzegu, aż woda sięgnęła mu do pach. Wówczas zaczął młotać się niby oszalała kura, wznosząc bryzgi piany.

Gavor obserwował go rozbawiony. Grumak uspokoił się na chwilę.

- Hej, chłopcze, co w tym śmiesznego?

- Twój kapelusz - odparł Gavor. - Załóż się, że nie zdejmujesz go nawet, gdy kładziesz się spać.

- Właśnie tak - odburknął kapitan, który niechętnie odsłaniał swoją łysą jak kolano czaszkę.

Tymczasem Gavor podniósł z ziemi łuk, nałożył strzałę i wodził to w jedną, to w drugą stronę, jakby w poszukiwaniu ukrytych celów.

- Odłóż to - spokojnie odezwał się Grumak. - Nie dla ciebie taka zabawka

- Moge trafić w jabłko z dziesięciu kroków - dumnie zapewnił młodzieniec.

- Też mi sukces! - zadrwił kapitan. - Dobry łucznik potrafi rozłupac orzech z dwukrotnie większej odległości...

Gavor obruszył się:

- Gdybym tak mógł poćwiczyć... - westchnął. I po chwili: - Zostaw mi łuk, Grumak, a nim minie miesiąc, pokażę ci, jak trafić ziarno grochu z trzydziestu kroków.

Kapitan straży zaśmiał się: - Fanfaron z ciebie! W każdym razie, dobrze wiem, że nie masz prawa posługiwać się bronią. Dość już z tobą żartowałem, tego łuku nie powinien być nawet dotykać.

Ale Gavor nie słuchał tego, co mówił wychodzący z wody Grumak. Patrzył na błądy brzuch kapitana, wydatny i nabrzmiały niczym worek, i szybkim ruchem skierował w jego stronę łuk:

- Gdzie mam wbić ci strzałę? W pepek? A może wolisz między oczy?

Grumak potrzaskał z rozdrażnieniem głową.

- Jesteś młody i głupi - zawyrokował. Mamroczać jakieś przekleństwa, strząsać z siebie pijawki, które przyczepiły mu się do piersi i tydek, zebrał swoje rzeczy i zaczął się ubierać.

- Jesteś jak dzikie zwierzę - ponowił. - Same mięśnie i nic rozumu. Znajdź się coś do picia?

Gavor odłożył łuk i poszedł pod drzewo po bukłak. Grumak wlał do gardła parę długich łyków, powoli, bez zachłanności. Wierzczał dłońmi osuszając wąsy.

- Zastanówmy się, chłopcze. Twój ojciec twierdzi, że za parę dni kończysz dwadzieścia lat i sam zdecydujesz. Coś mi się jednak widzi, że propozycja przeniesienia się do zamku i wstąpienia w służbę Khavla, naszego pana, nie neci cię zbytnio.

Gavor wzruszył ramionami i gniewnie zmarszczył brwi.

- Kto lub co cię powstrzymuje? - ciągnął kapitan. - Może twój wuj Obher nie jest z tego zadowolony?

drugi usadowiony pod ochronnym daszkiem w środku pokładu. Zjawił się przewoźnik i przy wtórze przekleństw i ogólnym gderaniu rozdzielili suchary i suszoną rybę.

- Nie poddam się - mówił Zobra, szczerząc zęby. - Nie zobaczą mnie w Me-Ghir: kiedy tylko nadarzy się sposobność rozwałę ten zbutwiał koleś i skacze.

- Utoniesz - ostrzegał Gavor. - Rzeka jest pełna pułapek, wirów i zdradliwych prądów.

Wskazał brodą na łuczników, pilnujących barki.

- Podziurawia cię jak sito. W Me-Ghir spokojnie będzie można pomyśleć, jak uciec.

- Nikomu nie udało się jeszcze zbiec z Me-Ghir - wymamrotał olbrzym. - Umrzemy tam okropną i powolną śmiercią. Ja spróbuję wcześniej, przy pierwszej okazji.

Po posiłku więźniowie zaintonowali żalosnie smutną pieśń, podczas gdy przewoźnicy dokładali starych, by tykami i wiosłami utrzymać barkę w głównym nurcie rzeki. W ciepłych promieniach słońca, które niby jaskrawe oko wzbijało się na kryształowe niebo, Gavor zapadł w absurdalny poisen, pełen zjaw i wspomnień, okropności i kuszących syren.

Wstrząsnął nim nagły wrzask. Unosił się na łokciach i otepiałym jeszcze spojrzeniem ogarnął towarzyszy niedoli, którzy przycupnięci wzdłuż burty, przy ogólnej wesołości, zafatwiali do rzeki swoje cielesne potrzeby. Przykuci na środku pokładu nie mogli dostać się do burty, kieli więc głośno i groźnie wszczęciem zamieszania. Zobaczył jednookiego beczelnie sikającego dookoła. Wreszcie przewoźnicy uwolnili najbardziej potrzebujących, umożliwiając im zafatwienie naturalnej potrzeby, jednak pokład zdążył zamienić się już w śmierzdzący ściek.

Zobra wykorzystał zamieszanie i rozwałił koleś, którym przygwożdżony był do pokładu, i z powrotem położył się na plecach, badając wyrwany łańcuch.

- Gotowe - wyszeptał olbrzym, wydłużając szyję w kierunku ucha Gavora. - Słuchaj teraz uważnie, przyjacielu. Widzisz to zakole, tam dalej, gdzie rzeka jakby zniknęła pod ziemią? Prąd musi być tam silny i przesunięty ku brzegowi. Spróbuj odwrócić na chwilę uwagę łuczników, a ja wsłiznę się do wody i zmykam.

Gavor niespokojnie potrzaskał głową, nie wierząc w powodzenie tego zamiaru. Zobra jednak nalegał niemal biagalnie.

- Zgoda - powiedział wreszcie Gavor. - Powodzenia, przyjacielu. Niechaj bogowie cię strzegą.

Kiedy barka znalazła się w pobliżu zakola, Gavor nagle wstał i zaczął krzyczeć co sił w płutach:

- Tam w dole, patrzącie, Wielku Gruggar, tam, na zachodnim brzegu! - i przedramieniem osłaniał wzrok, jakby przejęty grozą.

Przewoźnicy skupieni na trudnym manewrze zeszytnieli z uniesionymi wiosłami, człowiek przy sterze pociął na moment drąg sterowy, tak że barka obrociła się na lewą burtę i zaczęła niebezpiecznie się przechylać. Więźniowie zaczęli wrzeszczeć przeraźliwie i unosząc się na kolanach, wyteżali wzrok, wypatrując Wielkiego Gruggara, legendarnego weża rzek. Także i dwaj łucznicy, z łukami opuszczonymi, patrzyli na zachód, przesłaniając dłońmi oczy.

Zobra wsłiznął się do wody niczym węgorz. Jednooki nie dał się jednak zwiesić. Może śledził każdy ruch Zobry od chwili, gdy olbrzym roztrzaskał pacholek, a może z wiatrem dotarły do niego po głosem wymawiane słowa.

Piskliwym krzykiem, w którym czuło się nienawiść i żądze zemsty, zwrócił uwagę strażników. Wyrzgnięta ręka wskazywał punkt na rzece, w którym niby napelniony pecherz, wynurzała się łysa czaszka Zobry.

Łucznik, stojący obok strażnika, w oka mgnienia wypuścił strzałę, która utkwiała między łopatkami olbrzyma. Zobra wydał desperacki gardłowy okrzyk, uniósł nad wodę obciążone łańcuchem ramię, a całe jego ciało obrociło się w wodzie i zniknęło pod falami. Kiedy na jedną chwilę raz jeszcze się wynurzył, twarz miał skierowaną ku rufie barki, żrenice białe niczym jajka i szeroko otwarte, domagające się powietrza usta. Znajdował się o jakieś trzy łutyny ruchów ramion, ale niezawodny łucznik drugą strzałą przeszył jego szeroko rozwarte usta.

Gavor osunął się na pokład. Nie słysząc było ani jednego słowa, wszyscy wstrzymali oddech. Łucznik podszedł do niego i utkwiał w nim wzrok z dłońią opartą na rekojesci miecza. Zabije mnie, pomyślał Gavor z szalonym biciem serca. Żegnaj świecie, żegnaj Duno, żegnajcie wszyscy. Ale, o dziwo, strażnik

Jest i dla ciebie – powiedział, zwracając się do Gavora, kiedy zaspokoili już pierwszy głód. Gavor ze zniecierpliwieniem wzruszył ramionami. Spoglądał na najmłodszego z więźniów i wydawało mu się, że ten płacze. Podszedł do niego, omijając cuchnące ekskrementy.

– Co ci jest, chłopcze?

Chłopiec płakał naprawdę. Poruszał głową ledwie dostrzegalnymi ruchami, a całym jego ciałem wstrząsał dreszcz, nad którym nie potrafił zapanować.

– Co ci jest? – powtórzył Gavor. Ponieważ nie otrzymał jednak żadnej odpowiedzi, zwrócił się do dwóch pozostałych więźniów, którzy leżeli nie opodal, bez spodni.

– Co się wtrącasz? – krótko uciął potężniejszy z nich mocnym, barytonowym głosem. – Chłopak płacze, bo chce, jest płaczliwy jak kobieta. Odczep się, bo chcemy spać...

Ale drugi, nerwowy chudzielec z orlim nosem i czarną opaską na oku, zaczął się śmiać.

– Gdyby miał brodę i wasy – odezwał się ostro – nic by mu nie było. Ale widzisz, jaką ma gładką i delikatną skórę. Przeklęty! Już od trzech miesięcy nie dotykam kobiety i kiedy dzisiaj straż wrzuciła tu te łanie, okrągłutką i bez kołców, nie poza nim nie widziałem...

Nie zdążył jednak dokończyć. Zobra schwycił go za strzępy ubrania i uniósł jak gałązkę, wcisnął głowę do kotła i wrzeszcząc zaczął go niemiłosiernie kopać.

Drugi więzień zerwał się na równe nogi, zamierzając dopaść Zobrę od tyłu, ale Gavor podłożył mu nogę i ten potoczył się wśród resztek z kotła i ekskrementów.

W otworze mignęło czerwone światło. Jakis wzburzony głos budził strażę, ale nim te przybyły, Żelazna Reka zdążył już złamać kark napastnikowi i pogruchotać żebra jednookiemu.

Gavor spędził noc bezsenne, rozdrażniony fetorem pomieszczenia, szlochaniem chłopca, jękami poturbowanego i śpiewem pijaków uczujących nad rzeką.

Natomiast Zobra chrząkał niczym wieprz.

Rozdział XIII

W Me-Ghir, rzeczonym porcie okręgu Kongarabh, ładowacze wywozili się spośród ludzi najbroźniejszego pokroju, wielu z nich pochodziło z bardzo odległych prowincji. Na uliczkach i zaułkach przewijali się byli galernicy, uciekinierzy, awanturnicy, złodzieje i prostytutki, przemytnicy, jasnowidze, paserzy i pozbawieni skrupułów handlarze. Schronili się oni do strefy, w której nadzór był łagodny i panowała duża tolerancja.

Kiedy Gavor i reszta więźniów zostali wyciągnięci z ponurych kazamatów, w porcie już wrzało. Niekończąca się karawana mułów stała wzdłuż ścieżki do holowania barek, tratwy to dobijały do nabrzeży, to kierowały się na środek szlaku rzecznego.

Zjawił się dowódca straży, z oczami jeszcze zaspanymi i twarzą czerwoną po nocnej hulance.

– Jeden z was skreślił kark więźniowi Grenko – powiedział jakby siłamszonym głosem. Utkwił wzrok w muskularnych ramionach Zobry.

– Z całą pewnością ty – dodał. – Powinieneś cię za to powiesić, gdyż pozbawiłeś nas pary rąk, potrzebnych w kamieniołomach Me-Ghir. Ale jeśli cię powieszę, stracę następną parę rąk i to jeszcze lepszych. Masz szczęście, tyś pako. Nie mam nawet czasu, żeby cię wychłostać. barka do Me-Ghir już przybiła i lada moment wyrusza.

Obrócił się w stronę chłopca.

– A ten? Co tutaj robi ta laleczka? Zabieraj się stąd! Wyślijcie go do kuchni, niech skrobie zieleninę. Coś takiego w kamieniołomach Me-Ghir jest zupełnie zbędne.

I oddalił się, ciskając przekleństwami. Straż powlekła Gavora, Zobrę i Jednookiego przez plac i dalej w dół, schodami prowadzącymi na nabrzeże, gdzie oczekiwała już ogromna barka.

Na pokładzie Gavor naliczył dwudziestu czterech więźniów, sztywnych z zimna po nocy spędzonej pod gołym niebem. Wszyscy byli przykuci do solidnych pachołków łańcuchami obejmującymi ich w kostce lub za nadgarstek. Jednookiego umieszczono na wolnym miejscu pośrodku barki, Zobra i Gavor znaleźli się na prawej burcie, w części rufowej.

Dwaj łucznicy ze strzałami na cięciwach stali na straży, jeden okraciem na wydłużonej dziobnicy,

A może z powodu córki pastucha krów Lokusa?

– Duna nie ma z tym nic wspólnego – pośpiesznie zapewnił Gavor. – Prawda jest taka, że nie chce opuszczać mojego domu, czuje się bardzo przywiązany do rodziny, lubię rozmawiać z wujem Obherem, a przede wszystkim lubię zajmować się koniami...

– Ależ oczywiście! – z ironią przerwał mu Grumak. – Lubisz zajmować się koniami, ale lubisz także strzelać z łuku i władać mieczem. Musisz wybrać, mój chłopcze. W zamku, poza dobrym żołędem, czekają na ciebie najlepsi mistrzowie wojennego rzemiosła, kobiety i uczy, wszystkie konie – jakie tylko zechcesz, i wszystko to, czego może zapragnąć krzepki młodzieniec. Z twoimi mięśniami i tymi dziwnymi żółtymi iskrami w oczach z pewnością zrobisz furorę, a kiedy ja będę już stary – kto wie, może zajmiesz moje miejsce. A jeśli zostaniesz tutaj, skończysz niancząc twoich staruszków. Powtarzam ci, Gavor, dość już z tobą zartowałem. By cię zachęcić, pozwoliłem nawet wypróbować ci moją broni, choć w myśl prawa nie powinienem jej nawet tknąć. Ale zabawy się skończyły. Jeśli nie zamierzasz zaciągnąć się do straży, trzymaj się z dala od mieczy i łuków, wiesz, jaka czeka za to kara.

Gavor zacisnął usta, próbując powstrzymać narastającą złość. – Miałbym jeszcze mój sztylet – powiedział ostro. Gwałtownym ruchem wyjął broni, której rekojęść wystawała mu ponad lewym ramieniem.

– O tak – zgodził się Grumak. – Sztylet to broni krótka i masz do niej prawo. Ale sztylet to narzędzie zbiorów i pachołków, prawdziwy mężczyzna nosi łuk na ramieniu i miecz u boku.

Grumak raz jeszcze przechylił bukłak, po czym wyprostował się. – Twój ojciec chyba podkuł mi już konia – odezwał się głosem już obojętnym.

Wydawało się, że rozmowa jest zakończona, ale Gavor skorzystał i z tej okazji, żeby dociąć kapitana:

– W zamku macie chyba dobrych kowali. Dlaczego zawsze przychodzisz do mojego ojca?

– Tak, kowali mamy wybornych, ale ja wolę twojego ojca. Jest najlepszym kowalem w całej prowincji, a twój wuj, Obher, to najlepszy siodlarz w okręgu. A poza tym... przychodzę, by pomówić z tobą, dzika bestio... Nie sposób nazwać cię inaczej.

Zebrał broń i skierował się w swoją stronę, ale po stu krokach odwrócił się i krzyknął:

– Kiedy się zdecydujesz, staw się pod północną wieżą i pytaj o mnie. Jeśli przyjdiesz, żeby zostać, każę grać trębaczom i wydam najwspanialsze przyjęcie.

★

Później, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Gavor zgromadził wszystkie konie i zapędził je za ogrodzenie, gdzie pod skromnym dachem ze słomy i gałęzi znalazły schronienie przed wilgotnym chłodem nocy.

Przemierzył polane i ścieżką skierował się do domu. Duna, jak każdego wieczoru, oczekiwała na niego w połowie drogi, pod Debem Gromu.

– Ten człowiek znowu tu był – powiedziała dziewczyna. W głosie jej wyczuł zawziętość. – Spostrzegłam go, gdy wypasałam jałóWKi po zachodniej stronie wzgorza...

– Tak, wrócił, ale nie dałem mu posłuchu.

– Nienawidzę tego człowieka...

– Grumak nie jest zły – próbował oponować Gavor. Dziewczyna była jednak zbyt wzburzona, a w jej ciemnych oczach kryła się zaciętość i gniew.

– Nienawidzę go – powtórzyła Duna. – Przychodzi tutaj, żeby odciągnąć cię od nas, uwodzi cię i schlebia na tysiąc sposobów, bo chce mieć ciebie w zamku jako żołnierza.

– Powiedziałem ci już, że nie dałem mu posłuchu.

– Dzisiaj! Ale Grumak jest jak pies i nie wypuści kości. Bedzie wracać, aż ustąpisz.

Gavor już jej nie słuchał. Przygarnął ją, a jego dłoń zagłębiła się w rudych włosach dziewczyny, zdecydowaną, niemal natarczywą pieszczotą. Duna uwolniła się z objęć chłopca i odsunęła o parę kroków.

– Dzisiaj nie mogę zostać... Urodziła się para cieląt, z krową jest źle i jestem potrzebna...

Chciał ją zatrzymać, ale dziewczyna czmychnęła niczym młody jełonek i w mgnieniu oka zniknęła za zakrętem ścieżki.

Już w domu Gavor w milczeniu zjadł zupę z rzepy, ale kiedy matka wniosła pieczonego krowka, wydał okrzyk zdziwienia. Widocznie jego młodszemu bratu, Thurno, poszczęściło się przy wymyślnych sidłach, które z uporem, acz zazwyczaj bezskutecznie, zakładał.

Jego ojciec Raklo i wuj Obher żuli, nie podnosząc oczu znad miski, natomiast jego siostra Agla i młody Thurno oblizywali palce, a ich radosne okrzyki były oznaką zaspokojonego łakomstwa.

Przez otwarte na oścież wejście wpadał mroczno-czerwonymi, nikłymi cieniami, blady blask zachodzącego słońca. Od ściany do ściany niepewnie przeleciał nietoperz, a na dworze psy ujadły do wschodzącego księżyca.

Matka zapaliła kaganek i zaraz cmy całą chmurą zaczęły krążyć po izbie. Nikt się nie odzywał, żeby nie wspominać Grumaka, który pod wieczór przyszedł podkuc konie, knując swoje intrygi. Po pewnym czasie wuj Obher mrugnął do niego porozumiewawczo.

- Chodź do mnie, Gavor. Chcę pokazać ci mapę... prawie już ją skończyłem.

Obher unosił się i powłócząc kaleką nogą wyszedł z izby. Gavor ruszył za nim prawie na oślep sienią do pomieszczenia, w którym wuj szyl siódła i naprawiał obuwie. Na progu starzec zawahał się chwilę, nie dłużej jednak niż potrzeba mu było na rozjasnienie pomieszczenia, po czym zamknął drzwi i powiedział niemal szeptem:

- Napijemy się, ale tego dobrego.

Gavor uśmiechnął się. Wino było słabością wuja Obhera, zawsze dbał, żeby w skrzyni w jego warstwie nie zabrakło własnych, skrzętnie chowanych zapasów, przeciwko czemu nikt z domowników nie śmiał protestować.

Obher wcisnął mu kaganek do ręki i opróżnił stół z licznych narzędzi. Pachniało dziegiem i skórą. Gavor zawsze lubił ten zapach; pamiętał go jeszcze z dzieciństwa, kiedy gnany ciekawością zjawiał się po kryjomu wśród stert butów i koziołków pod siódła.

Obher napełnił dwa kielichy z polerowanej cyny:

- Do dna - zachęcił z chytrą iskierką w oku. - Wino to najlepsze lekarstwo na wszelką dolegliwość, pomaga w rozwikłaniu wszystkich problemów, a jeśli nawet ich nie rozwiąże, jest przynajmniej najlepszym pocieszeniem.

Przez chwilę trwali w milczeniu, popijając i zerkając to na światło kaganka na środku stołu, to na gigantyczne cienie falujące na murach pokrytych osadem saletry.

- A mapa - odezwał się w końcu zniecierpliwiony Gavor. - Czy naprawdę ją skończyłeś?

- Prawie. Brak mi tylko paru szczegółów w części południowej.

Ze skrzynki wyjął zwinięty pergamin i ostrożnie rozłożył go na stole. Gavor poczuł dreszcz podniecenia. Mapa okazała się labiryntem czerwonych, czarnych i zielonych znaków. Były tam rzeki i zamki, zarys gór i dolin, czaszki i szpilety, nieodłączne symbole śmierci i niebezpieczeństwa.

- Narysowałem ją - wyjaśnił Obher - tak, jak dyktowała mi pamięć mojej młodości, kiedy to krążyłem po świecie, nim pewien rozszalały koń strząsnął mi nogi.

Gavor zapytał, czy istnieją jakieś inne ziemie i inne miasta poza tymi zaznaczonymi na pergaminie.

- Sądzę, że tak - z nutą żalu odrzekł Obher. - Tylko że po tamtym wypadku nie miałem ani sił, ani odwagi, żeby je poznawać.

- Bardzo jest ładna - powiedział Gavor wyglądając pergamin. Jeszcze przez chwilę wpatrywał się w nią z zachwytem, przebiegając szlaki niezwykłych przygód. I nagle zrozumiał.

- Powiedz prawdę, wuju Obher. To dla mnie narysowałeś tę mapę!

Spojrzenie starego błysnęło dziwnym światłem. Obher ani nie zaprzeczył, ani nie potwierdził. Pewną ręką ponownie napełnił kielichy, ale Gavor nalegał z coraz większym przekonaniem.

- Dla mnie ją narysowałeś, czy tak?

- Mnie na pewno nie jest ona potrzebna - odpowiedział wreszcie Obher zmęczonym głosem. - Świat znam już jak własną kieszeń, powiedziałem ci przecież. I mogę ci zapewnić, że nie zamówił jej u mnie

moczu po głowach stojących wokół klatki dzieci. Uspokoił się dopiero wtedy, gdy jakaś kobieta o smutnych oczach wrzuciła na wóz parę marchewek i duży kawał pokrytego pleśnią sera.

Podzielił tę odrobinę jedzenia ze skrupulatnością i dokładnością kupców korzennych i posilił się bez słowa, jako tako schronieni przed natrętami gapiów.

Wreszcie woźnica wyszedł z gospody. Sprawdził klatkę, parę razy beknął i nie zaszczyciłszy ich nawet jednym spojrzeniem, wdrapał się na kozioł.

Droga była teraz lepsza: wóz toczył się gładko. Kamienie i wyboje ustąpiły miejsca miękkiemu, porośniętemu mchem podłożu drożki, ciągnącej się wzdłuż gestych zarośli bzu.

Zobra zasnął w pozycji na wznak i z rękoma pod głową sapął niczym miech. Czarna chmura kruków przesunęła się na niebie ku północy, nagle jednak plaki zmieniły kierunek i zaczęły krążyć dokładnie nad wozem, towarzysząc mu przez pewien czas. Wreszcie, jakby posłuszne niezanemu rozkazowi lub zwabione nieznaną przynętą, znów utworzyły zbitą szyk i zniknęły za wysokimi krzewami.

Gavor zamknął oczy i też zapadł w sen, pełen dziwnych obrazów. Była w nim mapa wuja Obhera, przybita niczym tarcza do pnia dębu; ohydni rycerze okryci mrocznymi płaszczami wprawiali się wokół drzewa, wypuszczając strzały w niekonczącej się próbie sprawności. Mapa wyglądała jak sito najeżone wielobarwnymi piorami strzał. Wokół otwierały się przepastne jamy, pochłaniające śmiejących się szyderczo rycerzy. Ziemia wypływała ogromne grzyby, które rosły w oczach i wybuchały z przeciągłym jękiem jak smiertelnie ranione zwierzęta. I ktoś ukryty w listowiu śmiał się chichotem starej wiedzy, piskliwym i złowrogim.

Kiedy się obudził, było już prawie ciemno. Był zziębnięty i wszędzie czuł rwący ból. Z kierunku, w którym zmierzał wóz, dochodziły błyski czerwonych i żółtych latarni, hałas kołowrotek i przesuwanych bloczków oraz nieustanny zgiełk, okrzyki i nawoływania ludzi, przemieszczane z porykiwaniami zwierząt.

Zobra stał za plecami woźnicy i wykrzykiwał mu do uszu obelżywe przekleństwa.

- Dokąd nas ciagniesz, ty psi synu! - I wyciągał ręce za drągi w daremnej próbie oplecenia jego szyi. - Co dasz nam dzisiaj do jedzenia? Lajno twoich koni?

Zdawało się, że woźnica nawet go nie słucha. Nagle jednak obrócił się i blizyskiem mocno zdzielił Zobrę w przedramię. Olbrzym wycofał się, pomrukując niczym byk, i ze spuszczoną głową skulił się w swoim kącie targany ślepym gniewem.

- Uspokój się - stanowczo odezwał się Gavor. - I trzymaj język za zębami, bo ten dobry człowiek wpadnie w gniew i gotów jest nie dać nam nic.

Wyraźnie widać już było czerwone i żółte latarnie zatknięte wzdłuż popekanych murów niskich domów, o dachach pokrytych błyszczącymi płytami z czarnego kamienia.

Wóz zatrzymał się w glebi wioski, tuż przed rozległym placem, który niby grzebień licznymi pomościami otwierał się na rzekę. Dobra setka ludzi krzotała się gorączkowo, obracając kołowrotami, przeciągając paki towarów na tratwach stojących na ołowianej, zalatującej rybami i lojem wodzie.

Zjawili się dwóch strażników z przewieszonymi lukami i krotkimi lancami.

- Ci dwaj jadą do Me-Ghir, do kamieniołomów - zaśmiał się ordynarnie woźnica.

- Tratwa do Me-Ghir przyplynie jutro o świcie - powiedział jeden ze strażników. - Na noc zamknęmy ich w kazamatach za magazynami, razem z innymi.

- To już wasza sprawa - skomentował woźnica, wruszając ramionami. - Ja dostarczyłem ich całych, zrobiłem, co do mnie należało. Wy róbcie, jak chcecie.

W słabym świetle prześwitującym przez otwory strzelnicze Gavor dostrzegł w kącie dzban z wodą i duży miedziany kocioł z opartą o brzeg chochłą.

W pomieszczeniu znajdowało się trzech innych skazanców. Jednym z nich był młodziutki chłopiec o delikatnych, dziewczęcych rysach i wątych ramionach.

Zobra dopadł kociolka niczym zgłodniały wilk, zanurzył w nim chochle i zajał, siorbał, połykał bez chwili wytchnienia.

Slugar razem z tym drugim schwycili go pod ramiona i wyciągneli z celi, potem, dalej przez niekończące się korytarze więzienia aż na dziedziniec, ten sam, na którym dzień wcześniej rozładowywali kamienie.

Znad muru przeblyskiwało pierwsze poranne światło. Brama w murze była otwarta i nad ciemnym wrosowiskiem leżał ciężki dywan mgły. Pośrodku dziedzińca stał wóz zaprzężony w dwa czarne jak smoła, ciężkie i z gestą sierścią thomery. A na wozie umocowana drewniana klatka z solidnych jesionowych drągów, grubych jak ramie.

Slugar splunął mu trzykrotnie w twarz

- Ruszasz do Me-Ghur i tam zdechniesz w kamieniołomach - zarechotał szyderczo. - Tak postanowił komendant wartowni - nie dał mi nawet czasu na lepsze poznanie się z tobą. Jesteś wielki i silny, ale nie tuż się, długo tam nie pożyjesz

Jak worek cebuli wrzucono go na wóz, do klatki. Slugar zamknął ją i zabezpieczył, dwa razy oplatając łańcuchem. Konie ruszyły, ponaglone przez niewidocznego woznicę i wóz zaczął podskakiwać na kamienistej, zrytej drodze. Naraz chwycił go mdłości, przez żołądek obejmując całe wnętrze.

Gavor parokrotnie wypluł z siebie gestą, żółtawą ciecz. I dopiero wtedy, odwróciwszy się na bok, dostrzegł w klatce jeszcze jednego więźnia, olbrzyma o nabrzmiałej twarzy, brodatego i z krzaczastymi brwiami, kontrastującymi z woskową białością zupełnie tysej czaszki. Podobny był do Grumaka, lecz w odróżnieniu od kapitana straży z Thurne jego towarzysz medoli nie miał takiego brzucha, a nogi jego były harmonijne i dobrze rozwinięte.

Wydawał się pogrążony we śnie, z rekoma splecionymi pod głową, oczami przymrużonymi w ostrych promieniach wschodzącego słońca. Od czasu do czasu, kiedy wóz mocniej podskakiwał, mruczał i wzdychał, lecz bez przekonania, może tylko po to, żeby poddać się rytmowi wozu.

Gavor przyglądał mu się uważnie. Wkrótce jednak odwrócił się na drugi bok i wcisnął w drąg klatki. Łgiste gałęzie i czerwone wiechy sumaków z suchym szelestem obijały się o wóz i przesuwwały do tyłu, pozostawiając zapach wrzosu, soczystej trawy, pyłków i delikatny aromat wypalonego ścierniska. Poczui wówczas nagły przypływ nostalgii. Przez chwilę poczuł się przywołany wspomnieniem swoich stu zrebaków wokół stawu, ujrzał ogień na klepisku, posłyszal srebrzysty śmiech swego brata Thurno, trzymającego królika. Na moment zniknął ból w ręce, muskającej gestie włosy Duny pod wielkim Dębem Grzmotu.

*

Kiedy słońce uniosło się na trzy pięści nad horyzont, wóz zatrzymał się w środku maleńkiej wioski. Woznica zeskokczył z koza, sprawdził łańcuch przy klatce i pogwizdując skierował się do jedynej gospody na placu. Był to niski człowieczek, szpetny i kulejący, w czapce z zielonej wełny i spodniach z czerwonej skóry, za dużych na jego wątłe ciało. Kopniakiem rozpedził koty, które leniwie tłoczyły się pod progiem, i zniknął w środku.

Ta mała ropucha napętniła sobie kaidun - westchnął jego towarzysz podróży - a my... my musimy tkwić tutaj i zaciągać pasa.

Uniosł się, ukazując swą masywną i ogromną postać i z całej siły zatrzęsł klatką, przeklinając. Również Gavor uniosł się z trudem i oparł o drzwi klatki.

Zatrzymał spojrzenie na poharatanej twarzy tysego olbrzyma:

- Kto cię tak urządził?

- Jak to kto? - olbrzym wzruszył ramionami. - Slugar. Ale przyjdzie dzień, kiedy odplacę temu wieprzkowi, uknęę mu szyję jak kurczakowi, słowo Zobry, zwanego Żelazna Reka.

- Mnie też jeszcze popamięta - powiedział Gavor, obmacując zranioną wargę. - Słowo Gavora, syna Gavora.

Tymczasem wokół wozu zebrała się grupka ciekawskich. Jakiś obmierzły starzec z zaropiałymi czerwonymi oczami wepchnął do klatki zastrzony drąg do poganiania wołów i, popiskując niczym szczur, próbował dźgać olbrzyma w pośladki.

Zobra wściekł się. Schwycił drąg i połamał go na tysiące kawałków, rozpiął spodnie i puścił strugę

żaden kupiec. Powiedzmy więc, że ta mapa to prezent na twoje dwudzieste urodziny. Przyda ci się, zobaczysz.

Gavor zamyslił się, obracając w dłoni kielich.

Grumak chciałby mieć mnie w zamku - odezwał się, przygnębiony. Duna chce zatrzymać mnie tutaj, a ty... ty podsuwasz mi trzecie wyjście: rzucić wszystko i ruszać w świat. Czy myślisz, że nie miałbym ochoty? Noszę w sobie pewne marzenia, od kiedy miałem jeszcze mleko pod wąsem, zamiary, które zawsze odkładałem przez szacunek dla ojca, dla ciebie i dla was wszystkich, bo jesteśmy jedną rodziną. Dobrze wiem, że życie jest jedno, a młodość przemija w mgleniu oka...

Obher przyglądał mu się bacznie, napięty jak struna

- Każdemu jest przeznaczony jego los - zawyrokował, starając się zachować spokój - Zreperowałem tysiące butów, tysiące trzewików, pantofli, sandałów. Spędziłem życie, przycinając zełwki i nabijając guzami siodła. I zawsze, gdy uderzałem młotkiem i szylem, gdy nabijałem i polerowałem siodła, moje myśli krążyły wokół starrego problemu: tego, co jest i tego, co mogłoby być lub nie być. Te buty, pytałem siebie, lub to siodło... Dokąd zaprowadzą tego, kto je założy lub kto w nim usiadzie? Pytanie niemal bezsensowne. Każdy pantofel kończy swój żywot drepzcząc wokół rozpalonego pieca lub po klepisku, podobnie wszystkie sandały zużywają się, jeśli wciąż deptają stopnie świątyn i posadzki klasztorów. Niektóre buty nie przekroczyły nigdy promienia jednej mili, a siodła posłużyły jedynie do grzania zmęczonych posładków jeźdźców, którzy docierali najwyżej raz w roku do Górnej Medyny. Gdyż ludzie są słabi, mój chłopcze. Prawie wszystkich czeka mizerny, nic nie znaczący los. Wszyscy przychodzimy na świat po to tylko, by wiele wycierpieć, mało się cieszyć i by nieustannie być przesładowanym i zmuszanym do posłuchu. Ale twoje życie może wyglądać inaczej. Czeka cię wielki los, Gavor. Może bogowie przeznaczyli dla ciebie spełnienie dzieł wielkich i nieosiągalnych.

Gavor słuchał go, oszołomiony.

- Co ty możesz o tym wiedzieć, wuju Obher? Nie jesteś ani czarnoksiężnikiem, ani jasnowidzem. Jesteś najmańdrzejszym człowiekiem, jakiego znam, nieskończenie mańdrzejszym od kapłanów... Nauczyłeś mnie czytać i pisać, ale nawet i ty nie możesz widzieć przyszłości...

- Czeka cię wielki los - powtórzył Obher. Może to wino uderzyło mu do głowy i pchało na meandry pozbawionych sensu kazań.

Gavor wołał przerwać wątek tego absurdalnego fantazjowania: - Ja jestem Gavor - powiedział - syn Rakla kowala i bratanek siodlarza Obhera, i może skończę jako żołnierz na zamku Khavla, naszego pana, a może jako mąż Duny, córki pastucha krów Lokisa. Ale o moim losie, wielkim czy małym, zdecyduje sam... Twoja mapa jest jedynie nic nie znaczącą zabawką.

Obher spiorunował go palącym spojrzeniem.

- Ruszysz w świat - powtórzył. - A ta mapa będzie dla ciebie jak drogowskaz. Ruszysz i będziesz szukać, dopóki nie znajdziesz...

- Ale czego, na bogów!

Obher wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Twój ojciec pomówi z tobą za parę dni. I ja też jeszcze z tobą porozmawiam, a ty będziesz słuchać, chłopcze. Będziesz słuchać, chyba że twoje serce jest martwe.

Rozdział II

Młody Thurno schwycił dwa króliki i parę jeżozwierzy. Agla, po deszczowej nocy, poszła szukać ślimaków i zebrała cały koszyk, tych ogromnych i obsluzgłych, w ciemnych prążkowanych skorupkach. Kelmo i Sjebe, dwaj najwierniejsi przyjaciele Gavora, przybyli z jagnięciem i dzikiem. Były też solone ryby, oliwki, przepiórka, pulardy, słodkie płacuszki z ryżu i bułeczki z miodem. I obfitość wina, które uznano godnym uświetnienia uczty dopiero po wielokrotnym i skrupulatnym skosztowaniu przez wuja Obhera.

Pastuch krów, Lokis, którego zaproszono wraz z całą rodziną, już wcześniej przysłał połowę cielaka, przyprawionego i gotowego do nadziania na rożen.

Na klepisku wrzało: dziewczęta skakały od ognia, najmłodsi znosili chrust i rozdmuchiwali żar, a mężczyźni w poważnym skupieniu opraciwali zwierzyne.

Tymczasem Duna i Agla opróżniły przestronną szopę, zestawiły stoły i przygotowały długie ławy z balii wspartych na pospiesznie zbitych stojakach.

W południe, przechodząc od różna do różna, wuj Obher sprawdził ostrzem sztyletu czy mięso jest już dobre.

– Ej, ludzie! – zawołał radośnie. – Wszystko jest upieczone jak należy. Możemy zaczynać.

Gavor rozejrzał się. Oceniał ilość zwierzyny nadzianej na różny, ilość miejsc za stołem, porównał z ilością gości, całym mnóstwem placków, chlebów i koszyków napełnionych lakociami i pierożkami, jakimi zastawiony był stół.

– Nadmiar dobra – westchnął potrząsając głową. – Możemy peknąć z przejedzenia jak ropuchy.

– Co mówisz! – zgałił go Obher. – Jedzenia nigdy za dużo.

– Tego jest za dużo – z naciskiem powtórzył Gavor. Przywołał Kelma i powiedział mu:

– Posłuchaj, przyjacielu, zjedź do wioski i zbierz starców i dzieci. Powiedz, że dla wszystkich starczy u nas jedzenia

– Do stołu! Do stołu! – poganiał wuj Obher, jakby obawiał się, że jadła mogłoby naraz zabraknąć.

I wszyscy zajęli miejsca, rzucając sobie podejrzliwe spojrzenia z obawy, że tam, gdzie się znaleźli, stół nie był tak suto zastawiony. Na dobre dwie godziny zamarty wszelkie rozmowy i słychać było jedynie rytmiczny i zwierzęcy odgłos przeżuwania, wzdychania, popiskiwania, mlaskania i łapczywe gulgotanie wlewanych w siebie jednym haustem napojów. Rytuał obfitości, pokonanego głodu, mógł wreszcie zatrumfować całą swoją zjadliwą mocą, nie zezwalając nawet na chwilę odprężenia.

Pierwszy wymiotował Nurko, brat pastucha krów Lokisa. Za nim kolejno niemal wszyscy goście, procesją, która ruszyła za ogród, do gnojowiska. Po chwili jednak, z wytrzeszczonymi i otepiętymi oczyma zajmowali swoje miejsca i z zapalem opychali się dalej.

Gavor, walczący z udkiem jagnięcia, z zadowoleniem patrzył na dzieci, które obżerały się słodkimi placuszkami. Obok niego Agina, najstarsza w wiosce kobieta, zagłębiała zakrzywione palce w kawałkach mięsa, rwąc je na strzepy, które natychmiast znikwały w jej bezzębnym ustach. A Sjebe swoimi mocnymi jak u potężnego psa zębami kruszył nawet kości. Wuj Obher wydawał się już syty i bardziej pilnował wina niż potraw. Ktoś spał z głową w misce, pozostali ziewali i popuszczali pasy. A kiedy dało znać o sobie wino, z jednego końca stołu na drugi zaczęły latać przerzucane pieczone przepiórki, owoce, ciasteczka, którymi nawzajem obdarowywali się goście.

Stara Agina beknięła słodko:

– Pięknie jest jeść! – i dwie radosne łzy popłynęły po jej pomarszczonej twarzy.

– Tak, pięknie jest jeść – jak echo zawtorował Gavor. – Ale po jednym dniu obfitym przychodzi sto dni wyrzeczeń i biedy.

Na środku stołu nadal królował dzik, nienaruszony, jakby wszyscy za cichym porozumieniem oczekiwali aż ferwor ucztę ponownie rozgorzeje, żeby móc dobrać się do niego z nowym zapalem. Sjebe wziął do ręki tablą, pokreślił trochę kołkami, naciągając struny i żwawo zaczął je szarpać. Kobiety z miejsca ruszyły na środek klepiska i zaimprowizowały taniec, najpierw powolny i ocieślały, po chwili coraz zwinniej i zreźniej. Mężczyźni, zwabieni fruwającymi spódnicami, wyszli z szopy z zaczerwienionymi twarzami i rozgrzawkowanymi oczami. Ktoś przyklaskiwał, ktoś inny ściągnął koszulę i podrygwał, nasilając błaznow i jarmarcznych kuglarzy. Najodważniejsi przysunęli się do kobiet i zachłannymi rękami obmacywali je bez umiaru. Lecz w tym radosnym nastroju każdy gest nabierał znamion instynktownych i prostych. Dzień wytchnienia nawet od najsurowszych zakazów.

Wuj Obher też tańczył, pomimo ułomności, a dzieci trzymając się za ręce utworzyły na podwórzu krag.

W pewnej chwili po drugiej stronie płotu dał się słyszeć tetent końskich kopyt.

– Przybywa się naprzykrzać – zasyczał Raklo, nadymając się ze złości.

Tabla Sjebe naraz zamilkła. Wszyscy znieruchomieli i niby winowajcy spoglądali na Grumaka, który minął właśnie furtkę i wszedł w obręb podwórza.

– Dzisiaj nie pracuje – z miejsca powiedział Raklo. – Dzisiaj jest święto Gavora, który kończy właśnie dwadzieścia lat. Kuźnia jest zamknięta nawet dla ciebie, Grumak.

Kapitan uśmiechnął się.

biegł jednak nawet trzydziestu kroków, kiedy za jego plecami rozległ się wysoki, piszczący krzyk: to drugi wiezień wzywał strażę, żeby uniknąć oskarżenia o spisek lub co najmniej o sprzyjanie mu.

Chwilę później, tak przynajmniej zdawało mu się, gdyż w tej szaleńczej ucieczce czas jakby stanął, miał ich już na karku. Posłyszał tetent kopyt na dziedzińcu i po chwili, tuż nad głową, chrapanie dwóch ludzi. I sieć, która spadała na niego jak wyrok bez odwołania.

Położył się, niby ryba znienacka wyciągnięta z wody. Sieć opłótła go szczerlinie: lepka pajeczyna, która odebrała mu możliwość wykonania najmniejszego nawet ruchu. Kiedy konie zawróciły, poczuł dotkliwy ból w kregostupie i silne uderzenie w kark. Całe jego ciało krzyczało z bólu, kiedy ciągnięto go z powrotem w obręb murów. Przez tę niekończącą się chwilę poczuł bezlitosną rzeczywistość gruntu, jego rwące wyniosłości, ostre kamienie, krzemienne zadry, wpijające się w ciało.

Jak worek rzucono go pod mur kazamaty, zamkniętego w kokon z sieci, pokrytego kurzem i krwią.

– Wrzućmy go do lochu – proponował jeden ze strażników.

– Należałoby go zabić, natychmiast – zauważył strażnik z rudymi włosami. – Ale lepiej poczekać aż wróci Slugar, niech on zdecyduje!

Godziny miały z powolnością bliską obłędowi. Z okienek kazamaty, umieszczonych ledwie dwa łokcie przed nim, dochodziły podniecone, to znowu spokojne głosy strażników, którzy rozbawili się już na dobre: głośne wybuchy śmiechu, beknięcia, sprośne żarty i odór wymiotowanego wina.

Dużo, dużo później, kiedy słońce już zachodziło, powrócił Slugar. Zmęczony, rozpalony, ale z dziwnym blaskiem w oczach. Rzucił pytające spojrzenie w kierunku skulonego Gavora.

– Próbował uciekać – wyjaśnił strażnik z rudymi włosami – ale natychmiast go złapaliśmy.

– A my schwytaliśmy buntownika Zobre. Jutro rano wyruszy do Me-Ghir, skończy swoje dni w kamieniołomach. To było najwspanialsze polowanie w moim życiu! A teraz chcę jeść i pic, muszę się upić...

– A co z nim? Zabić od razu, czy rzucić z powrotem do lochu?

– Zaniesie go do odrębnej celi – chrapliwym głosem powiedział Slugar. – Jutro się z nim rozlicze. Posłał mu mocnego kopniaka, ale Gavor ani drgnął.

– Co ci, gołąbeczku? Śpisz?

Gavor zadrżał z wściekłości.

– Zabije cie, Slugar – powiedział z trudem wymawiając słowa.

– Zwarłowałeś! – zaśmiał się strażnik. – Jesteś chyba obłąkany!

I obracając się dzielił go płazem głowni prosto w usta.

Gavor stracił świadomość: leciał w ciemną przepaść, jakby jakiś wampir nie z tego świata wysysał z niego życie.

„Nie tak – pomyślał resztką świadomości – nie tak... mam jeszcze tyle do zrobienia...”

Rozdział XII

Przez całą noc pozostał bez ruchu, rzucony na gołą ziemię ciemnej celi. Oczy paliły go niemiłosiernie. Nie miało sensu szukać się, że bolesny, ogromny skrzep wokół górnej wargi jest tylko złudzeniem. Krew pulsowała mu w szaleńczym rytmie, ramię miał obrzmiałe, bark płonący niczym stos, a przez żebra przepływał potok rozpalonego żelaza.

Wśród skał echem niesło się pianie kogutów, posępne, tajemnicze i trudno było powiedzieć, czy łagodziło czy wzmagalo ono jego cierpienie. Kiedy wreszcie jego wycieńczone ciało zapadło w poisen i odnajdywało ulgę nieświadomości, wśród krat okienka pojawiły się zwiastujące świt węże i przeniknęły do środka.

Drzwi zaskrzypiały w przerdzewiałych zawiasach i na posadzce rozbrzmiały kroki strażników. Było ich dwóch, rozmawiali oschłym gardłowym dialektem z Kongarabh. Rozpoznał głos Slugara.

– Na nogi, bałwanie!

Gavor chciał zerwać się wyprostowany, żeby uniknąć seru kopniaków, które niechybnie wyładowałyby na jego obolałym ciele. Ale członki jego były zupełnie sztywne, samemu nie dałyby rady się unieść.

Ja ukradłem jagnię – odezwał się głos w drugim kącie lochu.

A ja oszukałem na wadze zboża, jakie należało się panu mojej wsi – powiedział jeszcze ktos, blisko niego.

Ja nie zszedłem z drogi jakimś plugawemu kapłanowi...

Ja nie zwróciłem długu...

Ja nie padłem na twarz, kiedy przejeżdżał pan Kongarabh.

Ja naszczałem pod murem świątyni...

Gavor zasmiał się, pomimo bolesnych ukłuc w żebrach.

A ja znalazłem się tutaj tylko dlatego, że chciałem zasięgnąć wieści – oświadczył. – Powiedzcie, czy to występek pytać o czyjs adres?

W półmroku słychać było stłumione głosy. Z nieokreślonego miejsca podziemia uniósł się jeden wyraźniejszy głos:

- Zależy, kogo szukasz.

- Szukałem kupca imieniem Rangar...

- A więc szukasz kłopotów – skomentował głos bez twarzy – Rangar był heretykiem i kapłani dołożyli staran, żeby go zgładzić. Radzę ci wszystkiemu zaprzeczyc i zapewnić, że go nie znasz, w przeciwnym razie możesz skończyć tak jak on. Tutaj, w Kongarabh, nie żartuje się z heretykami.

Gavor umilkł i obmacywał siniaki i nadwężone zebra. Żelazne wrota lochu znow zaskrzypiały w zawiasach i ukazał się strażnik z sumiastymi i gestymi rudymi włosami.

- Przybył wóz z Me-Ghir – odezwał się twardym i gardłowym głosem. – Potrzebuje dwóch silnych ludzi do rozładowania kamieni.

Rozejrzał się, nadejście wzrok.

- Ty... i ty! – rozkazał pośpiesznie. Gavor był jednym z wybranych, ale zrozumiał to o chwile za późno, kiedy doszedł do solidnego kopniaka w biodro.

Z trudem uniósł się i razem z drugim więźniem podążył za strażnikiem – korytarzem prowadzącym na zewnątrz.

Wóz stał pośrodku dziedzinca, niedaleko kazamaty, mieszczącej również oddział strażników. Po przeciwnej stronie dziedzinca znajdowały się stajnie, przed wrotami stały dwa uwiązane konie, osiodlane i gotowe do drogi. Wszystko otaczał mur, z bastionami i barbakanem, ale brama stała otworem, oczekiwano być może następnych wozów.

Glazy, po zrzućeniu z wozu, miały być przeniesione w pobliże muru, w miejsce mocno już nadwątlone, wymagające szybkiego naprawienia. Za każdym razem Gavor przechodził bardzo blisko koni, uwiązanych do belki podtrzymującej strop. Wóz zasłaniał go tam przed wzrokiem strażników, którzy siedzieli u wejścia do lochu. Wskoczyć na grzbiet konia i uciec, to zamysł, który wykonać mógł w mgnieniu oka. Po krótkim namyśle zaniechał jednak tego: hałas kopyt na wybrukowanym dziedzincu natychmiast przywołałby uwagę strażników, a płonna była nadzieja, że ich zgubi, mając ledwie parę sekund przewagi. Jedyną szansę dawało mu wymknienie się niepostrzeżenie, korzystając z chwili, kiedy strażnicy znikną na chwilę wewnątrz budynku.

Za wałującym się murem, równoległym do niego, biegł w dół ślepy zaułek, na końcu zagrodzony żelazną bramą. Z drugiej strony przejście to skręcało łagodnym łukiem wokół frontowej baszty twierdzy, ale wyjście zagradzała wysoka krata z żelaznymi prętami, zaostrzonymi niczym lance.

Jeśli zamierzał uciec, mógł to uczynić jedynie przez bramę, którą wjechać miały wozy. Zamiar suchwały, niemożliwy do wykonania. Lecz Gavor spróbował. Obawiał się nie samych tortur, które obiecywał Sługar, ale przesłuchania i oskarżenia o herezję i kresu wszelkiej nadziei. Lepiej postawić wszystko na jedną kartę, natychmiast.

Cierpliwie odczekał na odpowiedni moment. Wreszcie jeden ze strażników podniósł się, być może chcąc ugasić pragnienie wewnątrz kazamatów. Drugi zawahał się chwilę i poszedł w ślady towarzysza.

Teraz! Ledwie parę sekund na ucieczkę. Bezszelestnie przemierzył dziedziniec i kiedy znalazł się już w bramie wjazdowej, zaczął biec tak szybko, jak pozwalały mu na to jego posiniaczone nogi. Nie prze-

- Nie zjawiam się z zamiarem podkucia koni, ale z chęcią przyłączę się do waszego świata, jeśli pozwolicie.

I zdecydowanym krokiem, nie czekając nawet na odpowiedź ani na gest zachęty, skierował się w stronę szopy, a za nim jego przyboczny, z wyraźną niechęcią dźwigający ogromny bukłak.

- To mój udział – wyjaśnił Grumak, zwracając się do wuja Obhera – To najlepsze wino, jakie mamy w zamku. Zbliźcie się, ludzie! Ten bukłak to namacalny dowód łaskawości Khavla, naszego pana. Niech ucztą trwa dalej!

Ludzie wymienili podejrzliwe spojrzenia. Ale nieufność powoli znikła niczym mgła w promieniach słonecznych. A więc Grumak zjawił się w pokojowych zamiarach. Dziwnym zarządzeniem bogów tego dnia wilk i owca mogły współistnieć obok siebie, sokoły i gołębie skrzyżowały swoje loty. Dzieci, które skryły się pod stołem i za kurnikiem, opuściły swoje zaimprovizowane kryjówki i pokazały się, najpierw nieśmiało i bojaźliwie, a po chwili już odważnie i coraz bardziej natrętnie.

Siębie jakby cały stopił się ze swoim instrumentem, wydobywając z niego nieprawdopodobne dźwięki i pełne werwy rytmy. Uczta rozgorzała z nową mocą, niepowstrzymana radość zapanowała na podwórzu i w szopie.

Tymczasem Grumak zasiadł pośrodku stołu. Rakło podzielił dzika i porzucił kapłanowi solidną porcję. Ten jednakże ledwie spojrzał na mięso.

- Wszystko jest w najlepszym porządku – pośpieszył zapewnić Lokis, ojciec Duny, wskazując na potrawy i pieczenie, znajdujące się jeszcze na stole. – Polówkę cielecia, które zarządziłem wczoraj, oddałem do zamku, zgodnie z nakazem...

- Dzik zaś – dodał Kelmo – został uбитy na wolnym terenie, z dala od borów Khavla, naszego pana.

Grumak potakiwał. Nie przybył tu weszyć, chciał jedynie wypić za pomysłność Gavora, który kończył dwadzieścia lat.

Wuj Obher napełnił puchar i Grumak uniósł go uroczystie. Także i Gavor wznosił swój puchar, a w ślad za nim współbiedniacy.

- Chcę opowiedzieć wam pewną historię – zaczął Grumak, ścisząc głos. – To historia o pewnym smalku, który wypasł konie, aż pewnego dnia los zetknął go z wielkim panem, bogatym i poleźnym. „Chodź do mnie na służbę”, zachęcał go pan, „a twoje życie odmieni się niby ołów w złoto”. Lecz młodzieniec odwrócił się od niego, gdyż był dziki i nieokrzesany jak konie, które hodował. Ale nadszedł czas straszliwego głodu i cały kraj przemienił się w pustynię wynędzniałych i dogorywających upiórów. Coż więc czyni nasz młodzieniec? Pośpiesza do zamku, gdzie oliwy i zboża jest pod dostatkiem i pada na kolana u stop pana. „Wez mnie do zamku”, błaga, „choćby na najniższego z twoich sług”. Ale pan wybuchnął tylko gromkim śmiechem. „Za późno”, powiedział mu. I przepędził go grzmiącymi słowami.

Grumak potoczył wzrokiem po współbiedniakach:

- Co myślicie o tej historii? Czyż nie jest ciekawa?

Wuj Obher cisnął puchar wprost na stół podtrzymujący strop.

- To zupełnie inna historia – zagrmiał wściekle. – Młodzieniec wypasający konie odwrócił się od pana i ruszył w świat, a kiedy przeszedł go wzdłuż i wszerz, powrócił obładowany złotem i drogimi kamieniami i zawładnął zamkiem, w którym tymczasem wszyscy pomarli od zarazy. Tak kończy się historia, mówię wam.

Grumak uśmiechnął się bez cienia zjadliwości, jak zwykle spokojny i opanowany.

- Przesadziłeś, siodlarzu. Czyżbyś rzeczywiście chciał, by Khavlo, nasz pan, padł ofiarą zarazy?

- A ty – odparł Obher – czyżbyś chciał byśmy wszyscy pomarli z głodu?

Kapitan zmarszczył czoło z wyrazem, który w każdej chwili groził gniewnym wybuchem. Lecz raz jeszcze twarz jego rozpozgodził uśmiech.

- Dajmy spokój – odezwał się pojednawczo. – Bajki nie ranią nikogo, to próżne słowa, które wiatr w lot rozwiewa. Napijmy się raczej.

Jego przyboczny ponownie napełnił puchar. Grumak opróżnił go jednym łykiem i dalej obojętnie

bez zatargów. Młody żołnierz przeniósł się do grupy dziewcząt i zaczął żartować z Duną i Agłą, z nikłym jednak rezultatem, kapitan zaś rozglądał się melancholijnie, to stukając palcem w rytmie tańca, to gładząc wygolone główki dzieci, które stoczyły się wokół niego, podziwiając miecz.

Grumak nie pozostał długo. Opróżnił jeszcze ze dwa razy puchar, wyraźnie nieswój w obecności Rakia, Obhera i Gavora, którzy mulając wpatrywali się w niego.

- Pińcie się - powiedział jeszcze zagadkowym tonem.

Skinął na żołnierza i razem z nim przemierzył podwórze i znalazł się na drodze. Gdy przechodził, kobiety znajdujące się na zewnątrz niezdarnie pochyliły się przed nim, a mężczyźni zdjęli czapki z uszanowaniem.

- Widzieliście - wybuchnął wuj Obher, zaledwie tylko tetent kopyt oddalił się. - Nawet gdy przychodzą odziani w skórę baranka, są gotowi rozszarpać klami niby wilki.

- Grumak nie jest złym człowiekiem - zaoponował Gavor. - Trzy dni temu Thamur, pierworodny syn kotlarza, został przytępiany z łukiem na terenach łowieckich zamku. Zgodnie z prawem powinna zostać mu obcięta prawa dłoń, ale Grumak wstawił się za nim i Thamur wywinął się dwudziestoma batami.

- Baty to też nie pieszczoty - odparł wuj Obher. - A zresztą wydaje mi się, że mylisz dobroć z interesem. Oszczędzono Thamurowi dłoń, zgoda. Ale dlaczego, myślisz, to zrobiono? Kiedy trzeba oczyszczać rowy, kiedy trzeba zwieźć bloki kamienne do zamku... co czyni Khavlo, nasz pan? Wzywa ludzi z Thune i wybiera najsilniejszych mężczyzn. Pomyśl, chłopcze. Gdyby Khavlo, nasz pan, poucinał dłonie wszystkim, którzy naruszają prawo, bardzo szybko pozostałby mu lud bezrękich, niezdarnych do niczego.

Nie psujmy tego święta - wtrąciła się Hedrina, by załagodzić spór. - Do zmierzchu tylko dwie godziny a potraw tyle że całe wojsko mogłoby zaspokoić głód. Weselmy się, ludzie! Obcy odszedł, możemy więc radować się dalej.

Z dzikiem poradzano sobie szybko, przy wydatnej pomocy starców, którzy prawą ręką wkładali kaski do ust, a lewą ukradkiem zgarniali do sakw. Agina uniosła rogi fartucha, śmiała się i od czasu do czasu wrzucała do niego owoce i ciasteczka. Dzieci, słoczone po kątach, przymykały oczy, ocieślały i napchane niczym pisklętą, a ich małe ogolone główki zwisały niczym dojrzałe jabłka, gdy lada chwila mają odebrać się od galezi.

Ciężkie czerwone wino przelewało się przez ciągle wyschnięte gardła. Wszyscy byli już pijani, tak mężczyźni jak i kobiety. Duna przysunęła się do Gavora, oparła głowę na jego ramieniu i tak zniemchomiel, wpatrzona w łeb dzika, jedyną pozostałość po potrawach, jaka zachowała się jeszcze na środku stołu.

- Wygląda jak Grumak - uśmiechnęła się dziewczyna, wskazując na czerwoną ozdobną kile z piorsterczą z uszu.

Sjebe próbował jeszcze wydobyć jakieś dźwięki z instrumentu, ale tabla okazała się oporna jak kamień. Połmrok szopy na dobre opanował już przeciągły i przytłumiony koncert beknięć, ziewania, pomrukiwania i westchnień. Ktoś chrapał pogrążony w niewinnym śnie.

Jedzenie skończyło się, dzień też dobiegał końca. I końca dobiegło niezapomniane być może święto. Stopniowo biesiadnicy w milczeniu wstawali, zataczając się. Każdy unosił do domu swoje łachmany, stając się nie myślec o znoju dnia, jaki ich czekał.

Gavorowi ciążyła głowa jak kamień, a pobłyskujący kurz mroził wzrok. Wokół wszystko, sciany i belki szopy, drzewo jakby widziane przez lekką zasłonę z wody.

- Jestem pijany - wymamrotał przepełnionymi ustami. Fioletowe światło księżyca sączyło się pod stropem, chimarami krążyły cmy, błędne świetliki to wynurzały się, to znów chowały i niepodzielnie panowało tajemnicze cykanie świerszczy, prawdziwych panów zapadłej już nocy.

Jestem pijany - powtórzył z trudem, podtrzymując rękoma głowę. Stół, jeszcze zastawiony naczyniami i beładnie rozrzuconymi pozostałościami uczty, wydawał mu się nieskończenie długi, dłuższy od ogona Wielkiego Gruggara, mitycznego weza północnych rzek.

Wuj Obher zapalił kaganek. Ojciec z musą poszedł do studni po wodę i polewał mu głowę.

To było piękne święto, czy nie? - w kółko powtarzał Gavor. Jedzenia starczyło dla wszystkich,

Ona się śmiała, uśmiechem łagodnym i promieniejącym, a zarazem tak twardym, że mogłoby się skale. „Nie pozwól sobą kierować, nie próbuj się kryć, nie unikaj burz - mówiła mu - lecz śmiało stąpaj na czoła życia, z podniesionym czołem i szeroko otwartymi oczyma: tylko wtedy życie przyjdzie do ciebie, pełne wigoru i aromatu, najeżone podniecającymi niebezpieczeństwami. Za każdym razem będziesz czuł, jakbyś kładł na szale wszystko. I grać masz właśnie o życie, nie znajdziesz drogi wyjścia wstecz, ani w żaden inny sposób”.

Lecz zapach Uljany nagle zniknął i wokół Gavora pozostał tylko fetor lochu

Po pewnym czasie szczerk krat obwieścił nadejście strażnika.

- To Sługar - zadrżały przerażone głosy.

Gavor zobaczył, jak ciała więźniów w przestrachu kulły się pod ścianami, chcąc uciec jak najdalej od nadchodzącego człowieka.

Sługar, dowódca straży, był wyjątkowo roslim mężczyzną, o małych, blisko rozstawionych oczach, z nosem spłaszczonym i zajęczą wargą.

- Chcę zobaczyć nowego więźnia - odezwał się piskliwym, jakby podpitym głosem. - Powiedziano mi, że nawet wiedźma Ciemnych Zauików pofatygowała się ze swoją serenadą dla niego.

I utkwil wzrok w Gavorze, którego wypchnęło dziesięć par rak na raz, a wszyscy nieszczesnie odwróciły się z ulgą, wyczuwając, że tego dnia uwagę Sługara przyciągnął ktoś inny.

- Hm - wymamrotał Sługar. - Nie widzę w tobie nic szczególnego, może poza wzrostem i skłonnością do wpadania w tarapaty.

Zwrócił się do pozostałych więźniów.

- Wiecie, co strzeliło mi do głowy, przyglądając się? To obcy, i ledwie znalazł się w mieście, pojechał targ i z miejsca zaczął namawiać do buntu, zgadał się z jakimś wieśniakiem, stawiał opór straży. Powiedcie mi, czy nie zasłużył na solidną chłostę?

Więźniowie milczeli ze spuszczonej głowami. Sługar zbliżył się do Gavora i palcem unosił jego podbródek.

- Jesteś młody i krew w tobie zbyt gorąca, warto ją uśmierzyć. Trafiliś w najodpowiedniejsze miejsce, znajdziemy tutaj doskonałą kurację na twoją gorączkę. Zapewniam cię, że kto wyrwie cię spod moich rąk, jest spokojny... bardzo spokojny... i zimny, mój chłopcze, bardzo, bardzo zimny.

W tym momencie jakiś strażnik pojawił się u wejścia i głośno zawołał Sługara.

- Co się dzieje? - fuknął dowódca straży.

- Buntownik Zobra uciekł, kiedy odprowadzano go do lochu, i ukrył się w lesie, niedaleko miasta. Proszę o posiłki, nim zacznie się polowanie.

- Siodłaj konia, idioto! - wrzasnął Sługar z dzikim płomieniem w oczach. - Muszę tam być, za całe złoto świata nie przepuszczę takiej nagonki.

Znów odwrócił się do Gavora.

- Poznamy się nieco później - zaśmiał się szyderczo. - Kiedy skończy się polowanie na Zobra, mój czas poświęcę tobie.

- Dzisiaj możesz być spokojny - zapewnił go więzień skulony po jego prawej stronie. - Kiedy Sługar złapie uciekiniera, zabawi się z nim; dla ciebie nie będzie miał czasu.

- Tak, ale jutro przyjdzie kolej na mnie. Ten Sługar jest rzeczywiście tak okrutny, na jakiego chce wyglądać?

Więzień nie odpowiedział, Gavor zaczął więc inaczej.

- Dlaczego znalazłeś się tutaj? Co takiego zrobiłeś?

- Pierwszy raz jestem w więzieniu?

- Tak, pierwszy.

- Zapamiętaj więc jedno: nigdy nie pytaj więźnia, dlaczego go zamknęto. Mogę jednak zaspokoić twoją ciekawość: ranilem strażnika, gdy dobierał się do mojej żony.

- Ja kłusowałem - powiedział więzień z lewej. - Znalazłem się tutaj z powodu jednego zajęcia, i to niezbyt tłustego.

czuć proch, którym przywołuje złudzenia i tworzy halucynacje, niezdolne do przetrwania nawet chwili.

Wszyscy przyspieszyli kroku i nikt nie miał już ochoty szydzić z wieźnia, ani go dreczyć.

Gavor nie wiedział, co o tym myśleć. Całe zjawisko było nierealne, co do tego nie miał wątpliwości. Ale w słowach staruchy, dwuznacznych i tajemniczych, kryła się krztyna prawdy.

I dlaczego wspomniała o księżycu?

Chwilami ból odbierał mu zdolność myślenia. A chuda i obdarta, stanowiąła część tego dreczącego, długiego koszmara.

Rozdział XI

Arras był nietrwały jak sen, ale jego rysunek ukazał mu się z oslepiającą wyrazistością, możliwą tylko we śnie. Nawet kamienne pomieszczenie, w którym tkął Uljana, zdało mu się ogromne i podporządkowane nienaturalnej i koślawej perspektywie.

W arrasie zespółły się motki różnych kolorów, a każdy kolor oznaczał inną kategorię ludzi i inne miejsca. A on... Nie wiedział, jakim sposobem, ale we śnie ogarnął znaczenie zawilej symboliki, jaką tchnął arras.

Było tam Thune koloru słomianego. Była malenka kobieta w kolorze zachodzącego słońca. I była Wieza Południka w Samarab, utkana czerwono-miedzianymi nitkami. Byli zieloni wiesniacy, krzatający się po polach z niewielkimi motykami i bronami. Byli krzepcy drwale, ciemni jak kora debow. Byli też mistrzowie cechowi, kotlarze, kupcy koloru malwy, fioletowi rabusie i kobiety w morelowych spodniczkach. Byli stalowi żołnierze, bieleńcy tancerki, gubkie nierzym weze i promieniejący rycerze utkani złotymi nitkami.

W ten sposób każdy cech i każdy rodzaj ludzi wyraźnie różnił się od pozostałych. Rzeczą dziwną był jednak fakt, że wędrowni śpiewacy, czarownice i jasnowidze mieli w osnowie ten sam, identyczny kolor i niewielki poksićczy na głowie, przez co tworzyli małe ogniste wizerunki na tle posępnego turkus, jakby łączyło ich coś głębszego od zwykłych przyziemnych losów. I ten ognisty akcent wyląd przez cały arras, tworząc odrębny rysunek, nad którym gorował ogromny księżyc utkany srebrną nicią.

Sen był dziwny, ale i wspaniały, niepokojący i tajemniczy, lecz także oczywisty w aluzjach. Nim jednak zdążył raz jeszcze zatopić się w nim, wizja rozpadła się pod głuchymi i zduszonymi przekleństwami, nerwowymi pomrukiwaniami, chrapliwymi astmatycznymi oddechami.

Był już świt – rzeczywistość wzięła górę, wchłaniając kruchą świetlistość arrasu.

Znajdował się pod ziemią, tak przynajmniej sądzić można było po cuchnącym mule, jaki zalegał na posadzce. Światło dostawało się tam jedynie przez dwa małe okienka wzmocnione solidną żelazną kratą. Ogromne szczury i jakieś inne gryzonie o szarym futerku i długim ogonie przemykały po przyporach i gzymsach, a nawet po posadzce, ich rubinowo-czerwone ślepie plonęły wrogoscią i głodem.

– Starzy wrogowie – mruknął jeden z wieźniów. – Co dzień dzielimy się z nimi okrucami chleba. Jesli nie będziesz uważny, gotowe są wyrwać ci je z ręki.

I w ten sposób Gavor zauważył, że poza szczurami w podziemiu znajdowali się także i ludzie – wszyscy ci, których wziął za sterty gałganów lub grę cieni na murach. To ich jęki i urywane oddechy zakłóciły głęboki sen, w który zapadł ledwo znalazł się w tym miejscu.

W półcieniu spowijającym szarością ponure podziemie Gavor zdołał jeszcze na pewien czas wyłączyć się z otaczającej go rzeczywistości, zachować w wyobraźni złudzenia i przywidzenia, jak e popadziły przebudzenie się jego świadomości. Być może, kiedy umysł jest przyćmiony i otepiały z bólu, nieprzekraczalny próg dzielący przeszłość od teraźniejszości staje się bliższy, a czas upodabnia się do wąza próbującego ugryźć własny ogon, czy do talu furkoczących kart tarokowych, z której wyłuskać można tę jedną, upragnioną.

Jeszcze przez chwile Gavor widział siebie nie w wilgotnych lochach Kongarab, lecz w kamiennym pomieszczeniu wrożki Uljany: ona doglądała ognia, a motki jedwabnych nici opłatały wokół siebie światło kominka. Wiatr przewiewał osniezone i odludne wawozy północy, docierał do serca puszczy i wstrząsał listowiem, unosząc tumany sniegu. A on wciąż tam był: w goscinnie u pięknej, surowej czarownicy i szeptał jej o swoich wątpliwościach i o obawie, że nie sprostą próbie, na jaką wystawia go los.

starców dzieci, a nawet dla tego swini Grumaka, choć nie tknął on żadnej potrawy, bo takie swinie jak on obzerają się każdego dnia.

– Tak, to było piękne święto – zgodził się z nim Raklo ospałym z przejedzenia głosem. – Teraz jednak śliczaj nas uważnie, chłopcze. Twój wuj i ja musimy z tobą porozmawiać.

– Jutro... – mówił Gavor między jednym a drugim ziewnięciem. Teraz chodźmy spać jak wszyscy. Jesteśmy pijani.

Musimy z tobą porozmawiać – nalegał Raklo. I wylał mu na głowę to, co pozostało jeszcze w naczyniu. – Posłuchaj, chłopcze. Jutro, gdy umysły nasze będą trzeźwe, ani ja, ani twój wuj nie zdołamy się na odwagę powiedzenia ci wszystkiego. Lepiej teraz, kiedy wino skryć może zakłopotanie i podsunąć odpowiednie słowa.

Gavor potrząsnął ociekającymi wodą ramionami.

O co chodzi? Może chcecie, żebym zastanowił się nad bajkami Grumaka? A może zamierzacie opowiadać mi tutaj o mapie?

– Dostajcie – ostro zapewnił Raklo. – Tym razem opowiemy ci prawdziwą historię, dotyczy ona ciebie, twojego pochodzenia i losu, jaki cię czeka... Zaczynaj ty, Obher.

Wuj Obher pociągnął nosem. Jego oczy zweziły się i pozostały jedynie dwie skosne szparki, usta mu drżały, ale jego sucha dłoń zdawała się przyklejona do ucha dzbana.

– Najpierw dajcie mi się napić – wymamrotał ochryplym głosem. Napełnił puchary i z grymasem pociągnął spory łyk. I zaczął.

– Przed dwudziestu laty nasza rodzina mieszkała w Samarab. Mielismy zagrodę nieco za miastem, na wysokości krzyżujących się traktów, którymi zmierzały karawany kupców i pielgrzymów kierujące się do Bhakry, miasta świątyni. Dla kowala i siodlarza nie brakowało tam pracy. Raklo dopiero co ożenił się z Hedriną, ja zakończyłem już moje włóczęgostwo i rad byłem, że sam już kulawy, znalazłem bratową chętną do zaopiekowania się także i mną. Ejże, chłopcze, co z tobą? Szpiz?

– Słucham – zapewnił Gavor. – Mów dalej.

– Pewnej nocy, kiedy nabijałem guzami siodło, które następnego dnia miało być gotowe, na podwórku wpadł jeździec cały ubrany na czarno i zaczął tak gwałtownie dobijać się do drzwi, jakby miał je wywazyć. I byłby to uczynił, gdybym nie pospieszył otworzyć. Zdesperowanym głosem powiedział, że jest ścigany i że nie ma już dla niego nadziei. Jego głowa była już tylko krwawa bryła, między szyją a ramieniem widniała rana, przerażająca dziura, z której sterczała strzaskana kość. Niemal siłą wszedł do domu, rozwał płaszcz i wyjął zawiniątko. Było to dziecko, niemowle, zawinięte w zakrwawione płótno, sine, z pewnością było jak przewiązana wstążka. „Mój syn”, powiedział. „Jego matka zmarła przed godziną wydając go na świat, tu niedaleko, w lesie. Nie zdołałem jej nawet pochować, nie starczyło mi czasu ani siły, i jutro stanie się łupem myszy i kruków”. Tak właśnie powiedział, po czym rzucił na stół garść złotych monet. „To złoto”, powiedział, „zapewni wam dobrobyt i spokój na całe życie. Zaopiekujcie się dzieckiem, wychowajcie je, jakby było waszym synem, niechaj nauczy się czytać i pisać, gdyż kiedy dorosnie, będzie musiał wykazać mądrość i roztropność, żeby odnaleźć swoje korzenie i obudzić w ludziach nadzieję”. Hedrina chciała opatrzyć mu ranę, ale jeździec odepchnął ją szorstko. „Dla mnie nie ma już nadziei”, powiedział. „Najlepiej będzie, jeśli jak najszybciej się oddale, nie chce, żeby dziecko dostało się w ręce moich prześladowców”. Dał nam amulet, powiedział jeszcze inne zadziwiające rzeczy i noca opuścił nasz dom, dosiadł konia i pojechał umrzeć.

I co dalej? – wykrzyknął Gavor unosząc się. Raklo schwycił go za ramię i wypchnął zza stołu.

Ruszamy do domu – postanowił. – Niech nawet świerszcze nie będą świadkami tego, co mamy jeszcze do powiedzenia.

Zataczając się weszli do domu. Raklo niosąc kaganek, wuj Obher zaś dzban i kielichy. Siedli wokół stołu siodlarza, wypili i czas pewien spoglądali na siebie w milczeniu i obco podpuchniętymi, żądnymi snu oczyma.

– Nie jest łatwo mówić dalej – ziewnął Raklo.

Nie ma już potrzeby – gorzko uśmiechnął się Gavor. – Rzecz najważniejsza jest już jasna. – Nerwowo uderzył pięścią o otwartą dłoń. Życie płata dziwne figle – powiedział – człowiek osiąga wiek dojrzały, przygotowuje ucztę dla najbliższych, dla przyjaciół, dla krewnych, a kiedy ucztą dobiega końca,

dowiaduje się, że jest tylko podrzutkiem. I jest to smutne, bardzo smutne, aż serce zamiera...

- Musisz koniecznie poznać jeszcze inne rzeczy - próbował kontynuować Raklo.
- Jutro. Jutro szczegóły - spróbował się uśmiechnąć, ale twarz nagle mu poszarzała, a z gardła dobył jedynie chrapliwy i stłumiony głos:
- Idźcie już. Zostawcie mnie samego z moimi myślami.

Rozdział III

Dwa dni później, o świcie, Gavor osiodłał Uciete Ucho, najszybszego ze swoich koni i wyruszył w kierunku Samarabh.

W wewnętrznej kieszeni kaftana skórzany futerał ochraniał mapę wuja Obhera, a pod guzami siodła ukrył siedem złotych monet. Na szyi, na cienkim skórzanym rzemieniu zawiesił amulet.

Gavor długo mu się przyglądał, cały dzień obracał go w ręku z odczuciem irytacji i niepewności: znaczenie tego wisiorka, jego tajemnicza symbolika wykraczały daleko poza jego wyobraźnię. Był to metalowy, płaski krążek, niby moneta, otoczony niezrozumiałym napisem. Na jednej stronie znajdował się wyryty z niespotykaną precyzją wizerunek ptaka z rozłożonymi skrzydłami i zakrzywionym dziobem, na drugiej - prostokąt draperii, znaczonej poziomymi liniami, z jasniejącymi w rogu punktami jakby gwiazd.

- Ten amulet - powtarzał Obher do znudzenia - pozwoli ci odnaleźć twoj los. I dzięki niemu ci, którzy oczekują ciebie, będą mogli poznać w tobie Gavora, syna Gavora. Ojciec twój nosił takie samo imię.

Potem Obher siodlarz kazał mu powtórzyć sto razy dziwne, pozbawione znaczenia słowo, żeby na zawsze utkwilo mu ono w pamięci. Meklur!

- Kiedy już cię rozpoznają, powiesz im, że przybywasz w imieniu Meklura. Zapamiętaj to słowo. Nie zapomnij go nawet za całe złoto świata. I jedno jeszcze dobrze pamiętaj. Świat pełen jest oszustów, szalbierzy, ludzi, którzy na tysiąc sposobów starają się być ukryci przed tobą twoj cel, zmylić ci drogę i odwieść od przeznaczenia, ku któremu zmierzasz. Zawierzysz jedynie tym, którzy mówią będą o białym księżycu.

Zaczął się śmiać, lecz wuj Obher nie zartował. - Gdyby ktoś miał cię zapytać, jakiego koloru jest księżyc, masz odpowiedzieć, że białego, rozumialesz?

- Ale przecież księżyc jest fioletowy!

- Fioletowy, zgoda. Ale ty masz mówić, że biały. A gdybys nie otrzymał takiej odpowiedzi, masz zakończyć rozmowę i odejść. Takie wskazówki pozostawił dwadzieścia lat temu twoj ojciec, nim zmarł scigany przez ślepaczy, będących na usługach kapłanów.

Raklo klepnął go po ramieniu i mocno przycisnął do piersi.

- Thurno i Agla o niczym nie wiedzą - powiedział jednym tchem. - Będą czekać na ciebie jak na prawdziwego brata.

- I jako brat wróć - obiecał Gavor. - I jako syn. Ponieważ ty byłeś najlepszym z ojców, a wuj Obher najlepszym nauczycielem.

Uczepiona strzemienia Hedrina z oczami pełnymi łez odprowadziła go kawalek. Pochylił się, żeby musnąć jej poświęcone włosy, potem nagle z gniewem spał konia

Jego cień mającący jeszcze szaro we wznieconym obłoku kurzu, przypominającym chmurę nadchodzącej burzy.

*

Z Thune do Samarabh było około tysiąca i szesciu set mil szerokim traktem północnym, który w połowie drogi przecinał miasto Gurabh. Gavor obrał jednak mniej uczęszczaną drogę, zbaczając już na początku na zachód, w stronę wód rzeki Da-Ghur.

wszyscy wokół rzucili się do ucieczki. Gavor dostrzegł, że Hozas na czworakach wpełził w ciemny zaułek, on sam jednak natychmiast został otoczony i choć zrećnie unikał ostrzy, które szukały jego brzucha, stało się jasne, że znalazł się w potrzasku.

- Chce go żywego! - szczęśliwie dla niego zakrzyknął strażnik, na którego Gavor się rzucił.

I stało się, że ledwo w godzinę po wejściu do Kongarabh Gavor był już związany jak pęto kielbasy i prowadzony do miejskiego lochu.

- Wpadłeś w tarapaty, chłopcze! - szydził strażnik. - Zobaczmy, co z tobą będzie. Nasze więzienia pełne są niespodzianek...

- Kłopoty nadchodzą człowieka i odchodzą, a ja wybieram je, jak mi się podoba - odparł Gavor wzruszając ramionami. Dobrze mu się dostało i wciąż czuł się otumaniony. A w gorze fioletowy księżyc jakby drwił sobie z niego.

Przez głowę błyskawicznie przemknął mu wir wspomnień. Później czuł już tylko ból, który wzmagający się, jakie spadały na niego wśród szyderstw żołnierzy.

Zatknięte na murach pochodnie rozciągały nad miastem niepewną i grozną atmosferę. Mieszkancy, o ile w ogóle istnieli, skryli się za dobrze zaryglowanymi włotami, zamykając okna, kiedy przechodził hałaśliwy oddział najemnych zbirów, podnieconych świadomością bycia panami życia i śmierci.

Nagle, z ciemności wysunęła się zgarbiona postać i zagroziła strażnikom drogę. Powoli i cicho zaczęła mamrotać coś, co brzmiało jak litania.

- Nakazuje: błyskawico rozbłyszni! Wodo spłyn z nieba!

Pochodnia rzuciła blask na staruszkę w łachmanach, która bez przerwy wymachiwała rekoma z dłońmi uniesionymi ku niebu. Oniemiały Gavor usłyszał odległy grzmot i poczuł, jak nieoczekiwany i orzeźwiający deszcz przemywa mu rany.

Zadrzał, choć deszcz ten był jedynie złudzeniem. Żołnierze zeszytywnieli w obliczu czarownicy, która z gniewem tupiała, stojąc w pokrytej warstwą lodu kałuży.

- Choćby jedno okno, kiedy czas ku temu! - wymamrotała. - Potrzebuje przezroczystej wody, a nie zmełnialej pod lodem. Rzeczy zbyt szybko się toczą.

Po chwili wyprostowała się, smukła niczym dziewczyna, a czarne galgany, którymi była okryta, powiewały łagane wiatrem ledwo co wzbudzonej nawałnicy.

Śnieg i chłód, zabicie owoce jabłoni - mruczała, unosząc zakrzywione palce w białych tumanach wirujących w powietrzu.

W koncu spojrzała na Gavora niewidzącymi, skrytymi grubą, białawą zaciemną oczami i mamrotała dalej:

Nasienie człowieka z gwiazdy odległej,
z gliszas płaszc, czytaj w zrenicy żółtej,
o tobie niejedna kobieta marzyła,
wszystkie opuszczone, któraż uległa?
Gdyż innej barwy księżyc zaświecił,
wówczas miłość zabrał, potem ją zwrócił.

Gavor utkwiał w niej zaskoczony wzrok. Ona westchnęła i znow się odezwała

Nasienie tułacz z gwiazdy odległej,
z gliszas płaszc, czytaj w zrenicy żółtej,
gdy księżyc z wiarą szukać będziesz,
po nieszczęście i szczęście wnet sięgniesz.

Nikt nie śmiał oddychać. Wszyscy jak oniemieli utkwili wzrok w tej dziwnej scenie, którą rozjaśniały drgające iskry pochodni. Powoli, jakby bezwolnie, stara czarownica odwróciła się i zniknęła w ciemności. Ale jej głos niby uwiecznione echo pobrzmiwał tuż nad jego uchem:

Złoty snów, chłopcze. Stare podanie mówi, że w porannych majakach jest więcej prawdy niż sądzimy... Złoty snów.

Powietrze znow stało się rześkie i powrócił fioletowy wiosenny wieczór, bez śladu śniegu.

- Przeklęta czarownica i jej iluzje, nie warto złamanego solda! - zaklął jeden ze strażników. - Jeszcze

przed nim dziewczyna sprzedająca kury i jajka miała okragłe, beczelnie prowokujące biodra i rozchyłone uśmiechem czerwone usta

Co powiedziała Uljana? „Gdziekolwiek poniesie cię twoja tulacza dusza, zawsze znajdziesz jakąś kobietę gotową przyjść ci z pomocą”

– Dlaczego nie? – powiedział w duchu Gavor, rzucając ze znużeniem wyzwanie swoim bezrozumnym wspomnieniom. Od kogoś muszę zacząć. Nie będzie chyba źle, jeśli zacznę od tej pięknej handlarki.

Ale kiedy zapytał ją o niejakiego Rangara, kupca z Tharab, dziewczyna mocno zacisnęła piękne usta i zamilkła, udając, że jest bardzo zajęta wypychaniem kur do drewnianych klatek.

– Czy jesteś pewna, że nigdy o nim nie słyszałaś? – nalegał Gavor. Był pewien, że coś wiedziała – zbyt szybko zaprzeczyła, zdradził ją zresztą błysk strachu w oczach, kiedy usłyszała imię kupca.

– Nie mam czasu na próżne gadanie – odpowiedziała dziewczyna ze zniecierpliwieniem w głosie. – Czy nie widzisz księżyc? Moje kury powinny już spać, albo jutro nie będzie jej. Zostałyśmy dzisiaj dłużej, bo mamy święto Władcy Władców z Kongarab i dużo zarobiliśmy, gdyż zewsząd zjechały się tłumy ludzi. Ale już czas wracać.

Barwny targ zaczął zamierać. Przy nikłym świetle pochodni mężczyźni i kobiety składali do tobołków swoje towary.

– Błagam cię, pewien jestem, że znasz Rangara. Przed takimi oczami jak twoje nic nie może się skryć. Powiedz, gdzie go szukać?

Dziewczyna, miotając się między pochlebstwem a strachem, nerwowo rozejrzała się wokół i w koncu wybuchnęła:

– Jeśli chcesz kupić kury, sprzedam ci. Ale jeśli chcesz zasięgnąć informacji, no cóż, pytaj kapłanów, to oni go zamordowali, jeśli prawdą jest, co mówią ludzie.

Rangar został więc zabity. A skoro tak, to biały księżyc niesłusznie śmierć tym, którzy znali jego znaczenie

– Przyjacielu – wyszeptał człowiek o jowialnej twarzy wiesniaka – twoje pytania ściągają uwagę. Bądź ostrożniejszy, jeśli zależy ci na własnej skórze.

I oczami wskazał na dwóch zbrojnych odzianych w spodnie z czerwonymi nogawicami, którzy stali nie opodal i udając obojętność przysłuchiwali się leniwym rozmowom ostatnich kupujących.

Raz jeszcze Gavor zetknął się z głęboko zakorzenioną solidarnością odwiecznie prześladowanych, którzy w razie potrzeby potrafili zespolic się, żeby w chwili później rozpaść się na tysiące odrębnych istnień, gotowych do ponownego złączenia przeciw usankcjonowanym oprawcom: strażnikom, panom, kapłanom i delatorom.

Już w oberży w Gurabh, mieście złotników, pomogła mu młoda oberżystka, a drwal Andiraq, czyż nie wybawił go z kłopotów co najmniej dwa razy? A na dużym targu w Samarabh, czy to nie jakaś staruszka przestrzegła go, żeby nie interesował się karzącą ręką sprawiedliwości?

Zbrojni zbliżyli się do Gavora i wiesniaka, który chaotycznie szeptał mu na ucho:

– Udawaj, że mnie znasz – rozmawiajmy, jak starzy przyjaciele: dwaj rozmawiający wzbudzają mniej podejrzeń niż jeden obcy zadający pytania. Nazywam się Hozas, przybywam z Shillpan. Jest też tutaj moja córka wyszła za mąż za kotlarza z Kongarab. W tych dniach urodziła i przyjechałem zobaczyć, jak sobie radzi. Hancla, moja druga córka, została w Shillpan dopilnować gospodarstwa.

Hozas opowiadał o sobie i swojej rodzinie, przywołując wspomnienia domowego ogniska Gavora, kiedy jeszcze nie zawisł nad nim biały cień nieznanego księżyca.

Lecz mimo wysiłków Hozasa strażnicy nie wyglądali na przekonanych o jego niewinności i wiesniak, dla odwrócenia uwagi, udał, że przez nieuwagę oparł się o kosz z kurami, wyrzucając go. Kury rozbiegły się z głośnym gdakaniem, wszyscy rzucili się je łapać i wydawało się, że wybieg się powiodł, ale jeden ze strażników dobył miecza i obuchem dzielił w kark Hozasa, który już śmiać się zadowolony.

Hozas upadł przeklinając. Żołdak rzucił się na niego, kopiąc go szaleńczo. Gavor schwycił go za szyję, musiał do odwrócenia się i grzmotnął w podbródek z siłą, która powaliłaby byczkę.

– Na pomoc! Na pomoc! – wrzeszczała handlarka. – Zamordują się!

Kury trzepotały skrzydłami, spadła skrzynka z jajami i bruk stał się śliski. I gdy zjawili się strażnicy,

Uciete Ucho nie nabrał jeszcze pełni sił. Przez pierwsze dni Gavor zważał, by nie popędzać go zbyt szybko. Później dopiero, gdy zwierzę wzmocniło pęczyny i nabierało wytrzymałości, stopniowo wydłużał codzienne etapy i skracał postoje.

Podążał wzdłuż nurtu Da-Ghur, który stopniowo wykreczał na północ, wzdłuż pierwszych stoków Kordyliery Smoków, długiego lancucha gorskiego, absolutnie niedostępnego, w czym zgodni byli niemal wszyscy, a za którym rozciągały się ziemie dzikie i niegospodnie. Rad był z sąsiedztwa wody, gdyż zapewniało to popas dla Ucietego Ucha. Poza tym, strony te były mało zaludnione, a w niebezpiecznych wioskach, jakie napotykał, nie słyszało się o strażach Khavla. Rzecz jasna, nie byłby w stanie go zatrzymać, gdyż Gavor nie był przypisany do ziemi Kowale i rzemieślnicy, kupcy i hodowcy koni mogli poruszać się z pełną swobodą. Niemniej pewnych spotkań lepiej było unikać, a droga, którą obrał, wydawała się najodpowiedniejsza i zapewniała podróż bez niespodzianek i nieprzewidywanych przeszkód.

Kiedy słońce chyliło się ku zachodowi, Gavor powstrzymał konia i uważnie wyszukiwał odpowiednie miejsce na nocleg. Następnie rozpałał ogień, na spocony grzbiet Ucietego Ucha narzucał derkę i posiliwszy się suchym chlebem i solonym miesem, z siodłem pod głową rozkładał się nie opodal ognia, owinięty swoją kurtką z koziej wełny.

Pomimo zmęczenia nie było mu łatwo zapasować w sen. Nieustannie męczyły go dziwne myśli, w uszach wciąż brzmiały słowa Kakla i Obhera, przelatujące z doliny do doliny niby echo. Nawet gdy zamykał już oczy i z uporem zmuszał się do zaśnięcia, przed jego rozbudzonymi myślami ukazywała się wciąż ta sama mapa, ze wszystkimi absurdalnymi i groźnymi symbolami. W koncu nachodził go obraz Duny, biały i ulotny we mgle, woskowa twarz i ruda grzywka. I palące, pełne wyrzutu spojrzenie. A potem głos, słodki i nieubłagany, który prześladował go nawet w najbardziej skrytych zakamarkach snu.

– Odszedłeś – mówiła Duna. – Dla księżycy, który stał się dla ciebie biały, jak do studni wrzuciłeś wspomnienia, dziecinne zabawy, i miłość, jakbyś nic między nami nie zasłó.

Obraz ten dreczył go do rana, także gdy trwał w najgłębszym śnie. A kiedy budził się oglupiały i udreńczony, gotów był przyjać na siebie winę, której nie łagodziło nawet wspomnienie słów, jakie przed odjazdem skierował do dziewczyny.

– Powrócę – powiedział jej. – Jeśli będziesz o mnie pamiętać, powrócę już na zawsze.

I sztyłem obciął kosmyk jej rudych włosów i przewiązał je wokół amuletu.

Często za dnia przystawał nad brzegiem rzeki, na piaszczystych, białych od słońca ławicach. Niekiedy chwycił duże ryby o ciemnobłękitnych łuskach, które zapadały się daleko w głąb martwych odgalezień rzeki i zostawały uwieszone w bajorkach utworzonych przez naturalne ukształtowanie terenu. Spotykał również wiewiórki, jeżozwierze, popielice i dzikie krowiki, nie miał jednak żadnych siodeł, a przede wszystkim nie mógł sobie pozwolić na strata czasu i próżne wędrówki.

Kiedy jego zapas sucharów i solonego mięsa był bliski wyczerpania, zatrzymał się w zagubionej na zboczach wzgorz wiosce. W krytych słomą lepiankach niewielkie otwory okienne pozatykane były pergaminem i cienkim natuszczonym papierem. W głębi wioski znajdowała się gospoda: piętrowy dom wzniesiony z drewna i kamienia sprawiając wrażenie opustoszałego, jak odludny krajobraz, który go otaczał.

Gavor uwiązał konia pod werandą, chroniąc go przed wiszącym w powietrzu deszczem. Pośrodku podwórza zjawiała się jakaś dziewczyna, chudziśka z brudnożółtymi warkoczami, trzymająca w ręce widły. Bez słowa, nie racząc nawet zaszczyścić Gavora spojrzeniem, rzuciła przed Ucietym Uchem porcję siana. Zaraz zresztą oddaliła się, znikając za zasłoną na tyłach gospody.

Gavor wszedł za nią. W pomieszczeniu panował półmrok, takie przynajmniej odniósł wrażenie, gdy wszedł do środka. Stało tam parę stołów z ciemnego, masywnego drewna, było też ogromne, wygaszone palenisko. W rogu leżał pies, który zaczął zjadliwie warczeć. Wysoka i dobrze zbudowana kobieta stanęła w przejściu do znajdującej się obok kuchni.

– Witaj w Kusko Ghoreb – pozdrowiła go kobieta surowym, wcale nie usługowym głosem.

Gavor poczuł się nieswojo i ledwo zdołał wybełkotać swoją prośbę o ciepły, solidny posiłek, niemal przepaszając za zakładaniem spokoju.

Kobieta zmierzyła go od stóp do głów, stojąc nieruchomo w drzwiach, potem zeszła dwa stopnie i zbliżyła się.

- Gospoda jest otwarta, ale nie mamy nic gotowego, nic szczególnego, ani umyślnie przyrządzonego. O tej porze roku nikt tedy nie przejeżdża. Ale jeśli nie pogardzisz naszą codzienną strawą, mogę podać ci doskonałą zupę z fasoli na boczku. Jest prawie gotowa.

Zgodził się pospiesznie i zasiadł za stołem, w rogu i tyłem do ściany, zgodnie z naukami wuja Obhe-
ra.

- Podaj mi tymczasem coś do picia - rzucił, starając się o swobodny ton.

Dziewczyna z jasnymi warkoczami przyniosła serwetę i dzban wina. Po chwili powróciła też druga kobieta z trzema kubkami i miskami.

- Tutaj, w Kusko Ghoreb, podróżni są gośćmi rzadkimi jak białe kosy. Nie będzie ci przeszkadzać, jeśli ja z siostrzenicą zasiądziemy przy twoim stole?

Siostrzenica zwała się Hibli i zezowała na jedno oko. Natomiast oczy Dainy, oberżystki, były głębokie i otoczone tajemniczym mrokiem, piersi miała bujne i agresywne, a krucz włosy zebrała w ogromny kok.

- Dokąd zmierzasz, chłopcze? - zapytała, gdy niero już się posilili.

- Do Samarabh.

- Po co?

- Muszę kupić dwa konie rozplodowe - skłamał Gavor, nie unosząc oczu znad miski. - Jestem hodowcą i chcę spróbować połączyć nasze południowe konie, bardzo szybkie, z wytrzymałymi flomerami z północy.

- Przyjechałeś więc z południa, a udajesz się do Samarabh - powoli powiedziała kobieta, jakby mówiła do siebie samej. - Dlaczego jednak nie podróżujesz wschodnim traktem?

- Jest zbyt uczęszczany - odparł Gavor. - Moj ojciec i mój wuj nauczyli mnie, że gdzie większy ruch, więcej też kłopotów. Wolę drogi boczne, nawet jeśli są trudniejsze do przebycia. A zresztą... wydawało mi się przesadą co dwadzieścia mil opłacać myto.

Oberżystka przytaknęła w milczeniu. Na zewnątrz tymczasem zerwały się gwałtowne porywy wiatru, okiennice trzaskają jak oszalałe i zezowała Hibli o prostych, jasnych włosach poszła je umocnić.

Po chwili spadły gwałtowne krople deszczu.

- Jak nie trzy dni wody - odezwała się oberżystka, wskazując czarnymi jak węgiel oczami na okno.

Droga utonie w błocie i na długo stanie się nieprzejezdna...

Gavor zuchwale wzruszył ramionami.

- Deszcz i błoto nie są jeszcze przeszkodą - zaśmiał się drwiąco.

Widac, że nie znasz naszych dróg - odparła kobieta. - Tutaj deszcz i błoto oznaczać mogą śmierć. Moj mąż sześć lat temu skreślił sobie kark, spadając wraz z koniem w przepaść - droga przemieniła się w grzęzawisko głębokie do kolan.

Gavor odstawił pustką miskę i nalał sobie wina gwałtownym, zdradzającym niezadowolenie i rozdrażnienie ruchem.

Nie obawiaj się, chłopcze. Jeśli zechcesz się zatrzymać, na gorze czeka na ciebie najlepszy pokój w gospodzie. Nie będziesz musiał nawet dużo wydać.

Gavor zbliżył się do okna. Przez otwór w pergaminie zerknął na zewnątrz z nadzieją, że dostrzeże oznaki roz pogodzenia. Ale wzgórze nad wioską spowijał ciężki płaszcz czarnych chmur, a na drodze utworzyły się już kipiące kałuże.

Choć był dzień, w gospodzie zapadł półmrok jak o zmierzchu, pogrążając kontury sprzętów w jedno-stajnej przytłumionej szarości.

Hibli zjawiła się z ogarkiem zapalonym; świecy i postawiła ją na stole.

Ej, przybyśzu! Postaw ci karty? - Nie czekając nawet na odpowiedź, wyjęła z kieszeni talie kart i rzuciła je na stół. - Chcesz poznać bliską czy odległą przyszłość?

- Jedną i drugą - odpowiedział zadowolony. I wskazał na trzy karty. Hibli odwróciła je i przez chwilę przyglądała się im. Potem odwróciła jeszcze dwie, dokładając je do poprzednich. I jeszcze trzy.

„Nosimy na twarzy oznaki wykonywanego przez nas rzemiosła i symbole naszych panów - powiedział parobek, który przyszedł mu z pomocą, kiedy został ograbiony i rzucony w środku puszczy. - Jak moglibyśmy, w przeciwnym razie, wiedzieć, czy ustępować innym drogi czy nie?”

I rzeczywiście, wokół Gavora odbywał się nieustanny balet, w którym kółka żółte ustępowały przed zielonymi, zielone z respektem przepuszczały czerwone, czerwone zaś.

Nadzieje Gavora, że kupiec Rangar mogłby mu coś wyjaśnić, szybko się rozwiały. Rangar przeniósł się do Kongarabh. A Gavor wyczuł, że za tą zmianą kryło się coś niejasnego.

Sąsiedzi kupca Rangara reagowali nieufnym milczeniem, zmieniali wątek rozmowy, gubili się. Kłosa dał mu w końcu wyraznie do zrozumienia, by dał sobie spokój i wyniósł się.

Do czego zmierzasz twoimi pytaniami? Czy wstydzisz się swojej pracy, że musisz ją skrywać za twarzą obmytą jak twarze zmarłych? Ruszaj do Kongarabh i zapytaj Rangara, dlaczego postanowił odejść. Na nas czeka praca, cudzoziemcze. Nie przeszkadzaj więc.

I tak Gavor znów ruszył na północ, w kierunku Kongarabh. Uljana długo nalegała, żeby przyjął choć cztery sztuki srebra i on, acz niechętnie, wsunął w końcu monety do sakiewki, tłumiąc upokorzenie. Mogłby teraz dostać za to konia i podróżować szybciej, ale nabyte doświadczenia powstrzymały go. Pewniej posuwać się pieszo, anonimowo i bez zbytniego rzucania się w oczy, przylaczając się do karawan, czy prosić o podwiezienie kupców i wiesniaków, przewożących ziarno na ślewy. Wolał jak najwięcej przebywać pośród ludzi. Mogł w ten sposób bez narazania się wysłuchiwać rozmów i wleści, przekazywanych sobie na często uczęszczanych traktach, na rynkach i w karczmach niewielkich mijających wiosek.

Wybuchła wiosna. Rozszalałe wroble muskały się w pospiesznych, rozdrzgniętych i czułych powietrznych amorach; motyle, które dopiero co opuściły kokony, suszyły się w słońcu i znieśnacka zrywały się w szalonych i gwałtownych podrzgnięciach, ledwo narodzone, niespokojnie poszukując kwiatu, którego potrzebę czuły jeszcze w stanie larwalnym. Trawa roziskrzyła się jasną, niemal bezwstydną zielenią. Zrzucane w zarosłach skóry węży zmieszały błękit łusek z brudną ziemią. Wszystko żyło niespokojnym pospiechem, jakby chcąc nadrobić czas stracony zimą.

Jeden tylko Gavor był nieszczęśliwy - pozostawione za nim Uljana i Duna na przemian ustępowały sobie miejsca w dwuznacznym i frenalicznym tańcu, a Gavor, omolany przez obydwie, nie widział drogi wyjścia. Trud, z jakim usiłował odnaleźć znaczenie swego umysłowego chaosu, osłabiał go i pozbawiał chęci działania, izolując całkowicie od niepokohowanej żywotności pory roku.

Czarownica, z jej gorzką wonią magicznych ziół i przenikającym dusze spojrzeniem; Duna o świeżym aromacie siana, jego Duna z czerwonego piasku. Noc i dzień, słońce i księżyc... biały księżyc, i nie był już pewien, czy wciąż posiada moc szukania go.

Pod jego stopami poruszyło się gniazdo młodziutkich węży, które przesliznęły się jak topniejący śnieg. Wysoko w gorze wiewiorka upuściła żołądz i zapiszczała wystraszona. Raz jeszcze Gavor wyruszył w drogę.

Minął wioski Foresh, Vidmar i Orgovia, przebył most w Lovken, bagna Voopa, czerwone wzgórza Kemer i Riumin, rozległą równinę Keres i bory Lundin...

I wreszcie, po miesiącu, dojrzał miasto Kongarabh, rozłożone u stóp wzgórza, z którego schodził. Kongarabh, które jarzyło się tysiącami zapalonych pochodni, tysiącami drgających o zmierzchu ogników, niby ogromna rozogniona odwrócona misa, łagodna, wysadzana kamieniami czasza na tle czerwonego zachodu słońca.

Ale to, co z daleka wyglądało na rudowne miasto, z bliska ukazało całą nędzę gospód, z przykrym zapachem przysmażonej słoniny i kapasty, jak we wszystkich karczmach tego świata. I równie bezładny targ, w który zagłębił się z przeswiadczeniem, że wreszcie dowie się czegoś o Rangarze. Bo gdzież indziej, jeśli nie na targu, miałby dopytywać s.a. o kupca?

Wśród dobrze mu znanych ostrych odorów zwierząt, płodów ziemi, skóry i brudnych ciał Gavor zapomniał na chwilę o swoim cierpieniu i dreczących go niepewnościach. Księżyc, który ledwo co wynurzył się, był fioletowy na ciemnym wieczornym niebie, taki właśnie, jaki być powinien, a stojąca

- To znaczy, że los utworzony jest z jedwabnych nici? uśmiechnął się Gavor. - Uważasz mnie za bardziej naiwnego niż jestem w rzeczywistości.
 - Tak tylko mówią, moj chłopcze.
 Podniosła na Gavora smutne oczy i dodała:
 - Ty też znalazłeś się na tym arrasie...
 - Ja?
 - Tak, ty i biały księżyc, którego z takim uporem szukałeś.
 - To ty sprawiłaś, bym o nim zapomniał?! - wykrzyknął Gavor, a głos jego pełen był wyrzutu i podziwu.

Utkwił wzrok w niejasnym jeszcze rysunku tkaniny.
 - Jaką tajemnicę skrywa ten arras?
 Uljana nie chciała jednak odpowiedzieć. Spoglądała na oszronione drzewa za oknem, powoli odmarzające pod ciepłym południowym wiatrem.
 - Zima się skończyła - westchnęła. I Gavor ujrzał, jak pod jej rzesami zaperliły się dwie łzy.
 Czarownica nie pomyliła się. Parę dni później spadł pierwszy deszcz. Ziemia nie była już tak krucha i nie skrzypiała pod nogami, nasiąkała ciemną wodą, tworząc zbite jeszcze błoto.
 Kadzience były wygaszone: wonne zioła, które czarownica w nich spalała, zioła zapomnienia, rosły tylko zimą, a jedynie świeże zachowywały swą moc.
 Gavor początkowo nie zdawał sobie sprawy, że przychodziło opamiętanie, choć później uświadomił sobie, że nastąpiło to wraz ze zmianą pór roku. Niezauważalnie, dzień po dniu, łączył nici przeszłości z teraźniejszością, aż nadszedł świt całkowitego przebudzenia. Tego ranka Uljana uśmiechnęła się do niego, on jednak pozostał odległy.
 - Co ci jest? - spytała czarownica. Ale w jej pytaniu pobrzmiwało zmęczenie, gdyż znała odpowiedź i już cierpiała z tego powodu.
 - Ja... muszę ruszać. Nie tylko ty byłeś w moim przeznaczeniu.
 - Wiem. Zawsze wiedziałam, że nie zdołam długo cie trzymać. Ciągłe się łudzimy, że zdążymy wypełnić całą namietność, ale tak nie jest. A więc ruszaj chłopcze, niedorzecznie drogi mojemu sercu. Ale nie odwracaj się, bo zatrzymam cię na zawsze.
 - Ja... muszę odszukać pewnego handlarza, nazywa się Rangar. Słyszałem o nim od pewnej dziewczyny w Samarabh.
 - Tak, dokońców się udasz, gdziekolwiek poniesie cię twoja tułacza dusza, zawsze znajdziesz jakąś kobietę gotową przyjść ci z pomocą. Nie wierze, że los kobiet polega na pomaganiu zagubionym wędrowcom, ale sprawiło to, tak sędze, jasne światło, jakim promienieje twoje spojrzenie.
 I wyznanie to było słodkie i gorzkie zarazem jak wonny aromat, który zimą wydzielali jej kadzidła.

Gavor przeraził się grozby, jaką wyczuł w jej głosie i zamkniętego smutku jej twarzy, gdyż coś, w głębi, desperacko kazało mu pozostać.

Niemal biegiem opuścił zaczarowany ogród. Drzewa znów przybrały barwy lata, jak tamtego odległego dnia, kiedy tu przybył.

Już na zewnątrz zatrzymał się w niepewności: tak długo przebywał jedynie z Uljaną, że sam czuł się jak okaleczony. Musiał jednak ruszyć dalej. Mapa Obhera, kulejącego siodlarza, któremu żal było ogromnych przemierzonych przestrzeni, wskazywała mu kierunek północny i nazwy miast o tajemniczym i magicznym brzmieniu, miast o nazwach odległych jak sam cel jego wędrowki.

A tamta dziewczyna z Samarabh opowiedziała mu o kupcu Rangarze, który też mówił o białym księżycu i wzywał imienia Meklur.

Rangar z Tharab

Rozdział X

Tharab było zimnym miastem, zamieszkałym przez ludzi o wymalowanych twarzach. Widniały na nich kółka białe, żółte, czerwone, brązowe, fioletowe, pomarańczowe, o bogatej gamie odcieni i budziły one iluzoryczny efekt wesołości.

Jestem młodą i niedoświadczoną wrożką - powiedziała Hibli, wbijając w niego swoje zezowate oko. - Nie widzę zbyt daleko. Ale w twoim przypadku karty mówią jasno. Powiedziałeś, że jedziesz do Samarabh kupić konie. No więc, tego karty nie mówią. Wręcz przeciwnie, karty mówią, że stracisz dwa konie...

- Co mówisz! Podróżuję z jednym koniem, jak mogę stracić dwa!
 - Mówię tylko to, co czytam w kartach. Wynika z nich, że stracisz dwa konie, najpierw jednego, potem drugiego. Właśnie tak, najpierw jednego, potem drugiego.

Gavor z wyraźną irytacją uderzył pięścią w otwartą dłoń. - A o bliskiej przyszłości? - zapytał. - Co mówią karty? Hibli ukradkiem rozejrzała się wokół. U jej stop pies z zadowoleniem merdał ogonem. Ciotka w kuchni wycierała naczynia. Wyrzuciła z siebie jednym tchem:

- Jest jakaś młoda kobieta, brzydka i nieszczęśliwa...
 - Mów jaśniej - odezwał się nieufnie Gavor.
 - Jest jakaś młoda kobieta, brzydka i nieszczęśliwa, która gorąco cię pożąda. Ale widzę też drugą, nie tak młodą, ale piękną i pewną swego, którą ty już przeczuwasz, choć jeszcze tego sobie nie uświadamiasz. Obie cię usidla.

Gavor z niedowierzaniem potrząsnął głową.
 - Dwa stracone konie i dwie zdobyte kobiety - skomentował rozbawiony. - Niekiedy karty mówią dziwne rzeczy, sprzeczne z rozsądkiem i rozumem.

W tej jednak chwili drzwi otworzyły się szeroko i do środka weszło dwóch okutanych w płaszcze mężczyzn, wnosząc bryzgi wody i podmuchy wiatru.

- Daima! Gdzie się ukryłaś, straszna kobieto! - żartobliwie zakrzyknął wyższy z nich.

Słyszac to oberżystka ukazała się w progu kuchni. Delikatny, dwuznaczny uśmiech wykwitł na jej surowej i władczej twarzy. Mężczyzna zdjął ociekający wodą płaszcz i zawiesił u wejścia, po czym, podskakując niczym jakiś błotny ptak, przeniósł się na środek pomieszczenia i schylił w usługowym ukłonie.

- Daimo! - wyrecytował z uczuciem, przekładając czarny kapelusz z reki do reki. - Daimo, nocny aniele, senna zjawo, przyczynio zgryzoty. Mhuma, twój wierny sługa, przybył, żeby złożyć ci hołd, ufny twej życzliwości. - Przykucnął na podłodze i skulił się jak kot, fiknął kozła i niczym akrobata stanął na nogi, krejąc piruet. - Oto jestem na twoje rozkazy.

- Mhuma - zganila go oberżystka - wariat z ciebie, jak zawsze. Co tutaj robisz? Czy nie miałeś wyruszyć do Gurabh na jesienny jarmark?

- O nie - tłumaczył mężczyzna, przewrotnie poruszając palcem. - Wiedziałem, że spadną deszcze, czulem to w każdej kości. Rzekłem więc nie, choć raz ci dobrze ludzie z Gurabh będą musieli obejść się bez wędrownego blazna Mhumi, króla wędrownych śpiewaków. Daj pić, Daimo. Dziś wieczór zabawiemy się tutaj, w Kusko.

Tymczasem również i jego towarzysz ściągnął z siebie płaszcz i po omacku, przyciskając do boku tablę, zasiadł w kącie, niedaleko Gavora.

Hibli zgarnęła karty i oddaliła się z wyraźną niechęcią, żeby obsłużyć nowych przybyszy. Blazen, pomrukując jak kozioł, popychał oberżystkę do kuchni. Do uszu Gavora dołarała przyciszona rozmowa i stłumione okrzyki. Potem, wyraźnie niezadowolony, a jednak wesoły i rozpromieniony Mhuma powrócił do sali i usiadł obok swego towarzysza.

- Zaczynaj, Nogo - zachęcił go stanowczym głosem. Kobiety mają kamienne serca, ale śpiew potrafi niekiedy zdziałać cuda.

Porozumiewawczo mrugnął do Gavora i gdy towarzysz wprawnymi palcami sposobit instrument, zaintonował balladę o świtach i zachodach, pocałunkach skradzionych w świetle księżyca, o basniach i pajęczynach daremnie poszukiwanych snów.

Mhuma śpiewał pięknym barytonowym głosem, a Nogo, jego niewidomy towarzysz, wtórował mu na tablę. Na zewnątrz woda lała się strumieniem, zapadła już całkowita ciemność, a nocne ptaki posępnym pohukiwaniem dawały znać o swojej władczej obecności.

Gavor podszedł do okna, które wychodziło na podwórze i zerknął w stronę stajni.

- O konia możesz być spokojny - zapewniła Hibli. - Napoiłam go, dorzuciłam owsa i założyłam szlabe na wrota od stajni. Możesz być spokojny, nie tutaj go stracisz.

Z kagankiem w ręce zjawila się oberzystka i ustawiła go na gzymsie nad paleniskiem.

- Zaczynam czuć chłód - zwrócił się do niej Mhuma, kiedy skończył swoją piosenkę. - Co byś powiedziała, gdybyśmy tak rozpalił ogień?

Potem zwrócił się do Gavora:

- Daima mówiła mi, że udajesz się do Samarabn po konie. Załóż się, że sakwa, jaką masz u boku, pełna jest srebrnych monet...

- Pełno w niej miedziaków - zapewnił z uśmiechem Gavor. - Tyle tylko, żeby zapewnić podróż z postojami pod gołym niebem

- A konie - pospiesznie indagował wędrowny śpiewak, szarpiąc brode, okalającą jego twarz. Czym zapłacisz za konie, chłopcze?

- Konie są już opłacone - odparł Gavor bez zmruczenia oka. - Mam kredyt u tego, kto ma mi je dać.

- Widzę, że masz na wszystko gotową odpowiedź - wymamrotał Mhuma. - Chciałem ci zaproponować partyjkę w kości, ale jeśli masz tylko parę marnych miedziaków, nie ma o czym mówić. Ja gram tylko o duże stawki.

- Nie wierz mę - wtrąciła Hibli. - Mhuma jest biedny jak mysz kościelna, jak wszyscy zresztą wędrowni śpiewacy...

- ...zawsze jednak dość bogaty, żeby postawić dobrej kompanii - dokończył Mhuma, ściągając kapełusz z głowy i ciskając nim o ścianę. Wybuchnął gromkim śmiechem i zaraz zaintonował kolejną piosenkę.

Hibli przyniosła następny dzban wina, potem jeszcze jeden i jeszcze Gavor, który już odczuwał zdradliwe skutki wina, pił bez umiaru. Jak przez mgłę widział Mhume, który skakał niczym pajac, potrząsał głową i wymachiwał rękoma, szukając piersi Daimy. W końcu, nie zdoławszy nawet unieść się, śpiewak jarmarczny zwał się na stół, przewracając kubek.

- Ma już dosyć - powiedziała Daima. - Noc spędzi na stole nieruchomy jak głaz.

- On też się starzeje - westchnął Noga ze zrenicami zawieszonymi w próżni. - Chciałby podbić świat, ale głowa już nie ta. Wino zwala go z nóg i po paru kielichach pozostaje z niego jedynie strzep człowieka.

- Tym gorzej dla niego - podsumowała Hibli. Zbliżyła się do Gavora i jej dlonie błądziły po jego szyi i pod kamizelą. Daima siedziała po przeciwnej stronie stołu, obok grajka. Lampka powoli przygasła, oliwa prawie się skończyła i jedynie rozpalony ogień rzucał czerwone i fioletowe blaski, a rozedrgane światło zmieniało rysy twarzy, rzucając ulotne i tajemnicze cienie.

Noga zaczął podśpiewywać poigłosem, niby echo instrumentu, a Daima wtórowała melodii, poruszając się coraz bardziej podniecająco i bezwstydnie. Mhuma chrząkał jak wieprzek. Rece Hibli s'wały się coraz bardziej bezczelne i Gavor z rozplamioną głową i ciałem naprężonym jak struna zrozumiał, że nie znajdzie w sobie dość siły, żeby uniknąć tym pieszczotom - nieznanym mu dotychczas demon, potężny i władczy, usiadał go okowami łagodnymi i nie do pokonania.

Po drugiej stronie stołu widział oberzystkę, bliską a zarazem odległą: pochylała się, by dopełnić jego kubek. Ujrzał wilgotne i czarne oczy, ogromne piersi, które pod chustą wznosiły się niby żarłoczne i dzikie bestie. W tej chwili Gavor zapragnął mieć sto rąk i sto ust, żeby dotknąć i skosztować tajemnicę.

Zębami wpił się w szyję Hibli, objął ją w pot i przyciągnął brutalnie, żądny jej gorączkowego drżenia, ale dłoń Daimy zetknęła się z jego dlonią, którą trzymał na przykrywcę dzbana, a jej palce jak ogniste węże przesłały mu posłannictwo pełne groźb i obietnic.

W jednej chwili Gavor przeraził się, że zostanie pożarty przez tego potwora. Bezwolnie przechylił ostatni kubek wina i nie widział już nic więcej, jedynie roje świetlików pod powiekami

- Zanies go na gore.

Zdawało się, jakby głos Daimy dochodził spod sufitu, znad okapu paleniska, spod stołu, z opustoszałej drogi, z podwórza.

- Zanies go na gore i połóż do łóżka

Utkwiła wzrok w kamieniach i po długiej chwili gwałtownym ruchem wrzuciła je do kałuży.

- Nie uniosły się nawet najmniejsze bryzgi - pomyślał zdumiony Gavor.

Wyglądało to tak, jakby kamyki zostały wchłonięte przez niezbadane głębiny, bezgłośnie, w wodzie sięgającej ledwo do kostek.

- Spójrz... spójrz w oczy twojemu losowi - powiedziała Uljana. A twarz jej stała się jak burza, ciemna, osamotniona, lodowała niczym północny krajobraz.

- Tylko terazniejszość jest prawdziwa: przeszłość i przyszłość napisane są na wodzie, choć ludzie o tym nie wiedzą - dodała.

Woda w kałuży powoli zmieniła barwę: na dnie ukazał się promieniejący błękit njeby, niebo w Thune, gorące, wspaniałe i bogate, Uciete Ucho galopował lekko po zielonych łąkach, na nim siedziała Duna, niewielkie dłonie wcepiła w grzywe, a jej rude włosy falowały, zwiewne jak obłok o zmierzchu, rozjaśniony ostatnim blaskiem słońca.

Nie czas był jednak na nostalgie: woda zmieniła barwę, stała się ciemnym wzburzonym jeziorem. I przesuwali się twarze - przebiegłe, chciwe, wesołe, namiętne, zimne - twarze tych wszystkich, którzy oszukali go, okradli, wyszydili lub pomogli mu w jego pełnej trudów podróży.

Był tam Botro: śmiał się drwiąco i potrząsał amuletem, a fioletowa plama na jego twarzy jaśniała wyraźnie niczym pieśń. Był Andiraq, oświetlony ogniskiem biwakow, i mnich z czerwoną, przekrzywioną czapą, spojrzaniem szalenc i trupimi palcami. Była również ulicznica o smutnym spojrzaniu, okryta jedynie odbłaskami rozpalonego kominka. Ujrzał kupca Slivaha, wędrownego śpiewaka Mhume, zezowatą Hibli i kruczowłosą Daimę o bujnych piersiach.

A potem woda wzburzyła się i jego oczy napełniła jasna i okrągła światłość: wielki, biały księżyc z macicy perłowej, który przesłonił wszystkie inne obrazy i zapanował nad wszystkim swoją bezwzględnością. Również postać Uljany jakby się unicestwiła i zasuszyła niby umierająca hamadziada, którą ludzie w swoich marzeniach chcą ocalić, nim wykarczują las.

I Gavor zadrżał z trwogą.

- Ujrzałeś swoje przeznaczenie? - zapytała Uljana, podczas gdy kałuża znów przemieniła się w brudną wodę.

- Nie wiem - wyznał wciąż jeszcze oszołomiony - nie wiem, czy przeniknąłem je do samej głębi...

- Jeszcze spróbujemy - wyszeptała czarownica, wyjmując z kałuży dwa kamyki, które ukryła w obszernej kieszeni płaszcza.

Tuż za okalającym ogrod murem zawył wilk dziko, jakby kłami właśnie po długim tropieniu zadusił zdobycz.

- Przed nami jeszcze dużo switów, mamy czas na szukanie przyszłości - cicho odezwała się Uljana - mamy czas, tyle ile potrzeba, choć nie tyle, ile ja bym chciała...

A jej oczy były smutne.

W gorze czarne kruki zataczały kregi wśród nabrzmiałych śniegiem chmur.

■

To był dziwny czas, zaczarowany i Gavor na zawsze zapamiętał paralizujące zdziwienie - czyż można inaczej pamiętać szaleństwo, kiedy się ulotniło? Gdyż to było szaleństwo

Istniała wówczas jedynie Uljana. Złożony i wielokształtny świat obracał się tylko wokół niej. Kiedy się śmiała, objawiał się szczęśliwymi dźwiękami, lekkimi i wiecznymi wibracjami niczym sznur pereł. Pieszczoty jej subtelnych palców przemieniały wszystko w jaśniejsze i żarliwe słońce, które oszalało jak wino. A jeśli Uljany przy nim nie było, świat po prostu nie istniał, stawał się pustym nawiasem, szarą nicostą, którą jedynie Uljana była w stanie wypełnić.

Pewnego razu Gavor w poszukiwaniu Uljany znalazł się w niewielkim kamiennym pomieszczeniu. Wroźka była pochylona nad arrasem: wyciągała z wielobarwnych motków nici i wplatała je, tworząc ogromny nieskończony rysunek

Co robisz? - zapytał zaskoczony Gavor.

- Tkam: czy nie wiesz, że ludzie mówią o nas „te, które tkają losy“?

Rozdział IX

Switało: w dużym, kamiennym kominku tańczył ogień i podobne, szczęśliwe ogniki błyskały w oczach Uljany. Gavor spoglądał na nią, oniemiały, nie zdając sobie sprawy, co się z nim dzieje.

Ja... zdaje mi się, że zakochałem się w tobie... – wyszeptał

Nie nadawaj nigdy rzeczom imienia – odparła łagodnie. – To tak, jakbys nadawał im przeznaczenie...

Na zewnątrz wiatr rozpoczynał nowy dzień, żaląc się niby samotny, opuszczony przez stado wilk.

Nie jestem nawet w stanie przemówić do ciebie – skarżył się Gavor. – Nie potrafię powiedzieć, co czuję.

– Nie mów nic – na ustach Uljany pojawił się cień gorzkiego uśmiechu. – Kierują nami dziwne rytmy, wewnątrz nas samych, nakazują nam one mówić lub milczeć. Kiedy słowa umykają ci, oznacza to, że nadszedł moment pieszczoty

Wiatr też ucichł.

★

Niekiedy Uljana prowadziła go do puszczy, ucząc jak wydobywać spod śniegu delikatne, czerwone korzenie.

Pewnego ranka, w samym środku zimy, kiedy blade słońce nieznacznie muskało śnieg, natknęli się na rudego lisa. Zwierzę miało dziwny, chytry, wydłużony pysk. Ostrożnie zbliżyło się do nich i potarło nos o długie palce czarownicy.

Innym znowu razem zebrali malenkie białe kwiaty, chłodne jak lodowe kryształki i lekkie jak płatki śniegu. I były to pierwsze niesmiałe oznaki dalekiej jeszcze wiosny.

A potem nadszedł dzień pajęczych nici, delikatnych i chłodnych, które Uljana zerwała z gałęzi, przyozdabiając nimi suknie. Wyglądała niczym młoda, delikatna turkawka i miękka, obsypana klejnotami czajka.

Gavor co jakiś czas pytał ją o księżyc, biały księżyc, który powracał w jego snach niczym niemy wyrzut sumienia. I doprowadził do tego, że uniosła się.

– Chciałam ci ofiarować urokliwy dar, ale jesteś głupi jak wszyscy mężczyźni: korzenie w przeszłości, a głowy w przyszłości. A może naprawdę chcesz poznać swoją przyszłość? Dobrze, zostaniesz sam tej nocy. Sam! Ale nie spij, bo wszystko okaże się daremne. Jutro o świcie, ledwie wiatr obwieści nowy dzień, masz być w północnym zakątku ogrodu.

★

Była to wyjątkowo długa noc: wielokrotnie kusilo go, żeby przejść do słodkiego, dobrze znanego pokoju, w którym spała Uljana, ułożyć się obok niej i zagubić w igraszkach. Chciał poczuć ciepły oddech wrożki na swojej twarzy, uchwycić wyraz jej oczu zagubionych w miłosnym uścisku.

W ciemności Gavor zaciskał dłonie, żeby zapanować nad przemożną żądzą zatracenia się, ale postać wrożki, niczym przebliskujący w ciemności cień, wciąż stała kusząco nad nim. Az wreszcie drzenie wiatru oznajmiło świt. Gavor zerwał się i wyszedł, zmierzając w kierunku skraju ogrodu.

Uljana już tam czekała, cała w czerni. Zdawała się jeszcze delikatniejsza niż zazwyczaj, wyraźnie odcinająca się od białego śniegu. Jasne włosy spowijały ją lekką złocistą mgiełką. Poranny wiatr rozdmuchiwał jej płaszcz, upodabniając go do czarnego żagla.

Czarownica trwała nieruchomo, a jej spojrzenie miało głębię wieków. Nachyliła się nad kałużą, woda odbijała sine niebo, obrysowane delikatną lodową powłoką

– Patrz więc, Gavorze z Thune, skoro chcesz stanąć twarzą w twarz z twoim losem. Patrz, ale nie drzyj, bo wszystko zniknie w głębokiej mgle.

– Nie drze – dumnie zapewnił chłopiec.

– Może... – uśmiechnęła się czarownica, a miękki i delikatny grymas jej ust wyraził dużo więcej, niż mogłyby zawrzeć słowa. Podniosła dwa kamienie rzeczne, otoczaki rzucone tam przez kogoś, który potop, i długo obracała je w dłoniach, jakby chciała je ogrzać.

– Nabierają życiodajnego ciepła... – wyjaśniła mgliście.

Wiatr ustał i ogród Uljany spowila przytłaczająca cisza.

Wspinał się po schodach jak lunatyk, a Hibli wspierała go z całych sił, pchając w odpowiednim kierunku. A potem, już w pokoju, rozciągnięty na łóżku, czuł, że dziewczyna siera mu buty i uwalnia od ubrania. W szale namiętności rzucił się na nią i wyladował na jej wątłym ciele zadze, która nim owładnęła

Nie zdolał jednak zaspokoić napastującego go od wewnątrz demona

Malenkie, zmagające się gnomy, lubieżni streczyciele, opadły go jak oszalałe. Otoczyła go cała gromada bezwstydných hamadriad, lesnych nimf, wrozek i czuły ręce Hibli niezmordowane i nieustępliwe jak jego usta.

W koncu, w labiryncie podświadomości, posłyszal głos, którego skrycie oczekiwał, głęboki głos Daimy, a z nim porzuł jej obecnosc, gorącą i władczą. – Idź stąd – mówiła do Hibli. Ton zdradzał zawziętość i niecierpliwość, ale dla Gavora był słodki jak śpiew skowronków. Idź, mała czarownico. Dość się nacieszyłaś!

I jak we śnie Gavor poczuł na swojej ogorzałej twarzy aksamit tej koszarnej i zniewalającej piersi, która wymuszała całkowite oddanie się. Matka rozkoszy, okrutna, despotyczna, niemal go pożerała i wciągała w czelusc bezwzględnej niewoli.

I wtedy to, w jednej chwili, Gavor zrozumiał, że jeśli chce pozostać sobą, jeśli pragnie uniknąć zguby, kryjącej się w odwiecznej magii i w pokusach słodkiego i infantylnego podporządkowania się, musi przeciąć linie tego koszmaru i jak mężczyzna posiąść tę oto kobietę, którą ona jego posiadzie. Dopiero wówczas, po szponiastycznie długim i wściekłym umiesieniu, poczuł, że na zawsze zwyciężył i zmusił do odwrótu syreny dzieciństwa.

Rozdział IV

Przez całe trzy dni Gavor z uporem podążał na północ wzdłuż koryta rzeki Da-Ghur. Pogoda znów mu sprzyjała, ale droga, którą się posuwał, wcale nie była bezpieczna: poprzecinana licznymi rozlewiskami i grząskim mulem.

Na targu w Gromo-Goreb nabył nieco słoniny i suchego bobu, napełnił bukłak winem, po czym wyruszył na wschód, gdyż droga wydała mu się tam bardziej sucha i przejezdna.

Sypiał pod gołym niebem, mimo nocnych chłodów i uciążliwej obecnosci gryzoni, które szdyżao z ognia zbliżały się do jego napredce uszykowanego legowiska. W chwilach bezsenności powracał myślami do drogi już przebytej, by zagłębić się w mroczne meandry tego, co miało go jeszcze spotkać. Mapy już nie potrzebował: znał ją na pamięć w najdrobniejszych szczegółach, niekiedy miał wręcz wrażenie, jakby kiedyś już widział wioski i miasta zaznaczone na kawałku pergaminu. Pewnego wieczoru rozplątał owinięty wokół amuletu kosmyk czerwonych włosów Duny i wsunął je między załamanie mapy. Następnie sztyletem odgął parę guzów zdobiących stodołę i schował ją między jego podwójnym obiciem.

Za sobą zostawił już bory Kubala, osady Eliskases, Tarrash i Oghi-Bor, trzykrotnie też zmuszony był opłacać myto na drugorzędnych mostkach, drobne oznaki poddaństwa, którym dla spokoju wolał się nie sprzeciwiać. Na rynku w Borodag miał niewielki zatarg z dwoma włóczęgami, którzy pod pretekstem wskazania mu drogi, chcieli wyludzić od niego obiad. „Strzeż się włóczęgów”, pouczał go wuj Obher. Bez wahania wyciągnął sztylet i natęcił przy choralnym śmiechu obecnych natychmiast zniknęli, jak lisy nakryte na kradzieży.

Dotarł wreszcie do Gurabh, miasta złotników, prawdziwego grodu o potężnych murach, wysokich na trzy pietra domach, z warowniami i basztami, z wielobarwnym tłumem przyjezdnych na ulicach.

Ponieważ dwie podkowy wymagały poprawienia, powierzył konia opiece kowala, którego warsztat mieścił się na wąskiej uliczce nie opodal rynku. Choć nikt nie zwracał na niego uwagi, od razu poczuł się jednak obco i nieswojo pieszo posród tłumy, w prostej kurcie z koziej skóry.

Najwięcej było sklepików złotników. Napotykał je na każdym rogu, niekiedy przy głównych ulicach, ciągnęły się jeden za drugim. W każdym pełno kupców, którzy pochyleni nad szkatułkami lub stojący w progu, żeby w świetle dziennym przypatrzeć się lącuchom i naszyjnikom, spierali się głośno.

Po długim namyśle wszedł do jednego z nich, wybierając możliwie najbardziej odludny. Za kontua-

rem człowiek o zakrzywionym nosie i drapieżnych oczkach dyskutował z otyłym kupcem, odzianym w szkarłatny jedwab, który w uniesionych w górę palcach trzymał pierscion. Spoglądał nań pod światło, kładł do wyszcielanej aksamitem szkatułki i znów unosił, by przyjrzeć się dokładnie.

Gavor zwrócił się do czeladnika złotnika, młodzieńca, który beczynnie siedział w rogu. Zdjął amulet i położył na stole.

- Ile to może być warte?

Czeladnik ledwie rzucił okiem na wisior, nawet nie biorąc do ręki, żeby przyjrzeć się z bliska.

- Zajmujemy się tylko złotymi i srebrnymi przedmiotami - powiedział jedynie.

Tymczasem kupiec w szkarłacie, kląnąc i wykrzykując jak opętany, zrezygnował z kupna pierscionka i wyszedł ze sklepu. Złotnik beczynnie przesunął się za kontuar i stanął obok nich. Wziął amulet i wyważył go na otwartej dłoni.

- Ten metal nie jest wart - powiedział oschłym tonem. I dodał:

- Rysunek jest ładny, ale napis nieczytelny. Według mnie to jakaś urojona moneta, a może wisior, który wybił przez jakiegoś artystę ogarniętego fanaberyjnym szaleem, może pijanego...

- Ale to wyjątkowy przedmiot - zapalił się Gavor. - Ile może być wart?

- Co ma być wart, chłopcze? To tylko podziurawiona moneta.

Gavor zawiązany schował amulet. Zupełnie nie interesowała go pieniężna wartość amuletu, którego nie zamierzał przecież sprzedawać. Rozdrażniło go jednak, że nie dostrzeżona została wartość symboliczna, jaką wisior musiał posiadać, w przeciwnym bowiem razie jego ojciec, czarny jeździec, nie przekazałby go Rakłowi i Obherowi.

Kiedy był już na progu i zamierzał wyjść na ulicę, odwrócił się jeszcze i zapytał niepewnym głosem:

- Powiedźcie mi, jakiego koloru jest księżyc?

Złotnik na chwilę zmarszczył brwi. Po chwili gniewnie przeszedł na tył sklepu.

- Dzisiaj wszystko idzie mi na opak - usłyszał Gavor jego zirykowany głos za kotarą. - Klienci, którzy nie chcą kupować i nieokresani prostacy, którzy wciskają mi fałszywe monety, bełkocząc przy tym niezrozumiałe rzeczy...

W innych sklepikach nie poszło mu lepiej. Wszędzie w metnych spojrzeniach złotników dostrzegał cień ironii lub wręcz nie skrywaną kpinę. Wszyscy potrząsali głowami i odsuwali amulet na drugą stronę kontuaru, jakby był okrucieństwem skalanej materii, lub też jawnie śmiali mu się w nos. Nikt nie słyszał również o białym księżycu, wszyscy szeroko otwierali oczy i zaskoczeni opędzali się jak od natrętnego wariata.

Tymczasem słońce osiągnęło zenit i uliczki zaczęły się wyludniać. Poprzez uchylone okna domów i z oberży dolatywał ponętny aromat przygotowywanych potraw. Gavor wszedł do ostatniego sklepu i bez przekonania pokazał amulet.

Złotnik sprawdził metal różnymi kwasami, koncem rylca lekko go zarysował, wyczyszczył zanurzonym w jakimś płynie gałgankiem, aż amulet zajaszał niczym słońce. Dwa lub trzy razy stanął w oknie, żeby dokładniej widzieć tajemniczy napis na obrzeżu.

- Chcesz go sprzedać? - odezwał się nagle miękim głosem.

Gavor przecząco pokręcił głową.

- Chcę wiedzieć tylko, ile jest wart.

Złotnik skrzywił się.

Wiele może być wart, ale może też nie być wart nic. Jesteś jego prawowitym posiadaczem? Chodzi mi tylko o to, czy go nie ukradłeś?

- Zważaj na swoje słowa, złotniku. Ten amulet zawsze należał do mojej rodziny.

- Zawsze? Mów jasniej, chłopcze. Powiedz chociaż, od jak dawna twoja rodzina posiada ten wisior...

A ty powiedz, jakiego koloru jest księżyc - odparł Gavor, któremu w sercu zapalała się też iskierka nadziei. „On coś wie” - myślał - a skoro tak, będzie musiał naprowadzić mnie na właściwą drogę.

Złotnik wysunął się zza kontuaru i pośpiesznie zamknął okiennice.

- Chodź - powiedział aksamitnym i przekonującym głosem. - O tej porze wszyscy mieszkańcy

Może być kapłanem, panem lub sługą, jak ja. Ale kimś być musi. Jak siebie nazywasz, kiedy o sobie myślisz?

- Ja jestem Gavor.

- Jesteś Gavor siodłarz, Gavor kowal czy Gavor drwal?

- Ja jestem Gavor.

Człowiek z kolistymi znakami wołał nie nalegać. Tymczasem wóz opuścił już gęsty las i toczył się rozległą równiną, porośłą niskimi krzewami, tak ciężkimi od sniegu, że z trudem można było odróżnić je wśród białej okolicy.

Po lewej stronie ukazała się wielka kwadratowa budowla, wyłożona szaroniebieskimi kamieniami. Na dachu slerzały cztery kominy, po jednym na każdym boku i wszystkie mocno dymiły.

- Jesteśmy na miejscu? - zapytał Gavor. Ale jego towarzysz pokręcił przecząco głową.

- Czy to nie jest zamek twojego pana?

Nie, to dom Uljany, najpotężniejszej w tych stronach czarownicy.

Czarownicy, powiedziałaś? Wsadź mnie tutaj. Czarownica przepowiedziała, że stracę dwa konie.

Może druga czarownica powie, jak je odzyskać...

- Uważaj, cudzoziemcze. Za porady Uljany płacić trzeba brzęczącą monetą. Zbojcy ograbili cię ze wszystkiego, co miałeś. Czym więc zapłacisz?

Gavor wskazał na dach domu.

- Twojej wroźce musi być dosyć zimno, skoro pali w czterech piecach! I z pewnością potrzebuje dużo drewna na opał. Nie martw się, przyjacielu. Jestem drwalem i jakos spłacam dług.

Najpierw była aleja długa na sto kroków, od głównej drogi do przestronnego podjazdu dla wozów. Dalej drożka prowadząca wprost do furty z ciemnego drewna, zwieńczonej daszkiem wysuniętym ponad opasujący budowlę mur.

Gavor zamierzał już zastukać, kiedy wrota otworzyły się same, powoli.

Tuż za progiem niepokojąca, upojna won kadzidła roznosił przesunięty nieznacznie w lewo, miedziany ruszt. Wnętrze zaś - wewnątrz jawiło się tak rudowne i powabne, że Gavor zatrzymał się niezdyscyplinowany, oszołomiony wyglądem ogrodu: powietrze nie było wcale zimne - słońce plonęło tak intensywnie, że zdawało się być tym samym, które świeciło w pełni lata w Thune. Drzewa obsypane liśćmi, krzewy kwiatami, a w bogatym lisiowiu gnieździły się kosy i sokli.

Kto mógł rozkazywać słońcu i porom roku?

I jakby wrzwana jego myślą, stanęła przed nim kobieta. Kobieta o oczach z jasnej wody, jedwabistych włosach, mieniących się jak stare złoto, o skorze świeżej i gładkiej niby z kwiecistych płatków, pomyślał Gavor, w chwili gdy kobieta zagadkowym ruchem ręki musnęła mu czoło.

Oszolomiony Gavor nie był w stanie uczynić nic poza patrzeniem na nią. Ta istota stanowiła wcielenie piękności, piękności doskonałej, która przejmowała zdumieniem i bojaźnią.

Podążył za nią posłusznie, zniewolony dziwnym jarzmem, nad którym nie potrafił, ani nie chciał zapanować, i gdy zagłębiał się w zaczarowany ogród, sceneria stopniowo zmieniała się, aż przeistoczyła się w biel sniegu, naga jak okolice, które zostawił za swoimi plecami - ogolone drzewa, krzewy bez kwiatów, sztywne i kruche od mrozu.

Kobieta też już nie jasniała, jej bezbarwną twarz pokryły głębokie cienie - a chmura smutku slegnęła jej rysy. Ale oczy - jej oczy pozostały niby jeziora - głębokie i nieskonczone. Było mu obojętne, że lato rozwinęło się ze zmiennej kwiatoj i wielobarwnej plałwioj i że nie była już tak piękna i promieniejaca. Ona była Uljana i Gavor pójł ze nigdy nie zapragnął - żeby była kimś innym niż sama sobą.

- Jaki jest kolor księżyca? - zapytał ją, wciąż nieobecny. A może słowa te wcale nie wyszły z jego ust, może wybuchły tylko w riszy jego myśli.

- Białej - wsłuchnęła wroźka, a przynajmniej jemu zdawało się, że tak usłyszał. - Księżyc jest biały, a twoje oczy są złociste jak odległe gwiazdy na niebie.

★

- Posłuszwasz się swojej magią i rzuciłaś na mnie urok - oskarżył ją później Gavor.

- Jaka byłabyś kobieta - rozesmiała się Uljana, nieznacznie wzruszając ramionami - gdybym potrzebowała czarów dla omdlenia mężczyzny?

Ala odwazny z ciebie kogut: niech twój gniew podtrzyma cię na siłach do pierwszej wioski. Nie trać czasu, bo noc cię zaskoczy bez ognia.

★

Przepowiednia Hibli, młodej czarownicy z Kusko Ghoreb, spełniła się. „Stracisz dwa konie – wyróżyła z kart – najpierw jednego, potem drugiego”.

– Przeklęta czarownica! zaklął. – I co mam teraz robić?

Rozejrzał się z przestрахem. Zawrócić do obozu Andiraga było już niemożliwe. Jedynym wyjściem było posuwać się pieszo do przodu. Wcześniej czy później musi spotkać kogoś, kto przyjdzie mu z pomocą. A zresztą rabuś napomknął o pobliskiej wiosce.

Dwie godziny później, sztywny z zimna i ze zmęczenia, Gavor zrozumiał, że nie ujdzie już daleko. Olutny mróz przenikał go na wskroś i odbierał resztkę sił. Otepiały, osunął się u stóp dużego świerku i już zaczął go usidlać niebezpieczny sen, gdy nagle odległe rzenie konia poderwało go na nogi. Wkrótce słyszał już stłumiony odgłos nadciągającego po zaśnieżonej drodze wozu.

Gavor ujrzał parę fhomarów zaprzężonych do wozu z ładunkiem zboża, a na koźle mocno opatulonego, otylego woźnicę.

– Hoj! – krzyknął, stając na środku drogi i unosząc do góry ręce.

– Woźnica ściągnął lejce i pomimo tuszy zwinnie zeskoczył z wozu.

– Pleszo w taką zadymkę! Co ci się stało? Może się zgubiłeś?

– Jestem tu obcy – wyjaśnił Gavor słabym głosem. – Podążałem do Tharab, ale napadli mnie zbójcy i uprowadzili konia z wszystkim, co miałem...

– Jesteś siny niczym trup – zauważył woźnica. Wyjął spod futra buteleczkę likworu i podał mu. – Do Tharab jest daleko, przez noc nie dojechałbyś nawet konno.

– Czy nie ma gdzieś w pobliżu wioski, bym mógł spędzić noc?

– Pewnie, że jest! Ale to szmat drogi. Nie znając tych stron, na dodatek tak osłabiony, nigdy byś tam nie dotarł. Ja nie mogę cię podwieźć, muszę być w zamku, nim zmrok zapadnie: nie mam zamiaru narażać się na gniew mojego pana – powiedział i palcem dotknął obu policzków.

I dopiero wtedy Gavor spostrzegł dwa niewielkie kółka, zielone i czerwone, wymalowane na twarzy woźnicy. Również czapaki koni znaczyły dwa podobne, nieco jednak większe insygnia.

– Wskaku, na wóz – powiedział mężczyzna. – Znajdę jakiś sposób, żeby cię umieścić w zamkowych stajniach, o ile oczywiście zapewnisz, że będziesz siedział cicho, nie rzucając się zbytnio w oczy. Rozumiesz? Nie jestem panem, jestem tylko parobkiem.

Gavor tyknął jeszcze likworu. Oddał buteleczkę i wsiadł na wóz.

Tymczasem znow zaczął sypać gęsty śnieg. Dwa fhomary jak oszalałe ciągnęły wóz, nieczule na zawieruchę, która wstrząsała lasem i całą okolicą.

– Dlaczego chodzisz z wymalowaną twarzą? – zapytał Gavor.

– Zieleni i czerwieni to barwy naszego pana, zna go i drży przed nim cała prowincja – odparł woźnica.

– Pod płaszczem insygnia nie byłyby widoczne, ale na twarzy tak. I wszyscy ustępują mi drogi bez mugnięcia okiem, nawet zbójcy. Moje znaki są pewniejsze od zbrojnej eskorty.

– Rozumiem – wymamrotał Gavor i zamilkł, otulony w swoje futro z glistas. Po pewnym czasie człowiek ze znakami na twarzy podjął rozmowę.

– Przybywasz z daleka? Masz cerę ciemną jak ludzie południa...

– Tak, w moich stronach jest ciepło, prawie zawsze świeci słońce...

– Co robisz w twojej wiosce?

– Ja? – Gavor uśmiechnął się. – Nie wiem.

– Czyżbyś był panem, skoro nic nie musisz robić?

– Nie, nie. Mogę ci rzec, że człowiek, który mnie wychował niczym ojciec jest kowalem, człowiek, którego najbardziej szanuje, jest siodlarzem, a ja przez pewien czas robiłem jedno i drugie, nim zostałem drwalem.

Co za zamieszanie. Jak możesz żyć, skoro nie wiesz nawet, kim jesteś! Człowiek jest tym, co robi.

Gurabh siedzą za stołem. Przyjmiesz moje zaproszenie? Nazywam się Merek. Moja córka jak zwykle przygotowała doskonały posiłek.

To mówiąc otworzył tylne drzwi i lekko pchnął go do środka. Stoł był już zastawiony i dziewczyna o ponurym spojrzeniu, z włosami uplecionymi w warkocze, siedziała wyczekująco w kącie.

– Za chwilę będzie gotowy – zapewnił złotnik. – To moja córka Hulma.

– Nie odpowiedziałeś jeszcze na moje pytanie – odezwał się Gavor z cieniem podejrzliwości. I powtórzył: – Jakiego koloru jest księżyc?

Złotnik Merek uśmiechnął się dziwnie i rozłożył ręce.

Sam nie potrafi ci odpowiedzieć. Ale tutaj w Gurabh jest ktoś, kto mógłby odpowiedzieć ci bez trudu.

Zwrócił się do dziewczyny:

– Idź po Orlika, powiedz mu, żeby natychmiast tutaj przybył. A my tymczasem napijemy się.

Na twarzy dziewczyny zarysowało się zdziwienie, ale Gavor nie pojął dlaczego. Merek zniknął za progiem kuchni i dał znak dziewczynie, żeby poszła za nim.

Gavor posłyszał najpierw niewyraźną rozmowę, ale szybko słuch jego zaczął wylapywać sens zdań. Tamtych dwoje nie sądziło, że jego słuch, wyostrzony jak u dzikiego zwierzęcia, zdolny jest wychwycić nawet oddech motyli.

– Leć do świątyni – szeptał złotnik – i przekaz kapłanowi, że w naszym domu znajduje się heretyk, jakiś przybysz mówiący dziwne rzeczy. Powiedz mu, żeby zjawił się z dwoma krzepkimi strażnikami i żeby przyniósł nagrodę należną za donos.

Chętnie poczekałby na powrót tego człowieka, żeby wypić z nim i rozbić kielich na jego szczęcie, ale bardziej stosowne wydało mu się zniknąć jak najszybciej. Wyskoczył z pokoju, ogromnymi susami przemknął przez sklepik i całym impetem wpadł na drzwi wychodzące na ulicę, wyważając je. I biegł, biegł, ile tchu, jakby uciekał przed stadem wilków, przebiegł wszystkie ulice Gurabh, zaułki, placiki, mroczne zakamarki gubiące się pośród ogrodów i podwórek, aż znalazł się na obrzeżu miasta, pod jego murami.

Dopiero tam przystanął, żeby nabrać oddechu na kopcu żwiru. Zrozumiał, że popełnił dużą nieostrożność. Nie powinien był nigdy, ale to nigdy obnosić się ze swoim amuletem i pytać naiwnie o kolor księżyca. To najpewniejszy sposób, żeby ściągnąć na siebie biedę i pozwolić się zaaresztować przez straż jakiegoś panicza lub wpaść w ręce kapłanów. „Od tej chwili będę ostrożniejszy – pomyślał. – Muszę mniej mówić, a więcej słuchać”. Z drugiej jednak strony, w taki czy inny sposób musiał się zdradzić, gdyby bowiem stał wciąż na uboczu, jego poszukiwania nie przyniosłyby rezultatów.

Jakiś beapanski pies obwąchał mu nogi i zaczął rozgrzebywać ziemię w pobliżu. Tak długo szukał, aż udało mu się odkopać kość.

Gavor przyglądał się, jak pies, skomląc, oddalał się z kością w pysku i naraz poczuł, że i jego pusty brzuch domaga się swojej racji.

Od poprzedniego wieczoru nic nie miał w ustach i jego żołądek miał wszelkie prawo się buntować. Powoli, rozglądając się podejrzliwie, powrócił do miasta, wybierając mało uczęszczane uliczki, a przede wszystkim zważając, żeby nie znaleźć się w środku miasta, w pobliżu sklepiku Mereka. „Jeśli tylko będzie to możliwe, trzymaj się z daleka od wszelkich gospód – pouczał go wuj Obher. – To miejsce, gdzie możesz stracić pieniądze, a zyskać pchły i wszy”. Miał już jednak dosyć byle jak gotowanego bobu i zjełczałej słoniny. Czuł przeraźliwy głód i choć raz chciał pozwolić sobie na obfity i smaczny posiłek, przy stole, na którym znalazłby się dzban dobrego wina.

Słowem, znalazł się w oberży „Pod Srebrnym Motylem”. W izbie było tłoczno i goście posilali się i popijali wśród ogólnego zgielku i radosnych wybuchów śmiechu. Cierpliwie odczekał, aż zwolni się miejsce przy stole, a kiedy już udało mu się usiąść i poczuł smak zupy z kapusty i pieczeni, do gospody wkroczyło trzech uzbrojonych strażników z czerwonymi kokardami zawiązanymi wokół jelicow mieczy. Żołnierze, z pewnością wyżsi rangą, natychmiast zażądali miejsc i przypadkiem, a może nie, od razu go zaczęli, może dlatego, że jego wiejski ubiór, kurtka z prostej koziej skóry, zbyt odbiegał od strojów miejskich.

- Czujesz ten kozi odor? - odezwał się jeden z nich. Gavor jednak milczał i nawet nie podniósł oczu znad miski. - Co tutaj robi ten chłopak? - wykrzyknął drugi. Gavor milczał nadal, coraz bardziej pochylony, jakby mówili o kims innym. Az trzeci dobył miecza i zamachnął się tak zrećnie, że wywrócił jego miskę, rozpryskując wokół zawartość.

Rozwścieczony Gavor błyskawicznie sięgnął po sztylet. Nie zdołał go jednak dobyć - młodzieńka oberzyska, która go obsługiwała, sprytnie potknęła się i przewróciła na niego, wyraźnie zamierzając go powstrzymać.

Gavor strząsnął ją z siebie, unosił stoł i rzucił nim wprost na żołnierzy. Część gości wstała i pośpieszyła zapobiec bitce. Oberzyska wykorzystała chwilowe zamieszanie, pchnęła Gavora w kierunku kuchni i dalej, korytarzem na dwór, na wewnętrzny dziedziniec, gdzie znajdowała się szopa na siano i stajnie.

- Głupiec - powiedziała dziewczyna, ciągnąc go za sterę siana. - Ukryj się tu i nie ruszaj, dopóki nie wrócę i nie powiem, że droga jest już wolna.

Później, kiedy zapanowała już cisza i podśpiewywanie podchmielonych, oddalających się gości, dziewczyna wróciła z czerwoną różą wpiętą we włosy.

Sama rozwiązała gorset, spoglądając przy tym na niego spod lekko opuszczonych powiek. Jej ruchy były szybkie i zdecydowane, nie było w nich cienia wahanía.

Gavor wziął ją na sterce siana, lecz już bez poprzedniej furii, delikatnie i z niezrećną czułością chłopca przy pierwszych miłosnych uściskach. W milczeniu.

A potem, w ciszy, legił obok niej, z oczami utkwionymi w ciemnych i koslawych belkach przepastnej szopy.

- Powiedz - odezwał się w koncu, jakby posłuszny tajemniczemu wezwaniu. - Powiedz, jakiego koloru jest księżyc?

W odpowiedzi usłyszał rozbawiony chichot:

- Co ty wygadujesz? Co ma księżyc do miłości?

I poczuł jej dłoń, muskającą jego czoło i włosy. Wówczas przykniął oczy i poddał się sennosci jak dziecko.

Rozdział V

Im bardziej posuwał się na północ, tym bardziej strzeliste stawały się dachy domów, okna węższe, a uliczki w miasteczkach coraz bardziej kręte, skuteczniej chroniące od podmuchów wiatru. Lecz ani zmieniający się krajobraz, ani odmienna karnacja dziewcząt, ani ich dziwne skrojone szaty z ciężkiego płótna w niczym nie zapowiadały zaskoczenia, jakiego doznał po ujrzaniu Samarabh, miejsca całkowicie odmiennego od wszystkiego, co dotychczas widział.

Konia zostawił w ogromnej stajni u bram miasta.

- Dobrze się z nim obchodzi - powiedział do chłopca ślajennego, rzucając mu monety. - Daj mu dużo owsa i solidną porcję jęczmienia.

I skierował się do środka miasta.

Niezwykle wysokie były domy w Samarabh - nachodziły na siebie niemal bezwstydnie. Uliczki tworzyły ponure korytarze, ciemne i splecione, z murami tak wyniosłymi, że ledwie dostrzec można było niebo koloru brudnego mleka, a raczej jego złudne, romboidalne prześwity, gdzieś w górze. Chociaż słońce jeszcze nie zaszło, na murach płonęły już dymiące pochodnie i w tym niepewnym świetle twarze przechodniów wydawały się mocno zmienione, zniekształcone i dziwne. Przy wejściach do sklepików po stopniach spływały wyraźne, lodowe języki, a Thune, Thune z jego łagodnym i gościnnym klimatem wydawało się odległe jak wspomnienie dzieciństwa.

Od czasu do czasu rozbłyskiwało światło, odzywał się ostrzegawczy głos i nagle wysunięta ręka wylewała zawartość iskrzącej się miedzią misy. Gavor już parokrotnie musiał błyskawicznie uskakiwać, unikając tych niespodziewanych przysmów.

Mężczyźni i kobiety mieli oczy wąskie jak okna domostw i wyraz twarzy lodowaty jak bruk ulic; lecz jakieś tajemnicze podobieństwo w rysach twarzy Rakla, Obhera, Hedryni sprawiło, że nie czuł się cał-

żeby nie dążyć za wszelką cenę do zachowania tego, co posiadli. Trzymaj się od nich z daleka, Gavor pamiętaj.

Juz nie raz Gavor starał się znaleźć sposobną okazję, żeby zamienić z drwalem parę słów. I oto nadszła się sposobność właśnie w chwili, gdy zamierzał wyruszyć w dalszą drogę.

- Tobie mogę zaufać - odezwał się sciszając głos. - Czy słyszałeś kiedyś o białym księżycu?

Andiraq wzdygnął się:

- Ejże, chłopcze! Obity mi się o uszy te dziwne rzeczy. Ale słyszałem też, że niebezpiecznie o tym mówić. Iduor, ze swoim białym księżcem, wznicił ogień wielkiej nadziei, ale nie nastał jeszcze odpowiedni czas...

- Iduor?

- Tak, Iduor herezyt. Nie chcę jednak o tym mówić, chłopcze. Zresztą to jedynie zasłyszane gdzieś pogłoski. A poza tym... za dużo tutaj kapłanów. Ruszaj, skoro musisz, nie stawiaj mi więcej pytań. I bądź zdrow.

★

Porywy wiatru wznęcały białe wiry śniegu. Wkrótce jednak zapadł spokój, i znowu jedynie o świetle i zachodzie wiatr huczał szalenczo, omiatając zimowy krajobraz. Nadchodził regularnie, zapowiedziany przeciągłym zawodzeniem, i takie samo zawodzenie zwiastowało rychłe jego ustanie, zapewniając, że przez cały dzień lub noc nic więcej nie poruszy białych całunów nagromadzonych wzdłuż dróg.

Gavor, na niewielkim koniu o długiej sierści, którego dał mu Andiraq, już po pół dnia podążał głównym traktem, prowadzącym do Tharab, gdy nagle wydarzyło się coś dziwnego: parę śniegowych zasp poruszyło się i kiedy przecierał oczy, sądząc, że źle widzi, spod stert śniegu wychyliło się kilku mężczyzn.

Jeden z nich, z dużą fioletową plamą na twarzy, przyłożył do gardła Gavora coś na kształt piki i smięjąc się zażądał pieniędzy.

- Ale ja nic nie mam - wykrzyknął Gavor.

- Wszyscy tak mówią - zaśmiał się napastnik, drażniąc go piką - ale szybko zmieniają spiewkę. Już słyszę pobrzekiwanie srebra i przyprowadź mnie to o dreszcz radości.

- Mam ledwie parę monet, tyle, żeby starczyło na dwa dni drogi...

- Już lepiej, jeszcze przed chwilą nie miałeś nic, teraz doliczyłeś się paru monet, niech ci się jeszcze rozmożną, a dogadamy się.

Pół godziny później rabus nie był już taki dowcipny. Gavor stał całkowicie rozebrany, a jego ubranie zostało dokładnie obszukane, kieszenie wywrócone, buty skrupulatnie przejrane, ale ilość monet nie zwiększyła się.

Rzezimieszek z fioletowym znamieniem na twarzy, najwidoczniej herszt bandy, rzucił na zsiniałego z zimna Gavora pogardliwe spojrzenie.

- Zwroćcie mu jego łachmany - rozkazał - bo będziemy mieli trupa na drodze!

Wówczas to spostrzegł amulet i zerwał go z szyi Gavora.

- Ta błyskotka nie jest brzydka, choć to nie złoto. Przyda mi się jako towar na wymianę z damami. I ponownie rozbrzmiał jego śmiech:

- Nie najgorszej jesteś postury, chłopcze, ale bibeloty zostaw dla dziewcząt! To cacko dam jakieś opornej dziewczeczce, może skruszy jej niechec.

Gavor z wściekłością ubrał się i wciągnął buty.

- A to? - powiedział, narzucając na ramiona futro z glisas. - Dlaczego nie bierzecie futra?

- My tylko kradniemy i rabujemy - poważnie odpowiedział napastnik - nikogo nie mordujemy, jeśli nie jest to konieczne. Bez futra zamarzłbyś na śmierć jeszcze przed zmrokiem, ja, Botro, ci to mówię.

I oddalił się ciągnąc za sobą konia Gavora, a z nim cała banda.

- Popelniles błąd, żeś ujawnił swoje imię! - krzyknął za nim Gavor, rzucając głupie a szalencze wyzwanie. - Sprawie, że zawisniesz!

Botro rozesmiał się:

- Drzewo, na którym zawisne, jeszcze nie wypuściło korzeni, chłopcze, i nie ty będziesz moim katem.

- Coś chyba pamiętam... - wybełkotał żołnierz, któremu niezręcznie było przyznać, że nigdy o nim nie słyszał.
 - Stał się panem Gornym Terytoriów.
 I co z tego?
 - To z tego, że był ledwie bękartem dowódcy straży. Panowie nie są panami w imię praw boskich. Żołnierz zerknął pośpiesznie na śpiących mnichów i pielgrzymów
 - Co wygadujesz, przyjacielu? To heretyckie brednie! Nie poznaję cię..
 - Niebezpiecznie jest myśleć gorzko wyznał Andiraq. - Dochodzi się do rzeczy, których nie jest się w stanie wykazać.

Żołnierz oddalił się od ognia i okrył się swoim płaszczem. Po chwili jednak jakby przemyslał wszystko, podniósł się i zbliżył do Andiraqa

- Nie znam cię - wyrzekł. - Ale twoje opowieści są interesujące.

Nad polaną Wilczych Dołów zaległa cisza, ale słowa Andiraqa, zwłaszcza zaś wzmianka o księżycu, klebiły się w głowie Gavora, jakby przenikliwy mróz zmroził zawieszane w powietrzu słowa tak, żeby się nie rozpuściły.

Kolejny dzień pracy: z twarzą i dionmi czerwonymi od mrozu, zrenicami, które wzywały przez wielką szparę osłony przed wiatrem. I znowu wieczór, zapalone ognie, kracące się mnisi, którzy zdecydowali zatrzymać się jeszcze parę dni dla nabrania sił. Tak przynajmniej mówili, w rzeczywistości zaś wydawało się, że jeden z nich, wychudzony kapłan w wysokim purpurowym kapturze i o spojrzeniu szaleńca, sprawia im jakieś kłopoty.

- Nie zwracaj na nich uwagi - szeptem przestrzegał Gavora Andiraq. - Jakby nic się nie działo: lepiej nie mieszać się do sporów mnichów, źle można na tym wyjść.

A jednak Gavor nie raz już poczuł na sobie podejrzliwe spojrzenia kapłanów, klujące niczym sztylety. Wieczorem, kiedy pochylony podsycił ogień, zawieszony na rzemieniu wokół szyi amulet wysunął się spoza koszuli. Wysoka postać nawiedzzonego mnicha pochyliła się w jego kierunku, a kościsty palec wskazał na amulet. Jego oczy płonęły rozgorączkowanym obłędem, a usta zacisnęły się w niemym warczeniu oszalełego zwierzęcia.

Gavorem wstrząsnął dreszcz bojaźni. Schował amulet za koszulę. Zrozumiał, że nadszedł czas, żeby odejść. Może i inni zdążyli już zauważyć jego pietno. Gavor nie czuł się pewnie. Obher siodlarz, Obher mędrzec nakazał mu roztropność: „Jezdziec, który powierzył cię nam, był śmiertelnie ranny, jego kon wycieniony, nawet płotno, którym cię okryto, było zbroczone krwią - powiedział mu. - Nie oczekuj sławy ani łatwych zwycięstw, bądź podejrzliwy, ostrożny, szczwany niczym ścigany przez sfere psów lis”.

A więc dobrze, jeżeli psy przywdziały czerwone kaptury, nadszedł moment, żeby zgubiły jego trop.

Rozdział VIII

Łodowaty wiatr przewiewał śnieg. Wilki oddaliły się i, rozgrzane oddechami i własną sierścią, zbity się i usnęły po długiej nocy, spędzonej na szaleńczych gonitwach za złudnymi i podniecającymi zapachami łupu.

Drwale popijali świeżo udojone mleko łani, a mnisi i pielgrzymi wciąż mruczełi, nawet przez sen, modlitwy i zaklęcia, głosami zduszonymi przez ostatnie przed przebudzeniem zbudzenia nocne.

- Odchodzę - obwieścił Gavor Andiraqowi. - Jeśli możesz, daj mi należną zapłatę, zamierzam znowu skierować się na północ. O ile możesz, daj mi też konia.

Andiraq zmarszczył na chwilę czoło. Po czym wzruszył ramionami.

- Jak chcesz, przyjacielu.

- Jestem ci bardzo wdzięczny, wierz mi, wyciągnąłeś do mnie pomocną dłoń, kiedy byłem sam i w kłopotach. Ale mam ważkie powody, by odjechać. - Gavor czuł się niepewnie na myśl, że musi opuścić jedyne towarzyszy, jacy go nie oszukali.

Nie przejmuj się, chłopcze. Ruszaj za twoim losem, ale nie ufaj możnym. Mają za dużo do stracenia,

kiem obco. W jego domu nie mówiło się nigdy o Samarabh, ale pewnego razu Gavor zastał matkę Hedrinę płaczącą. Jej twarz, zwykle jakby rzezbiona w drewnie, zdawała się zdruzgotana - ikając wyrażała całą swoją nostalgię za wysokimi, krytymi miedzią dachami Samarabh.

Tak, dachy domów wysyłały miedziane odbłaski. Już z daleka, zbliżając się do miasta, zauważył dziwne zielonkawe połyski, jakby przetopionego reka alchemika złota. A okna, teraz dopiero to spostrzegł, były z jakiegoś dziwnej materii, podobnej do rtęci zwierciadeł, lub do wody w stawie, gdy zimą ścina się w lod.

Młodzieniec szedł naprzód powolnym krokiem, z zaciekawieniem obserwując dziwy, jakie roztaczało przed nim to miasto. Szybko zorientował się, że niemal wszystkie uliczki prowadziły ku jednemu miejscu i po krótkim marszu znalazł się na rozległym placu, który od niepamiętnych czasów musiał być sercem Samarabh. Miasto, od początku swego istnienia będące ośrodkiem kupiectwa, rozbudowało się wokół rynku ciągiem ciężkich budowli, niskich i bardzo starych, które kontrastowały z pionowym rytmem późniejszych konstrukcji.

Ślepe arkady rynku, z kamiennymi przyporami i łukami, z masywnymi, pozbawionymi otworów sklepieniami, otoczone były pierścieniem nieczystości, rowem, który gromadził napływające z wnętrza ścieki i wyrzucał je nie wiadomo gdzie, może do jakiegoś mrocznego, podziemnego jeziora.

Drewniany most prowadził do jedyne go widocznego wejścia: brama była nieustannie otwierana i zamykana, a stłoczone grupy ludzi wchodziły i wychodziły, co rusz wzbijając dźwięczne fale głosów, wrzawy, pokrzykiwań.

Kiedy znalazł się już wewnątrz, na moment zamknął oczy z wrażenia: rynek był tak nieprawdopodobnie rozległy, że z trudem tylko udało mu się dostrzec jego skraj. Po prawej stronie wierzgały małe kosmate konie, zwane fhomerami: niezwykle wytrzymałe, doskonale znoszące trudy oblodzonych traktów i zaśniezonych pól. Tuz obok kozy i nieustannie pobekujące owce, już ostrzyżone i nieswiadome faktu, że ich runo, zwinięte w szorstkie, ogromne kleby, złożone było u ich stop. Nieco dalej porzykiwały brązowe krowy o zakrzywionych rogach, byki marzące o orzezwiającej wodzie, kłacz. Człowiek mający nad nimi pieczę od czasu do czasu polewał je wodą, po to być może, żeby utrzymać je w spokoju, a unosząca się z ich grzbietów para skrywała tę część rynku w szarawej mgiełce.

Były tam wieprzki w białe i czarne łaty, z szorstką szczecina dzików, psy myśliwskie, chude i wygietę jak sierpy, nieskończone ilości kur, a Gavor zastanawiał się, czy ktokolwiek zdoła ich tyle zjeść, sokoły z nałożonymi kapturami, cicho siedzące na drążkach: tylko po szponach nerwowo szarpiących drewno można było poznać, że nie są wypchane. I żywność, tkaniny, worki podróżne, lecznicze zioła, suszące się w wonnych pekach, bogato zdobione siodła, wysokie baczmagi, płaszcze z sukna, narzuty tkane słonecznymi barwami; i lśniące klejnoty z osadzonymi prostymi kamieniami, sztylety, kobierce i futra z nieznanych mu skór.

Kiedy zdołał oderwać wzrok od tej obfitości dobra, zauważył drewniany podest wzniesiony w centralnym punkcie, na ustawionym tam drewnianym, pokrytym malowidłami tronie siedział dziwny osobnik z pekiem piór na głowie. Po jego bokach znajdowały się dwie duże, gliniane misy i każdy, kto coś kupił lub sprzedał, wrzucał do nich parę monet.

U stop człowieka siedzącego na tronie znajdował się związany chłopiec, w pozie, która zdawała się tworzyć groteskową parodię. Dwie długie struzki krwi spływały po jego ramionach do podobnych lecz mniejszych naczyń ustawionych obok tronu. W jego głowie tkwiły cienkie strzały zakończone piorami. wetknięte pod skórę tworzyły ozdobę głowy podobną do tej, jaką miał człowiek siedzący ponad nim. I każdy, kto wrzucał monety do mis, pogardliwie splotwał w twarz chłopca, którym za każdym razem wstrząsał bolesny dreszcz.

Absurdalna nieludzkość tej sceny miała w sobie coś nierzeczywistego. Gavor nie był nadmiernie wrażliwy, ale ten widok przyprawił go o mdłości.

- Co uczynił ten chłopiec? - zapytał człowieka, który właśnie przypieczętował udany interes należnym pluniciem w twarz.

- Ukradł - odparł zapytany.

- Coż wielkiego mógł ukraść, żeby zaszuzyc sobie na takie potraktowanie? - pytał dalej Gavor.
 - Nie wiem, może bochen chleba - powiedział mężczyzna, wzruszając ramionami.
 - Chleb? I za jeden chleb... - zaczął Gavor z rosnącym oburzeniem. Ale człowiek nie słuchał go dalej i skierował się ze swoim towarem w stronę wyjścia.

Ktoś niesmiało ciągnął go za rekaw. Spuścił wzrok i ujrzał zgarbioną staruszkę i lzy na jej pomarszczonej twarzy.

- Co ci jest, babciu? - zapytał uprzejmie.
 - Chciałam uprzedzić cię, byś milczał - cicho odezwała się staruszka. - Lepiej nie krytykuj głośno wymiaru sprawiedliwości.

Dodała jeszcze

- Dziękuję ci, że zatrzymałeś się koło mojego wnuka, choć nic już nie można dla niego zrobić. Możemy jedynie prosić bogów, żeby szybko przestał cierpieć.

Rzeczywiście, rany chłopca były głębokie, a niewielkie miseczki prawie pełne krwi. Zwiesił głowę i nie reagował nawet na spluwania przechodniów.

- Niewiele zostało mu życia - wymamrotała jeszcze staruszka, a jej suchymi ramionami wstrząsało mimowolne łkanie.

Wtedy to chłopiec zamknął oczy. Chyba stracił już zmysły, a jedyną oznaką życia był lekki i płytki oddech, który unosił wychudłe żebra. Po chwili dał się słyszeć krótki świszczący szmer, dziwnie przypominający kwilenie, i ustał także oddech.

- Śmierć była dla niego litościwa - zamruczała staruszka i zdawało się, że rozpaczliwie szuka pocieszenia w tej jednej myśli. - Życie nie byłoby dla niego łaskawe, nawet lepiej, że tak się stało.

Gavor oderwał wzrok od ciała chłopca, chciał coś odpowiedzieć, ale słowa protestu zamarty mu na ustach: staruszka odeszła po cichu, a na jej miejscu wyrósł żołdak i z groźną miną zapytał:

- Jeśli nie dobiłeś swojego interesu, chłopcze, dlaczego tkwisz tutaj, przed symbolami targu?

- Jestem przybyłym - odparł Gavor. - Nie wiedziałem, że zakazane jest przyglądanie się.

- Teraz już wiesz - zakończył żołnierz, gładząc rękojeść miecza.

Gavor oddalił się powoli. Ale jego wyobrażenia niewiarygodnie wyolbrzymiła scenę, zapamiętując obraz chłopca konającego z opuszczoną głową i odwrotny wymiar tej sceny: obraz żywego człowieka siedzącego na tronie. Także i miseczki napełnione krwią były zwierciadlanym odbiciem mis ze złota.

Noc była wietrzna i zimna, piła mu w twarz niewielkimi złodowaciałymi ziarnami, jakby niosącymi śmierć ziarnami jesiennego sniegu.

★

- Co robisz? Ślepy jesteś? - huknął na niego niewysoki człowieczek, nieco tylko wyższy od karta, którego niemal rozdeptał w półmroku uliczki.

- Wybacz - próbował tłumaczyć się Gavor. - Nie zauważyłem cie.

Od razu zdał sobie sprawę, że podał najmniej odpowiednie usprawiedliwienie. W rzeczy samej, niski człowiek przyjął słowa Gavora jako obelżywą aluzję do jego wzrostu, wpadł w szal i zaczął wyrzucać z siebie potok niezrozumiałych słów, z pewnością złowrocznych. Po chwili wyciągnął z przepastnego płaszcza garść proszku i syknął nim w zatkniętą w pobliżu zapaloną pochodnię.

Płomień pochodni buchnął z przeraźliwym sykiem i strzelił prosto na Gavora. Gavor cofnął się wystraszony i zdało mu się, że lada moment spłonie żywcem.

Z uśmiechem zadowolonego człowieczek obserwował scenę, wygodnie wsparty o mur, z rekoma znów zagłębionymi w kieszeniach płaszcza.

- Nie chciałem cię urazić - wymamrotał Gavor, starając się odzyskać spokój. - Naprawdę cię nie widziałem, przez ten wiatr lzy nabiegają mi do oczu...

Za to teraz myślę, że zrenice masz całkiem suche - chichotał człowieczek i zauważasz już ulice tego miasta, a zwłaszcza jego mieszkańców.

- Na wiarę, żwawo musiałem się ulotnić: wypatroszyłem syna jakiegoś mnicha - i zerknął ukradkiem w stronę czerwonych czap, ale wszyscy spali.

- Widzisz więc, że nie sami wybieramy nasz los - odparł Andiraq.

- Każdy sżyje na własną miarę - skomentował żołnierz.

- To nieprawda - Andiraq opuszczył pieść na kolano, by podkreślić moc własnej argumentacji. Kiedy się rodzimy, czerwoni, krzycząc, z otwartymi ustami z trudem łapiącymi powietrze, wszyscy jesteśmy równi. Później dopiero stajemy się różni. Szczeniak z pańskiego domu może jeść i spać, a szczeniak hołoty cierpi głód i zimno. Wiedziemy ciężkie życie, żołnierzu, kto jednak raczy wiedzieć, jakie ono by było, gdyby dane nam było myśleć i decydować...

- Powiem ci, jakie by było - ile potrzebowałeś czasu na wyuczenie się sztuki ścięcia drzew?

- Ze dwóch lat, jak sądzę.

- A ile myślisz, że potrzebowałbys, żeby nauczyć się sztuki myślenia? Nie powiesz mi chyba, że byłbys zdolny uczynić to za dwa lata?

- Dlaczego nie?

- Bo z owczej welny nie zrobisz świątecznych szat! - triumfalnie oznajmił żołnierz. - Mogę dobrze dolożyć, każdemu sławie czoła, ale kiedy na drodze staje mi wielki pan, omijam go z daleka. Wiem, że oni są niezwyciężeni.

- Zawsze mają pełne żołądki - oschle powiedział drwal. - Z pełnym żołądkiem łatwiej walczyć.

- Niby tak... - najemnik wyglądał na zaskoczonego. - To prawda, łatwo nabierają krzepy...

- A pełny brzuch to szczęście również dla rozumu - nie ustępował Andiraq. - Na czczo w głowie się kręci i kręci, jest ona niczym pusty pecherz. Czy mogłbys myśleć pustym pecherzem, he?

- W każdym razie to nie zajęcie dla byle kogo. Według mnie tylko panowie to potrafią.

- Ale nie przez przywilej urodzenia - Andiraq nie dawał za wygraną. - Posłuchaj, opowiem ci historię, jaka wydarzyła się naprawdę - czy pamiętasz Durkala z Tumby, ślepcę, który dowodził strażami zjednoczonych księstw?

- Kto by go nie pamiętał! Kiedyś walczyłem nawet pod jego rozkazami - dumnie oświadczył najemnik.

Andiraq uśmiechnął się.

- Nie wyglądasz na tak starego - wasza żołnierska duma potrafi być niekiedy zdradliwa...

- Co chcesz powiedzieć?

- Chce powiedzieć, że Durkał z Tumby był dowodcą straży księstw północnych, a księstwa owe rozpadły się z górą trzydzieści lat temu.

- Mogłem się pomylić - na wszelki wypadek zgodził się żołnierz. - Zdążyłem być już prawie wszędzie, rozumiesz?

- No tak. W każdym razie Durkał więcej miał bekartów niż kapusty w ogrodzie. Jednego spłodził z wcieloną diablicą, jedną z tych, którym nigdy nic nie leży i od rana do nocy mogą mieć językiem, byle tylko krwi napsuć. A więc bekarcina początkowo nie wychylała nosa spod skrzydeł matki. Lecz kiedyś spostrzegł, że wyrasta na mężczyznę i sika już dalej od niej. I zaczął pokazywać, co potrafi, choć mleko jeszcze miał pod wąsem, rozumiesz, ale uparty jak chłop.

- A matka?

- Och, matka trąbiła jak zwykle, ale nie dawała już rady go powstrzymać. Potrzebne by były żelazne wodze, a jej zrobione były tylko ze słów: powietrze, wiatr, dym, które nic zdziałać nie są w stanie.

- Więc bekart wiedział, że jest wilczym szczeniakiem?

- Wie, wie - jego matka zadbała o to, by się dowiedział. Żołdaki bekarcie, wydziera się, źle skończysz, jak twój ojciec!

- Nie pamiętam dobrze. Ojciec skończył źle? - zapytał przejęty opowieścią najemnik.

- Tak, zawisnął głową w dół nad ogniskiem przygodnych zbójów. Zresztą kapłani też by go zamordowali: rozповідаł dziwne rzeczy w ostatnich latach życia... jakby postradał rozum, coś o kolorze księżyca. Znalaziono go zwęglonego po same ramiona. Ale mały bekart chepił się tym niewiele przecie tak skończyło. I postanowił pokazać całemu światu, co jest wart. Czy wiesz, kim był później?

Gavor, wciąż nieswój, zbliżył się do ognia. Z otwartymi ze zdziwienia ustami spoglądał na długi rozeń, na którym powoli obracał się rząd śniegowych zajęcy. Mezczyzna uśmiechnął się:

- Nazywam się Andiraaq i jestem tu głównym drwalem. Najeto nas, byśmy wycieli tyle drzew, ile tylko możliwe i na bogów, jesteśmy skorzy wyciąć całą tę część puszczy. Masz dobre mięśnie - jeżeli chcesz, możesz do nas dołączyć. Przyjmujemy każdą parę ramion.

Rozdział VII

Przez te długie dni Gavor nieustannie odnosił wrażenie, jakby sam dla siebie był obcy. Czuł, że pod wieloma względami się zmienił także zewnętrznie. Niepewność, przygnębienie, ciężka praca w lesie i północny klimat przemieniły tego rosnącego, wiejskiego chłopca w wychudłego i skrytego wilka lasu.

Chudy i suchy, z posępnym cieniem w oczach, pracował do nikogo się nie zbliżając. Znalazł się zresztą wśród ludzi, którzy za dnia myśleli jedynie o ściąganiu coraz większych stosów drzewa. Lecz wieczorem, kiedy kości dawały już znać o zmęczeniu, jakie nagromadziło się przez cały dzień, zdarzało się, że drwale opowiadali dawno minione historie lub też przechwalali się tym, co zrobili z zapłata.

Często w pobliżu ognia zatrzymywały się na nocleg karawany kupców lub pielgrzymów, zmierzających na zachód, w stronę Bhakry, miasta sanktuariów, lub też w inne święte miejsca ukryte posród gór.

Gavor z nikim nie rozmawiał: cały rodzaj ludzki budził w nim nieufność. Łapczywie jednak słuchał leniwych opowieści podróżników, a oddech jego zamieniał się w parę w mroźnym powietrzu i zespalał z ulotnym dymem ognisk.

Niekiedy nad ogniem przelatywały zaniepokojone światłem zimowe sowy o rozłożystych gigantycznych skrzydłach i śnieżnobiałych piórach. Później długo jeszcze rozbrzmiewało ich nawoływanie, a wraz z nim odległe wycie wilków i krótkie poszczekiwanie lisów.

I były to jedyne odgłosy nocy: zmęczone głosy ludzi i nawoływania zgłodniałych zwierząt.

Ale zdarzyło się, że noc rozbrzmiała niby wydrążony brzuch góry - najpierw odezwał się wiatr i wyl gorzko i głucho aż do zmięczenia, smagając śniegiem i krusząc z suchym dzwonieniem zwieszane z galezi lodowe sople. Potem przyszła kolej na zwierzęta - rżały niespokojnie i stawały dęba, chcąc zerwać postronki i tłukać się nawzajem kopytami po zadach. Aż w końcu zjawiała się jakaś spóźniona karawana, tupot, głosy i nawoływania zbudziły nawet tych, którzy zapadli już w głęboki sen.

Byli to kapłani i pielgrzymi. Gavora zaskoczyła okazałość sceny: wysokie, czerwone czapy kapłanów, rzucające błyski wśród czerni nocy, śnieżne płaszcze z glishas, pobłyskujące w ogniu rozowymi odblaskami śniegu, wiatr unoszący barwne czapaki, konie, które spłoszone widokiem ognia cofały się z powrotem do zawiątej drogi, pograżając się z jeźdźcami aż po brzuchy w świeżych zaspach. A zwłaszcza twarze ludzi, z piętnem zmęczenia i tajemnicy nocy.

Nieco później prowadzący ich najemny żołnierz przysiadł przy ogniu obok Andiraaq, który ze smutkiem w oczach wpatrywał się w języki ognia. Żołnierz dorzucił parę polan, podsycając ogień...

- Wszyscy czynimy jedną rzecz w miejsce Innej - tajemniczo wymamrotał Andiraaq, podczas gdy pielgrzymi naciągali płaszcze na głowy, żeby nie słyszeć nocnych rozmów tych, którzy jeszcze czuwalili. Jedyne Gavor słuchał.

- Co chcesz powiedzieć? - zapytał żołnierz.

- Gdybyś mógł wybierać, zaprawdę wybrałbyś życie najemnika?

Żołnierz zmarszczył czoło:

- Cóż to za zwyczaj - zamruczał - odpowiadać pytaniem na pytanie.

- Chcę rzec - wyjaśnił drwal - że nikt z nas nie wybiera własnego życia: ja czynię to, co wcześniej czynił mój ojciec. Mógłbym co najwyżej być tym, kim był wuj mojej matki. Ty zaś jesteś najemnikiem, bo prawdopodobnie był nim twój ojciec. Lub też w jakiejś boje zabiłeś kogoś od ciebie większego i potrzebowałeś schronienia...

Żołnierz zaśmiał się rad.

Ogień iskrzył się coraz bliżej, Gavor czuł się już otoczony jasnością, ale zdumiewająco nie czuł żaru.

- Także w mojej wiosce starucha z lasu posiada magiczny proszek - powiedział Gavor, nabierając odwagi - ale ona barwi na niebiesko urojone płomyki.

Hm, zależy od tego, co stosuje - odpowiedział udobruchany człowieczek. Jeśli dodaje rozdrobnione koszenile i pyłki herbatony, być może osiąga lepszy efekt barwny.

Gavor uśmiechnął się z ulgą: miał więc rację, nie były to prawdziwe ogniki, i rzeczywiście wyraźnie już zniknęły.

- Następnym razem bądź jednak uważny - poradził rozmowca. Co powiedziawszy, skłonił się bladeńsko i pobiegł w swoją stronę, kołysząc się niczym kaczka. Gavor parę chwil stał bez ruchu, nashuchując skrzekliwego pokrzykiwania karła, który szybko zniknął w ciemności.

Zdawało mu się, że pozostał zupełnie sam na tej ponurej uliczce. Lecz mała dłoń, zimna i sucha, wsunęła się w jego i jakiś chłopiec pociągnął go w kierunku wylotu ulicy. Gavor, rozdrażniony, położył drugą rękę na rękojesci sztyletu.

- Zostaw twójego ostrego braciśzka - rezolutnie uśmiechnął się chłopiec. Jego twarz była wydłużona niczym u łaszczyki, oczy wąskie, przymknęte niemal chytrze.

- Proponuję ci interes - na miłe widac, że jesteś wiejskim szczurem, nieświadomym tysiąca miejskich pułapek. Ale jesteś podwójnie szczęśliwym szczurem. Właśnie tak, najpierw natykasz się na najbardziej zadziornego czarnoksiężnika z Samarabh, którego jednak dziś wieczor trzymają się żarty; a teraz spotykasz mnie, Mufara, prawdziwego dobroczyńcę bliźnich. Chodź, mam coś w sam raz dla ciebie.

- Czym się zajmujesz? - zapytał zaciekawiony Gavor. - A przede wszystkim za ile?

Zajmuje się wszystkim - z dumą odpowiedział chłopiec. - A jeśli chodzi o cenę, ustalę ją na koncu. Zapłacisz tylko wtedy, jeśli uważać będziesz, że jesteś zadowolony.

- Uczciwie stawiasz sprawę - przyznał Gavor i przez chwilę pomyślał, że chłopiec mógł zostać wysłany przez tajemniczych ludzi, których poszukiwał, ludzi, którzy przypisywali księżycowi ten niezrozumiały dlań kolor.

Szli w milczeniu zagłębiając się w coraz ciemniejszych i weźszych uliczkach. Wreszcie chłopiec zasłukał do czegoś w rodzaju osadzonej w kamieniu bramy.

Pomieszczenie, w którym się znaleźli całe było wyłożone kosztownymi obiciami. Płonący na kominku ogień podtrzymywał przyjemne ciepło. Duża, gorąca dziewczyna, rozłożona nie opodal na ogromnych, haftowanych poduchach, uśmiechała się kusząco.

- Gdzie ja jestem? - zapytał Gavor, którego zaskoczył przepych tego miejsca.

- Znajdujesz się w domu rozkoszy - odparła dziewczyna urzekającym głosem - w domu, gdzie pięknie jest pomarzyć przy gorącym winie i miodzie.

Tymczasem chłopiec przesłał dziewczynie porozumiewawcze spojrzenie i zniknął, zamykając drzwi wejściowe. Gavor stał posrodku pokoju, rozglądając się niezdecydowanie. Nie, na miłość nie miał ochoty i z miejsca to oświadczył, jasno i bez niedomówień.

- Czego w takim razie ode mnie chcesz?

- Chcę tylko pomówić.

Przyjął jednak podane przez dziewczynę wino. Ponieważ czuł się też śmiertelnie zmęczony, usunął się na podłogę i wsparł o kolumnkę kominka.

- Chcę tylko porozmawiać - powtórzył.

Chcesz się spowiadać? - z ironią zapytała dziewczyna. - Może chcesz opowiedzieć mi o twoich nieśczęściach, albo zawodach miłosnych? Skoro tak, to uprzedzam cię, że będzie cię to kosztować podwójnie.

Gavor uniósł ramiona, nie zważając na uwagi dziewczyny. Ściągnął kurtę z koziej skóry i położył ją przy ogniu, żeby się wysuszyła, opróżnił jeszcze jeden kielich i zatapiając swoje spojrzenie w oczach kobiety, rzekł.

- Powiedz, jakiego koloru jest księżyc?

- Księżyc? Chyba jesteś pomyłony! Widzę, że Mufar słabo się dziś spisał: przyprowadził mi wariata, ale jutro się z nim policzę...

- Powiedz, jakiego koloru jest księżyc - niemal błagalnie nalegał Gavor.
 - Niech będzie - pogodziła się dziewczyna. - Księżyc ma taki kolor, jaki tylko chcesz, tutaj u mnie. Ale ale, dlaczego ty mi nie powiesz, jaki ma kolor?
 - Nie, to ty musisz mi odpowiedzieć.
 - A jeśli powiem ci kolor, który ci się nie spodoba?
 - Też zapłacę.
 Kobieta uniosła się z poduch, cała się prostując.
 - Dość już tych głupich żartów.
 Zbliżyła się powoli do niego, po czym szybkim ruchem zrzuciła z siebie delikatną koszulę. Blask ognia rzucał na jej nagie ciało złote i fioletowe refleksy.
 - Jesteś piękna - westchnął Gavor, skulony u stop kominka. Unosił otwarte dłonie na wysokość jej piersi, potem, bez słowa, zatopił twarz w jej gładkim brzuchu, gładkim niby wnętrzu muszli.

*

Przetarł oczy w świetle poranka, który wdzierał się do pokoju przez jedyne okno, wnosząc różowy blask. Czuł jakby głowa jego napełniona była sokiem z oskoły i scisnietą upiorną obreczą. Sprawilo to wino, które pił bez umiaru, a także jego brak powściągliwości, gdyż raz jeszcze nie zdołał zapanować nad sobą.

Dziewczyna spała jeszcze, z lekko rozchyłonymi ustami, a jej bujne piersi unosiły się rytmicznie, nieznacznie tylko skryte pod cieniutką koszulką. Była z nim bardzo łagodna, nie poskapila mu wyszukanej czułości i, kto wie, może nawet nie udawała zarliwego uniesienia miłosnego. Ale była też powściągliwa: odpowiadając na jego uporczywe pytania były długie westchnienia i dwuznaczne uśmiechy.

W głowie Gavora, choć wciąż czuł otepiały zamęt, pojawił się nagle błysk nadziei. A gdyby tak spróbować dowiedzieć się od niej czegoś teraz, gdy wciąż była pogrążona we śnie, niezdolna do przebudzenia się.

Zaczął delikatnie ją gładzić wzdłuż szyi i czubków piersi. I pytał:

- Powiedz, czy księżyc jest biały?

Kobieta poruszyła się we śnie, mrużąc jakieś strzepy słów. Ponieważ jednak on nie ustępował, ocknęła się i szeroko otworzyła oczy.

- Co ci przychodzi do głowy - wymamrotała ochryplym głosem - i czego jeszcze ode mnie chcesz za twoje parę marnych monet?

- Wczoraj wieczorem powiedziałaś, że księżyc może być biały - oskarżył ją Gavor, siadając na łóżku. - Tylko dlatego zostałem.

- Nie przypominam sobie... wczoraj wieczorem? Ale jeśli szukasz księżycy, to muszę powiedzieć, że trochę za nisko go szukasz. Podobasz mi się jednak... - uśmiechnęła się i zmierzwiła mu dłonią włosy. - Podobasz mi się, nawet z tą twoją manią. Przypominasz mi kogoś... pewnego kupca. On też mówił o białym księżycu i potwarzał jakieś imię... dziwne imię... nie był stąd. Był pijany i w końcu zniszczył mi wszystkie sprzety, ale za wszystko zapłacił, o tak, drogo go to kosztowało, zapłacił do ostatniego solda. Ty zaś łamiesz serca...

- Jakie imię powtarzał ow kupiec? - ponaglał Gavor. - Proszę cię, spróbuj sobie przypomnieć.

- Imię... Kupiec nazywał się... Rangar... tak właśnie, był u mnie jeden tylko raz. A mieszkał w Tharab. Ale jakie imię wymówił... nie potrafie sobie przypomnieć.

- Może Meklur?

- Tak! - wykrzyknęła. I spojrzała na niego podejrzliwie.

- A ty, czy jesteś czarnoksiężnikiem, który czyta w zagubionych wspomnieniach?

- O nie, zapewniam cię. Ale dziękuję ci za wszystko - głupekowo wyjąkał Gavor.

- Tylko mi nie dziękuj. Niech lepiej usłyszysz, jak dźwięczą twoje pieniądze, a nasze rachunki będą wówczas wyrównane. I zapomnij o mojej czczej gadaninie o chłopcach łamiących serca; mam jedynie długie i rachunki do spłacenia i zawsze pustą kieszę.

Wówczas Slivah zdjął z wozu dwa stare futra i rozłożył je na ziemi, w miejscu, w którym zdawało się, że rozłożyłby swierk zapewni najlepsze schronienie. Potem podał Gavorowi emaliowaną ampulkę:

- Lyknij, to kordiał z ziół, rozgrzeje cię na całą noc.

Gavor dwoma tykami opróżnił zawartość ampulki.

- Co czynisz? Wypiles do dna? - ziorzeczył Slivah. - To ostatnia, jaką miałem! Przez twoją łapczywość muszę pozostać o suchej gębie, pozbawiles mnie mojej codziennej porcji ziół Gavor roześmiał się.

- Wystarczyło mi powiedzieć, zostawiłbym ci połowę - opuszcł futrzane nauszniki i ułożył się przy ogniu. Opatulony ciepłym futrem z glishas zapadł natychmiast w głęboki sen.

*

Zbudził go oślepiający blask, który wciskał się pod powieki. Poraziły go ostre promienie słońca przebijające przez gestę odgalezienia swierku, roziskrzone tysiącem lodowych kryształów.

Usiadł, rozsuwając poły futra, potoczył wokół osłupiałym wzrokiem, lecz nie ujrzał ani Slivaha, ani wozu, pary fhomerów i Uciełego Ucha.

Zorientował się zrozpaczony, że zabrany mu też został zwoj srebrnych monet, jakie ukrył w podwójnym pasie: zbyt nierozwaznie wystawił je na baczne spojrzenie kupca, kiedy płacił za futro. Ale największą stratą był kon: Uciełe Ucho stanowił jego jedyną wieź z przeszłością, był mu przyjacielem, który przypominał o słonecznych stawach, o delikatnych dionach Duny, zatopionych w jego gestej grzywie, o gonitwach za konmi po zielonych łąkach. Nie mówiąc o siedmiu złotych monetach ukrytych w siodle.

Krążył wokół swierku rozkopując śnieg, ogarnięty ślepą i niepomahowaną złością.

- Przeklęty Slivah - wykrzykiwał - żebyś tak spadł z wozu i skreślił sobie kark!

I przypomniał sobie Hibli, młodą czarownicę z Kusko-Ghoreb, która w tarokowych kartach przepowiedziała stratę konia.

- Przeklęta i Hibi, zezowała suka!

Ślady, jakie zostawił wóz, były zawiane. Gavor nie był w stanie zorientować się, czy kupiec oddalił się na północ, czy w przeciwnym kierunku.

Głowa mu ciążyła, a w gardle i w nosie czuł jeszcze aromat dzikich ziół kordiatu, który wypił wieczorem. Środek nasenny, pomyślał. Środek nasenny, który ten wieprz Slivah we mnie wmusił, żeby mnie spokojnie okraść i oddać się, pewien, że żaden hałas mnie nie zbudzi.

Kto zresztą wie, czy kupiec rzeczywiście zwał się Slivah. Rozpacz i ziorzeczenie nikczemu zresztą nie mogły służyć. Musiał znaleźć jakiś sposób na wydostanie się z tej puszczy, choćby pieszo. Miał i tak szczęście, że nie zostało mu odebrane futro z glishas.

Szybkim krokiem ruszył wzdłuż zasnieszonego traktu. Nie minęło nawet pół godziny, gdy dogoniła go grupa jeźdźców, szczerlnie okrytych futrami. Chciał prosić o pomoc, ale twarze ich były pospelne i niewzruszone, i błaganie zamarło mu na ustach.

- Czegoś ci potrzeba? - zapytał jeden z nich, wzrokiem ogarniając sytuację. W miejscu osadził konia, wzbijając tuman śnieżnych kryształków i przyglądał mu się pytająco.

Gavor z trudem wybełkotał parę słów, próbując wyjaśnić, skąd wziął się tutaj. Człowiek na koniu wysłuchał go bez słowa.

Wskakuj za mną, przyjacielu. Pieszko nie przetrwasz na tej śnieżnej pustyni.

- Dokąd zmierzacie? - zapytał Gavor zrecznie wskazując na wierzchowca.

- Do wyrebu Wilczych Dółów - odparł jeździec. - Jesteśmy drwalami.

Fhomer, czując dodatkowy ciężar, z trudem trzymał się grupy. Droga nie była jednak długa. Po lewej stronie ukazało się wkrótce rozległe karczowisko. Gavor ujrzał liczne sterty drzewa, wsparte na drewnianych balach zadaszenie, służące za schronienie dla zwierząt i miejsce na obrok, parę rozstawionych wokół namiotów, pośrodku zaś ogromny ogień podsycany bez umiaru, ogień, będący przywilejem wyłącznie ludzi lasu.

- To Wilcze Doły - powiedział człowiek, który zabrał go na drodze. - Usiądź przy ogniu, przyjacielu, i posil się z nami.

Idę spać – krótko uciął Gavor.

– Czyżbyś był kurą? – zażartował kupiec ze sztucznym dąsem na twarzy. Posłuchaj mnie: wypijmy razem miarkę najlepszego wina, a kiedy służące uprzątną kuchnię, pokażemy, co potrafimy. Upatrzylem dwie w sam raz dla nas: młode i jędrne... i chętne, jak nakazuje obyczaj tej gospody.

Gavor udał, że ziewa.

– Już dwa miesiące jestem w drodze, jestem zmęczony. Ruszam spać. Zrobiłbys dobrze, idąc w moje ślady, skoro mamy zamiar wyruszyć o świcie.

Kiedy wspinał się po schodach wiodących na piętro, doszedł go głos Slivaha.

– Idź, idź, kurczaku. Godzinka przyjemności z pewnością nie pozbawi mnie sił.

Gavor sciągnął buty i kaftan i wsunął się do łóżka. W ciemności izby widział gesto padający śnieg. Białe świetliste płatki zlewały się z rojem niewielkich czerwonych i błękitnych bryłek, które to zjawiały się, to znikwały na przemian, wirując niby wysysająca czucie karuzela. I widział też kobiety, młodą i piękną, z długimi rozpuszczonymi włosami, która wirowała bezszelestnie jak śnieg wokół sterty szarych kamieni, w lesie pod Samarabh. Daremnie wyteżał wzrok, chcąc dostrzec jej rysy, beznadziejnie ją szukał. I kiedy zdawało się, że łada moment duch jego matki wychyli się z mroku, pokona przepastną odległość i odkryje przed nim kolor oczu, profil twarzy i zarys ust... gwałtowne szarpnięcie przywróciło mu zmysły.

Szeroko otworzył oczy, rozczarowany: w bladym blasku jutrzienki ujrzał Slivaha, który przynaglał go, gotowy do drogi.

– Obudź się, chłopcze. Pogoda nie wydaje się zła, jest lekka mgielka, a to oznacza, że wkrótce ujrzymy słońce.

Szlak był zasneżony, ale wóz wartko posuwał się naprzód. Także i dlatego, że Gavor zaprzęgił Ucieta Ucho przed dwoma fhomerami. Mgła, wbrew przewidywaniom Slivaha, nie ustępowała: niekiedy przebłyskiwał niepewnie krążek słońca, natychmiast jednak skrywał się za klebam siennej mgły.

– Złe zrobiłeś wczoraj wieczorem – mówił Slivah. – Wziąłeś przykład z kur, a nie z koguta, tak jak ja. Nie wyobrażasz sobie, jakich zażyłem rozkoszy...

I na cały ranek kupiec zagłębił się w szczegółowe roztrząsania niewieściach wdzięków, jakich nie poskapiła mu dziewczka.

Kiedy około południa mgła rozwiała się, ujrzeli szkliste niebo, gdzieś tam ustane ciemnymi plamami sięgającymi ziemi. I po pewnym czasie spadły krople deszczu. Slivah zataił rece.

– Deszcz oczyści drogi – mówił zadowolony. Ale już wkrótce, razem z deszczem pojawiły się płatki śniegu, początkowo rzadkie i ciężkie, później gesty i sypkie.

– Jeśli tak dalej pójdzie, będziemy zmuszeni zatrzymać się – ze zniechęceniem westchnął Slivah. – Szkoda! Liczyłem, że dotrzemy do Agu-Dialma, choćby nocą.

– Agu-Dialma?

– Tak, to niewielka osada w pobliżu Wilczych Borów.

– Na drodze do Tharab?

– Pewnie! Co cię gnębi?

Trakt stawał się nieprzejezdny. Coraz częściej zmuszeni byli schodzić z wozu, żeby posługując się dwoma krótkimi a solidnymi łopatami, o których Slivah nigdy nie zapominał, wyruszać na swoje zimowe wyprawy – uwolnić koła, uwiecznione w lodowych kleszczach.

– Dość tego – wykrzyknął kupiec, odrzucając daleko w śnieg swój kaptur z glishas. – Jestem cały mokry od potu. Przeciągnijmy wóz na pobocze, pod tamte świerki. Urządzimy tu sobie nocleg. I prosimy wiatr z południa, by łód na drodze stajał.

Pod wozem podwieszona była skrzynia z sianem. – Ja obrządę konie – powiedział Slivah – a ty zetnij parę galezi, z dołu pnia, tam gdzie są suche, i rozpal ogień. Masz jakieś zapasy?

– Mam suszone mięso – odparł Gavor – ale obawiam się, że zamieniło się w niejadalną papkę.

– A ja mam słoninę szeroką na dłoń i bukłak wina, którego wczoraj skosztowałeś. Przed odjazdem zadbałem o prowiant...

Zapadł już zmrok i świerki stanowiły wystarczające schronienie. Posilili się przypieczoną słoniną, dorzucili do ognia i pograżyli się w rozmowie, dopóki w bukłaku nie pokazało się dno.

Gavor wstał, zaczął grzebać w kieszeniach swojej kurty i cały czas powtarzał w duchu: „Rangar z Tharab, nie mogę zapomnieć tego nazwiska”.

Rzucił na łóżko garść monet i ubrał się, już bez słowa.

W progu obrócił się jeszcze. Kobieta zbierała monety. Gavor zauważył, że jej czerwone usta były wykrzywione jak u dziewczynki, gdy zbiera jej się na płacz.

Rozdział VI

– Kiedy przybędziesz do Samarabh – powiedział mu wuj Obher – każ się prowadzić do Wieży Południka. Tam właśnie był nasz dom, na rozwidleniu dróg do Tharab i Bhakry, miasta świątyni. Tam też przyszedłeś na świat, w borach, które rozciągają się za północną bramą.

Gavor nie musiał nawet pytać: Wieża Południka, choć wzniesiona za murami, gorowała nad wszystkimi budowlami i ukazywała się każdemu, kto opuszczał miasto, żeby skierować się na północ. Wokół wznosiły się nienumerowane, rozsiane domostwa, szare w bladym świetle chłodnego i mglistego poranka.

Jakis człowiek pchał drogą załadowany kapustą wózek. Gavor zapytał go czy pamięta, w którym domu mieszkał kowal Raklo.

– W tym – bez cienia wątpliwości odpowiedział człowiek. I głową wskazał na niską kwadratową budowlę z wałącym się dachem i rozbitymi okiennicami. Oparł wózek i dodał:

– Teraz mieszkają tu biedacy, ale kiedy przed dwudziestu laty mieli tutaj swój warsztat Raklo i Obher, dom ten cieszył się dużym szacunkiem. A ty kim jesteś?

– Dalekim krewnym. Jestem tu przejazdem i chciałem zaspokoić ciekawość...

Przez chwilę mężczyzna spoglądał na niego przymrużonymi oczami, niechętnie przekonany.

– Krewny? Wiesz więc zapewne, dokąd przeniesli się Raklo i Obher! My od dawna nic już o nich nie wiemy.

– Wiem tyle, co i wy – zapewnił Gavor, rozkładając rece. – Wiele mnie to też nie obchodzi, jestem bardzo dalekim krewnym.

Szerokim gestem pozdrowił rozmówcę i spał konia, zagłębiając się pierwszą lepszą ścieżką w las.

Cały ranek krecił się wśród wiekowych drzew, stawów i polan, oczarowany delikatnym urokiem, jaki otaczał to miejsce, choć nie było w nim nic tajemniczego – gdzieś tutaj przecież się urodził i świadomość ta sprawiała, że czuł odmienną i wyjątkową tego boru.

Czując w głowie zamęt, zamierzał spocząć na kopcu kamieni pod ogromnym debem, kiedy głos za jego plecami poderwał go na nogi:

– Gdybym była tobą, nie czyniłabym tego, cudzoziemcze!

Gavor odwrócił się gwałtownie i ledwie parę kroków od siebie ujrzał staruszkę, która nie wiedzieć skąd się tam wzięła. Odziana w szare jak popioł lachmany, podeszła do niego, zgłębiona pod ciężarem ogromnej wiązki chrustu.

– Czego byś nie robiła, babciu?

Staruszka zatrzymała się i złożyła swój ciężar przed nim na pokrytym szronem poszyciu leśnym.

– To jest grób czarownicy – powiedziała, wskazując kościstą ręką stertę kamieni. – I tu właśnie chcesz siadać? Ściągnąłbyś na siebie sto lat nieszczęść.

Gavor wybałuszył oczy ze zdumienia.

– Czarownica, powiedziałaś. Kiedy ją pochowano?

Starucha zamyśliła się.

– Niech się zastanowie, pamięć mam nie taką jak dawniej... Będzie może ze dwadzieścia lat, raczej więcej niż mniej.

– Znałaś ją?

– O nie – pośpieszyła zapewnić starucha. – Nie była stąd, nikt nie wie, skąd przybyła... Pewnego ranka, dwadzieścia lat temu, znaleźliśmy ją pod tym debem, zmarła z upływu krwi. Wydała na świat dziecko, rozumiesz? Sama.

– A dziecko? – zapytał Gavor. – Ono też jest tutaj pochowane?

Staruszka zaprzeczyła ledwo dostrzegalnym ruchem palca. – Po dziecku nie pozostał najmniejszy ślad. Może rozszarpały je wilki, albo dziki. Ale dość, cudzoziemcze. Ruszam do domu ogrzać się...

Gavor wrzucił wiązkę chrustu na grzbiet Uciętego Ucha.

– Odprowadzę cię – rzekł – wskazuj drogę.

Ruszył szczyk w ślad za staruchą i już po paru minutach wynurzyli się z lasu i Gavor poznał Wieże Południka.

– Jestem na miejscu – wesóło powiedziała starucha. I wskazała schludny i swiężo wybielony domek, niewiele większy od kurnika. – Dziękuję ci, cudzoziemcze.

Jeszcze jedno pytanie – rozpoczął Gavor, który milczał przez całą drogę. Ta kobieta, pochowana w środku lasu... Powiedziałaś, że była czarownicą. Skąd to wiesz? Czy miała jakieś szczególne znaki?

Nic z tych rzeczy. To była młoda i piękna kobieta, z długimi włosami, a rysy jej twarzy były proste...

– Dlaczego więc mówisz, że była czarownicą?

Tak powiedzieli kapłani parę dni później. Przybyli tu z daleka, żeby ją odnaleźć. To czarownica, powiedzieli. I trzy dni palili trawy wokół grobu i powtarzali jakieś zaklęcia.

Dziękuję ci, babciu – powiedział Gavor, śląc jej pozdrowienie. – Opowiedziałas mi ciekawą historię.

Zaczął padać śnieg tak gęsto, że po pół godzinie wszystkie drogi, ogrody i dachy domostw pokryły się śnieżnobiałym puchem. Jedyne dachy Samarabh, o spadzistych połaciach, pozostały nietknięte, dumnie wznosząc połyskliwą zielen miedzi.

Północną bramą z rzadka wyjeżdżały wozy. Większość kupców, widząc nieprzychylną pogodę, wolała odłożyć podróż, która zanosila się na wyjątkowo uciążliwą.

Gavor przeciął trakt i skierował się do przydrożnej gospody. Przy jego stole zasiadł jakiś kupiec, odziany we wspaniałe futro, białe z szarymi pasemkami. Był dość przysadzisty, z ogorzałą twarzą i rzadkimi czarnymi włosami, które niby korona okalały mu tył czaszki.

Kupiec jadł z apetytem, ale kiedy tylko rzucił spojrzenie na dwór, nie potrafił ukryć niepokoju.

– Będzie tak padać? – wciąż powtarzał, zwracając się do karczmarza. – Czy uważasz, że to tylko przelotny śnieg?

Karczmarz odpowiadał dziwnymi obojętnymi grymasami.

– Pora roku jest taka, jaka jest – powiedział w końcu, by go zadowolić. – Może przestać za pół godziny, ale równie dobrze może padać dwa dni. Bogowie rządzą pogodą.

Ślusznie, bardzo ślusznie – przystał kupiec. – A co ty mówisz, będzie padać? – zwrócił się do Gavora.

Gavor nie zwrócił uwagi na pytanie.

– Czy to twój wóz, ten ze skorami, tam na zewnątrz?

– Oczywiście, że mój! Muszę dostarczyć lowar do Fanarabh, a może i Tharab albo do Bhakry, jeszcze nie posłanowiłem.

Dlaczego zostawiasz skory pod gołym niebem, na śniegu? – ciągnął zaciekawiony Gavor.

Przyjacielu – dobrodusznie uśmiechnął się kupiec – skąd przybywasz, skoro nie wiesz, że al glishas chronią właśnie przed śniegiem? Te futra nie przemokną, podobnie jak to, które mam na sobie: śnieg i woda sękają po nim wzdłuż włosa i skóra nie nasiąka. A ty dokąd zmierzasz?

– Do Tharab.

– I myślisz, że dotrzesz tam w tej koziej skorze? – zaśmiał się kupiec. – Wygląda na mocno zniszczoną, straciła już połowę włosa i przydać się może co najwyżej na przykrycie zadu twojego konia. Posłuchaj mnie, przyjacielu. Jeśli zmierzasz na północ, nie obejdziesz się bez futra z glishas. Chyba, że chcesz umrzeć z zimna!

– Jestem obcy – wytłumaczył się Gavor. – Jeśli sądzisz, że futro z glishas jest niezbędne, sprzedaj mi jedno.

– Pewnie, że ci sprzedam – powiedział kupiec, szybko mierzając go wzrokiem. Odsunął muskę i pospieszył na dwór rozsuplać wezły, którymi powiązane były zwoje na wozie. Po chwili był już z powrotem, podtrzymując lśniące futro.

– Ile za nie chcesz? – zapytał Gavor, niemal pogodzony z tym, że zostanie oszukany.

– Od ciebie, obcego i daleko od domu, tylko dwie sztuki srebra. A dodam ci jeszcze czape, też z glishas. Ale nikomu nie rozpowiadaj, gdyż zyskam rozgłos kogoś, kto rozda, zamiast sprzedawać.

W sakwie Gavor miał tylko miedziaki, chcąc więc zapłacić, zmuszony został do sięgnięcia ręką do pasa i wysuplania ukrytych srebrnych monet.

– Interes ubity – powiedział, wręczając monety.

– Ubity – jak echo powtórzył kupiec. – Możemy teraz wychylić wspólnie dzban wina. Ja stawiam.

Minęła godzina, a i dzban przemienił się w trzy. Kupiec zwał się Slivah. Zaczął opowiadać sprośne historyjki i nie wyglądało na to, żeby zamierzał szybko skończyć. Lecz śnieg, który siał już do połowy tyłki, przestał padać i nagle rozjaśniło się.

– Ruszam – powiedział kupiec Slivah. – Trochę szczęścia i przed wieczorem mogę być na rozstaju Agu-Snosko. Zabierzesz się ze mną?

Gavor spoglądał na niego, niezdeterminowany.

– Czy nie podasz do Tharab? Możemy razem pokonać znaczną część drogi, z korzyścią dla nas obu – droga przez puszcze zawsze może być niebezpieczna.

Słowa te rozwiły wszelką nieufność Gavora. Szczelnie otulony futrem z glishas usiadł na kozle obok Slivaha, uwiązawszy uprzednio Ucięte Ucho do drąga za wozem. Kupiec poradził mu, żeby nie przemęczał zbytnio konia.

– Niech lepiej zachowa świeżość na wypadek, gdyby trzeba było zaprząć go przed moimi domami, jeśli dalej droga okaże się całkiem zawiąta.

Slivah był niezmordowanym gadulą. On też, tak jak i wuj Obher, zjechał kawał świata i na wszystkim się znał. Ale jakaz różnica między siodlarzem a kupcem! Obher potrafił dojść do sedna każdego problemu, jego ściśle sprecyzowane poglądy klarownie wiązały się w całość i było właściwie niemożliwością przylapać go na wewnętrznej sprzeczności. Natomiast Slivah był niby wrzący kociołek, mówił o najprzeróżniejszych rzeczach, ale bardzo powierzchownie i za tym potokiem słów nie kryła się żadna spójna myśl.

Gavor słuchał go jednak z przyjemnością, choćby dlatego, że możliwości jego były nieskończone bogate, a opowiedziane historyjki zawsze kończył nieoczekiwany finał.

Tego dnia bóg śniegu był bardzo kapryśny, a może był już znużony – sywał śniegiem na przemian z nieśmiałymi przebyskami leniwego słońca. Ale pod wieczór zerwał się gwałtowny i napastliwy wiatr i to, co początkowo wydawało się niegroźnym opadem, szybko przemieniło się w rozszalałą zamieć.

– Nocować pod gołym niebem to szaleństwo – ziorzczył Slivah, smagając konie. W takiej zadymlce nie uda nam się nawet rozpaść ognia.

– Co więc możemy zrobić? – zapytał zaniepokojony Gavor.

– Jedźmy dalej. Już tylko parę mil do rozstaju w Agu-Snosko, a w Agu-Snosko jest gospoda... istne siedem cudów. Tam zatrzymamy się na noc.

Slivah nie przesadzał: gospoda była duża i dobrze utrzymana, z wszystkimi wygodami. Palenisko w głównej izbie było tak obszerne, że wewnątrz spokojnie mogłoby zmieścić się dwóch meżczyzn, siedzących naprzeciw siebie i wspartych o boczne przypory. W ogniu wesóło trzaskało ogromne polano, wznosząc ku kominowi komety iskier.

Potrawy były doskonałe, a wino przednie, ale Gavor, którego oniesmielił panujący ład i przepych pomieszczenia, jadł i pił wstrzemięźliwie.

Po co jedziesz do Tharab? – zapytał kupiec pod koniec kolacji. To była pierwsza rzecz, o jaką zapytał go Slivah od początku drogi z Samarabh i zasługiwała na jasną odpowiedź, której jednak zaskoczony Gavor nie potrafił dać.

– Sprawy rodzinne – odpowiedział ku swojemu zdumieniu.

– Podział dóbr? – zapytał zaciekawiony Slivah.

Gavor zaprzeczył ruchem głowy.

– A więc spadek? – próbował nalegać Slivah. – Tak, z pewnością tak musi być. Wyglądasz mi na takiego, kto jedzie zgarnąć fortune, jaka spada z nienacka...

Paul, dziewczyna, jej duże oczy i małe piersi



Andrzej Urbańczyk

Tak już jest i trzeba w to uwierzyć. Obojetne co mówią ludzie – miłość ma w sobie coś ze świętości. Może dlatego, jeśli jest prawdziwa, nie lubimy o niej opowiadać. Gdybym miał jednak wymienić imię tej, którą kocham, powiedziałbym – Tahiti. Dla mnie bowiem Tahiti zawsze jawiła się kobietą. Bora Bora jest jednak znacznie piękniejsza...

Urode Tahiti zniszczyła cywilizacja. Lecz ani beton, ani papier, ani plastik nie zabrały z mego serca plaż, szumu palm w pasacie, ani różu słońca, gdy zachodzi wśród ciemności zapadających wcześniej i gwałtownie. Nawet dziś, po latach, wyspa ma wciąż zapach ziół i smak dojrzałych bananów. Jej zwiewny czar przemawia mocniej niż ciemny masyw Himalajów, zniewala głębiej niż upojny spokój Samoa.

Czy miłość zawsze podąża za pięknem? Czy piękno zawsze wędruje szlakiem miłości? Obojetne jak jest; tego lata mieszkalem na Bora Bora, wynajmując niewielki pokój w pensjonacie na skraju furii zieloności, zalewającej z gór wyspę, jak barwny lukier udane ciasto. Oprócz właścicieli zajazdu – uroczej pary polinezyjskiej, pełnej uśmiechów i filozoficznego stosunku do zawodowych obowiązków, zamieszkiwały tam jeszcze wrzaskliwe kury i rozleniwiony tropikiem pregowany kot. Kury lądowały czasem ostatnim lotem w kuchennym garnku, kot – gdy nie przysmykałem nocą okna – na moim łóżku. Zapach i smak tropikalnych owoców zdawał się wypełniać stare ściany pensjonatu bez reszty.

Cale dnie, samotny i w samotności tej szczęśliwy – jak się to tylko zdarza w starszym wieku – wędrowałem po piasku wybrzeży, chłodząc co jakiś czas stopy w pomruku przyboju, zaś nie osłoniętą kapeluszem głowę, w rzuconym przez słońce tuż pod pnie drzew cieniu palmowych czupryn. Czasem, gdy czulem się młodszy niż byłem, wybierałem się na twarde pościelone rafy, pełne życia i jego niepojętych barw. Z małego radia, które okrążyło pół świata, radowała serce muzyka, jakiej już nie można znaleźć w cieniu kokosowych palm.

Któregoś dnia, patrząc w kotłujący się przyboj nawiętrznego brzegu, przypomniałem sobie jacht, który budowałem w dalekim kraju nad Bałtykiem, ćwierć wieku wstecz. Zdarzyło się, że – by podtrzymać gasnące marzenia – na mosiężnej blasze zbiornika wodnego wypisałem z pieszczoty Papeete. Ale nazwa nie przyniosła szczęścia

jachtowi. Nie ostał się też nikt z jego załogi, by powiedzieć, gdzie żaglowiec ten na zawsze złożył swój wodny zbiornik i starannie ciosaną ślepkę.

Gdy słońce powędrowało na północ, zapowiadając porę deszczową, kalendarz zatrzymał napływ pasażerów z biletem lotniczym, biletem, w którym daty przylotu i odlotu są tak bliskie siebie, jak początek i koniec zwojów toczonych przez przyboj muszli, zdarzało mi się odwiedzać małe gospody, którymi zasypana jest Polinezja. Lokality takie – małe, ciasne, zazwyczaj oferujące chińską czystość, którą nie należy się zrażać – mają pod swymi palmowymi dachami sezamowe bogactwo. Spragniony otrzyma sok z pomarańczy, dojrzały orzech kokosowy lub – pogiętą wprawdzie nieco, ale naprawdę w dowolnym wyborze, puszkę tego co wymyśliłi Amerykanie i nazwali „pop soda”. Głodny, nie będzie długo czekał na stuk, może nieco wyszczerbionych, ale szczodrze napełnianych talerzy. Jego zaś wyborem jest, czy będą zawierały one skromny ryż, posypany przyprawą curry, w kostki ciętą pieczeń z prosięcia, czy nabity na lupany bambus, smakowity zesław mies, jarzyn i owoców – wonne potwierdzenie prawdy, że prawdziwa sztuka kulinarna nie potrzebuje ani dyplomowanych kucharzy ani wypchanych, na podobieństwo ptaków w muzealnych szafach, kelnerów, ani wymyślonych przez durnia nazw. To czego pragnąć może mężczyzna, który zaspokoili i pragnienie i głód, zakosztowawszy również czerwonego wina, czy też zaciągnięcia się mocnym papierosem, znajdzie się również. Przysiadając się do was na popołudnie, na weekend, czasem, jeśli taka jest wasza decyzja – na całe życie.

Urok niewielkiego zajazdu „Golden Dragon” jak, nie wiedzieć czemu, nazwał go z orientalnym uporem pracujący szef – polegał w pierwszym rzędzie na tym, że zajeżdżało się do niego na własnych nogach. Stojące, niekoniecznie w największym ładzie, przed progiem buty, przypominały mi zawsze parking. Fakt – przybyłem na Bora Bora prosto ze Stanów. Ale pomalowane jaskrawo błękitną, luszczącą się farbą ściany „Golden Dragon”, bambus – który należało nazwać wszechobecnym – i zawsze świeże, zrywane niemal przez okna kwiaty, były tak tutejsze jak gwar oceanu, co kłóci się z rafą. Jak wyniosłość, zawisająca nad Pacyfikiem zieleni gór, żar słoń-

neczny, gdy kulminuje nad archipelagiem. Jak niebo, zapachy, jak skrzyp cum w niewielkiej, sąsiedniej przystani.

Ten skrzyp cum i belkot czesanej przypiływ wody przynosi zawsze na Bora Bora widok kamienia, pod którym spoczywa Alain Gerbault. Jeśli ktoś nie wie kim był ten człowiek – nie ma tragedii. Być może jednak nie zrozumiał on, tak naprawdę, ani jednego z napisanych powyżej zdań. Natomiast nie należy do tej opowieści historia ostatniego rejsu, wielkiego niegdyś, żeglarza i odpowiedź dlaczego spoczywa na Bora Bora, nie zaś tam gdzie prosił i gdzie spoczywać powinien.

Czy tego dnia, wchodząc do zawsze otwartego dla każdego kto ma w kieszeni kilka franków „Golden Dragon”, miałem nadzieję spotkania kogoś komu będę mógł powiedzieć: „Haere mai na. Haere po...”? Erick, którego zna każdy, kto choć raz stanął na wyspie, powiedziałby niewątpliwie, że oczywiście tak. Ale Erick powiedziałby też, że wchodząc do „Golden Dragon” wystarczy mieć kilka franków, nie potrzebuje się mieć natomiast kieszeni. Nie traktujmy więc jego stwierdzeń zbyt serio.

Rzeczywistość była znacznie bardziej prozaiczna. Pod dach zajazdu wprowadził mnie deszcz, bijąc coraz gęstszym staccato o liście palm, pokłady uśpionych w porcie jachtów i o moją własną głowę.

- Ia-o-rana – pozdrowilem uwijającego się przy rozżarzonych węglach właściciela. Jego żółta skrzywiona twarz uśmiechnęła się pogłębiając zmarszczki.

- Te maa tahiti – danie tahityjskie? – zapytał, gotów zabrać się natychmiast do nowej pracy.

- Ta maa tahiti! – Odpowiedziałem, robiąc jednocześnie gest dłonią mający oznaczać „niewielkie”.

Butelka chińskiego piwa stuknęła o nierówną powierzchnię stolika. Na niegdyś białej płycie palce, ołówki i niezidentyfikowane bliżej ostre narzędzia zapisały wiele lat lokalnej historii. – Piwo jest za darmo – powiedział gospodarz, co było zupełnie pozbawione sensu, bowiem w „Golden Dragon” nie istniała ani karta dań ani żadna oficjalna cena posiłków. Płaciło się, wychodząc, za wszystkie usługi razem.

Deszcz szybko zmienił się w tropikalną ulewę. Fale jej przelatwały z narastającą furją wiatru, uderzając o ściany domostwa mokrą pięścią.

Gdy deszcz przycichał, pioruny biły w pożerane zmrokiem góry, wypełniając wąwozy i doliny gromkimi salwami grzmotów. Po którejś błyskawicy, kołysana ciosami wiatru na wyszukanym drucie, żarówka zgasała – widocznie właściciel niewielkiej prądnicy, dostarczającej światła w tej części wyspy, bardziej cenil sobie jej całość niż kilka sous zarobku. Natychmiast pojawiła się naftowa lampa. Szybkość z jaką powróciło światło świadczyła, że nie rozgrywają się tu jakieś niezwykle zdarzenia.

Przesunąłem krzesło, o którego poszczególnych częściach fizyk powiedziałby, iż dysponują nieskończoną liczbą stopni swobody i mogłem teraz patrzeć jak błyskawice prują ciemność. Uderzenia piorunów zdawały się łupać masywy sterczących w niebo gór.

Zapatrzony w nieprawdopodobny pokaz kunsztu natury, jadłem podany posiłek prawie nie czując jego smaku. Pociągane prosto z butelki piwo wpadało do żołądka, jak gdyby potajemnie kumając się z chłuszczącymi wyspe falami deszczu. Kilka osób, prawdopodobnie z eleganckiego hotelu „Marara”, przemoczonych doszczętnie, wpadło niemal do niewielkiej jadalni napelniając pomieszczenie szybkim potokiem zupełnie niezrozumiałego dla mnie francuskiego. Dokończyłem jedzenie i zostawiając nie dopitą butelkę ruszyłem w kierunku bocznego pomieszczenia, oddzielonego od naszej salki wykrzywionymi nieco przez czas i wilgoć drzwiami. Gospodarz, zajęty w sposób bardzo ochoczy przemoczonymi gośćmi, lecz jak zawsze czujny i wszystko widzący, kiwnął głową pod moim adresem z umiarkowaną aprobatą.

Szczeknął przerdzewiały zamek wytartej miedzianej klamki. W świetle innej, lecz równie sprawnie działającej, lampy naftowej zobaczyłem wspaniałe, wielkie i bardzo czarne oczy dziewczyny. Głębokie, zniwalającego uroku, poszerzone jeszcze do niezwyklej rozmiarów złotą łagodnością naftowego światła. Wyraszczone, które patrzyły teraz prosto na mnie, harmonizował z pełnym słodczy uśmiechem grubych, wypukłych warg miejscowej dziewczyny. Ledwie przysypiane długimi, równie jak oczy czarnymi włosami jawiły się precyzyjnie zarysowane piersi. Niewielkie, bo bardzo płaskie, lecz z pełnymi zdającymi się lśnić jak gwiazdy, równymi jak gdyby je wyciął kieliszek, tarczami brązu.

Cofnąłem się, lecz dziewczyna sprzeciwiła się temu szybkim ruchem kształtnej głowy, jednocześnie osłaniając swe piersi rozpiętą doład bluzką. W ruchach jej, pozbawionych zawstydzienia czy pospiechu, była mieszanina gracji kotki i frunącego nad sztormową falą albatrosa. Gracji tej, oczywiście, nie jestem w stanie opisać.

- Proszę wejść – powiedział po francusku mężczyzna. Jego postać, wygodnie rozparta na krześle, miała w sobie coś ocieźnającego. Błysk piorunu, który uderzył w ścianę lasu, oślepił mnie. W tym samym momencie huk dolatującego ze wszystkich stron grzmotu zgniół ściany pokoju do wymiarów małej kostki. Gdy otworzyłem oczy, zobaczyłem znów wpatrzony we mnie wielkie oczy i zniwalająca krągłość piersi załomotała szybkim rytmem serca. Poczulem suchotę w ustach, wpatrzony w ostro rysujące się sutki dziewczyny, z których kształtów biła na przemian śmiałość i upojne piękno. Jak człowiek usiłujący wyrwać się hipnotycznemu zniewoleniu odwróciłem szybko głowę, lecz jeszcze szybciej wzrok mój spoczął znowu na kształtach brązowego ciała dziewczyny. Niczym zaskoczony wieśniak, który oniemiał na widok kalejdoskopu i zmieniających się w sekundzie obrazów, patrzyłem na biust dziewczyny, który raz wydawał mi się zredukowany do owej tylko śmiałości i upojenia, to znów wielkich spiralnie rosnących kregów, w których płaskości i twardości było coś z mocy stalowego dysku wyzywającego dłoń dyskobola.

Nagle kołysząca się pierś znieruchomiała i cieniujący jej krągłość ołówek spoczął na bambusowym stoliku. Mężczyzna o ocieźnających ruchach odłożył szkicownik i sięgnął po stojącą obok taną szklankę wypełnioną do połowy ciemnym płynem.

- American? – zapytał z francuskim akcentem.

- American – odpowiedziałem uważając, że tak będzie najprościej.

Akordy deszczu przetoczyły się przez klawiaturę blaszanego dachu i czekaliśmy wszyscy w mimowolnym napięciu na uderzenie piorunu.

- Scared? – Boisz się? – zapytała po angielsku dziewczyna.

- Trochę – odpowiedziałem, nie przykładając żadnego znaczenia do odpowiedzi.

- Nie bój się – odpowiedziała – oczy jej odbijały światło płonącej nafty w podwójnym wymiarze. – Na Bora Bora pioruny zabijają tylko niedobrych ludzi.

- Teraz to boję się i to bardzo – rzucione prosto w zęby spadającego z nieba ognia.

- Nie jesteś Amerykaninem – powiedział rysownik. – Amerykanie... – resztę słów pochłonęła akustyka burzy.

Kiedy znów zagrał deszcz, wskazałem dłonią na ukończony obraz. – Very, very, pretty.

- Obraz czy oryginał? – Mówił fatalnym angielskim, o niebo jednak lepszym od mojego francuskiego.

- I obraz, i oryginał.

Szczerzość śmiechu, jaki wypełnił mały pokój o przemakającym suficie, wydała się mi równa gniewowi chmur nad Bora Bora. Przez uchylone drzwi zajrzały wszedobylskie oczy właściciela zajazdu, a szczupła dłoń profesjonalnym ruchem zakotłosa zawartością butelki.

- Oui – powiedział mężczyzna, ja zaś wskazałem palcem na kieszeń kurtki. Chińczyk skinął głową zapytanemu i

* Przyjdź do mnie. Przyjdź w nocy.

kościwym palcem potwierdził mój gest. Był widać doświadczony i nie lubił widocznie wątpliwości przy płaceniu rachunku. Burza kołowała, tracąc swą siłę wśród wzgórz, których nazwy zapomniałem wkrótce po odplynięciu z wyspy, ale uderzenia wiatru przechodząc latwo przez starość drewnianych ścian nie raz zakłósały kiepskim trunkiem w nierównych szklankach.

Oczy dziewczyny, która siedziała teraz tuż obok, przypominały znów o rysunku. Szkicownik powrócił na stół, szczęśliwie unikając zamoczenia. Koła, tarcze, dyski znów zawirowały w moich oczach, kąpiąc swe kształty w kropkach alkoholu.

- Znasz się na sztuce? - zapytał mężczyzna. Miał, oświetloną teraz stojącą tuż obok niego lampą, szeroką, trochę prostą, twarz o dużym nosie, miesistych wargach i nieco wystających kościach policzkowych. Można było go szacować na pięćdziesiąt lat, ale trzeba było wziąć poprawkę na alkohol, żar mórza południowych, kto wie może jeszcze na coś innego.

- Znasz się na sztuce?

- Wydaje mi się, że znam się - powiedziałem prosto i bez nieszczerej skromności

- Dużo widziałeś sztuki? - Tehura, która widocznie nie piła przedtem, bowiem niespodziewanie stała się bardzo rozmowna, tłumaczyła, gdy moja znajomość francuskiego okazywała się zbyt nikła. W praktyce oznaczało to, że tłumaczyła ciągle.

- Tak. Widziałem w zasadzie wszystkie muzea w Europie i Stanach. Tak w przybliżeniu, widziałem wszystko, co wartościowszego namalowano na tej naszej planecie.

- Byłeś w Paryżu?

- Nie znoszę Paryża - odpowiedziałem z przekonaniem.

- Masz rację - padło wraz z ordynarnym słowem. - Skąd pochodzisz?

- Jestem Polakiem.

- Jak nazywa się twój kraj?

- Polska, Pologne, Polska - być może w głosie było trochę ironii.

- Nie słyszałem - odpowiedział, odlewając Tehurze umiarkowaną porcję.

- Podobają ci się mój rysunek?

- Powiedziałem już, jest doskonały. - Moja, bądź co bądź duża pochwała, nie zrobiła na nim wrażenia.

Andrzej URBAŃCZYK

Pracownik naukowy, żeglarz, podróżnik, prozaik urodził się 1 marca 1938 roku w Warszawie. W roku 1960 ukończył Wydział Chemii na Politechnice Gdańskiej. Od roku 1970 przebywa w Stanach Zjednoczonych. Współbudowniczy próbników „Viking I” i „Viking II”. W 1981 kierował polsko-amerykańską wyprawą na wulkany Meksyku. W latach 1978-1979 przepłynął samotnie trasę San Francisco-Jokohama-San Francisco na 7,5-metrowym jachcie NORD III (pierwsze polskie przejście Północnego Pacyfiku). W latach 1983-1984 optynął samotnie świat w 9,5-m jachcie NORD IV w rekordowym czasie. Wybrany „Żeglarzem Roku 1984”. Obecnie przygotowuje się do nowego, samotnego rejsu wokół Ziemi.

Autor 15 książek tłumaczonych na 12 języków. Jako prozaik SF debiutował w 1955 roku opowiadaniem „DN 18” na łamach „Młodego Technika”. Pisał do „Młodego Technika”, „Horyzontów Techniki”. W roku 1958 wydał zbiór opowiadań fantastycznych „Eksperyment profesora Kregera” („Prasa-Książka-Ruch”).

Andrzej Urbańczyk znany jest czytelnikom „Fantastyki” z reportażu „Science fiction za życia” (4/1985) i opowiadań: „Mięso”, „Postęp geometryczny” (4/1986).

W tym samym roku ukazał się wywiad z Andrzejem Urbańczykiem „Nie ma rzeczy niemożliwych” (4/1986). Zamieszczone opowiadanie pochodzi ze zbioru tekstów science fiction przygotowywanych właśnie dla Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

- Czyje malarstwo podoba ci się najbardziej, jeśli tak wolno w ogóle formułować pytanie?

- Gauguina, van Gogha, Modiglianego.

- Samą Francją - zaśmiał się. Nie uważałem za właściwe korygować go, zwłaszcza przy dziewczynie.

Nalał sobie alkoholu i szybko wychylił szklankę. Wydawało mi się, że jego ciężkie, poplamione równikowym słońcem dłonie drżą. - Wiesz, ten van Gogh, Vincent, to był narwany facet. - Przytaknąłem dla zgody.

Tropikalna ulewa skończyła się niepostrzeżenie, tak jak się zaczęła. Gąszcz drzew parował teraz, a ziemia wysysała wilgoć jak gąbka. Pędy młodych bambusów pęły się szybko w górę, zielone parasole palm rozczapierały palce swoich liści. Robaki, które żywiły się robakami, pożerały te, które żywiły się wilgocią.

Alkohol uderzył, widać, do głowy człowiekowi, który tak doskonale uwiecznił przeczudne oczy i przeczudne ciemnoskóre piersi wyspiarki. Potoczył po skromnym pokoku gestniejącym już wzrokiem, zatrzymał go na mojej twarzy i znów rzucił pytanie, szybko przetłumaczone przez Tehurę:

- Czy obraz, jaki narysowałem, przypomina ci grafiki Gauguina?

- Oczywiście! Gdybym zobaczył „Tehurę” w muzeum twierdziłbym, że to Gauguin z jego tahityjskiego okresu.

- To znaczy, że ja rysuję tak dobrze jak Gauguin? A może ja rysuję od niego lepiej? - mówił z taką pasją, że tym razem nie potrzebowałem tłumacza.

- Nie rysujesz lepiej, ani nie rysujesz gorzej - odpowiedziałem, jednocześnie akceptując, znanym gestem, propozycję drugiej butelki niezrównanego Chińczyka. - Rysujesz po prostu jak Gauguin. Nawet twoja modelka nazywa się tak jak tahityjska żona Gauguina.

- Czytałeś „Noa-Noa”? - zapytał z ożywieniem. Brzmiało to ponadto jakoś swojsko.

- Oczywiście! Gdyby czas potrafił się cofać, można by wyobrazić sobie, że ty jesteś Pauliem, Tehura Tehurą, ja zaś jednym z tych sukinyńskich turystów, którzy doprowadzili Tahiti do upadku... - Alkohol jak widać znał drogę nie tylko do serca artysty i lokalnej piękności.

- Obrazy twoje są warte tyle samo co Gauguina... - Upadek do połowy wypitej butelki przerwał moje zachwyty. Błysnęły skośne oczy w szparze drzwi, które tym razem nie skrzypnęły. Dziewczyna wstała, trzymając się, czego nie przewidziałem, zupełnie prosto.

- Gauguin zawsze kojarzył się w mojej wyobraźni z Tahityjkami. Ich kształty mają w sobie coś z Gauguina, w jego obrazach jest coś tahityjskiego. Tacy ludzie powinni żyć wiecznie. Tymczasem to już tyle lat, jak zmarł...

- Zmarł? Zapewniam cię, że żyje - w głosie kołysała się niezachwiana pewność.

- Oczywiście - podchwyciłem - żyje. Trwa w ponadczasowym pięknie swej twórczości. W uśmiechu polinezyjskich kobiet. W zieloności palm, urodzie tutejszych kwiatów, łęczy rozpinanej przez pasat nad przybojem.

- Słusznie - Francuz przerwał mi - słusznie. Nawet więcej. Zareczam ci, że duch Gauguina wciąż wędruje po tych wyspach...

- Nie mam najmniejszej wątpliwości - odpowiedziałem zgodnie, patrząc na rysowany światłem księżyca profil Tehury.

Nie wiem, czy sprawiła to narastająca noc, czy też marność pitego trunku. Twarz francuskiego artysty zmieniła się tak bardzo w ciągu kilku minut, że nagle wydało się, że siedzę obok innego człowieka.

Zrozumiałem, że - jak często zdarza się tym, którzy tworzą - wypił za dużo i że trzeba jakoś z tego wszystkiego wybrnąć.

Księżyć utonął w chmurach. Najniespodziewaniej, zmącone tanim alkoholem oczy artysty wypogodziły się jak ton oceanu, gdy ustaje pasat. Otarł usta brązową, już pomarszczoną dłonią. Potem, tą samą dłonią wskazując na mnie, powiedział: - Bardzo cię lubię, przyjacielu. Poz-

wol, że podaruję ci ten rysunek na pamiątkę naszego spotkania. Daruję ci również Tehurę, by mogło spełnić się to, czego żarliwą ochotę widzę od chwili, gdy otworzyłeś drzwi tej garkuchni. – Tehura zaśmiała się na to, oświadczaając, że idzie do swego domu.

Rzeczywistość nabrała zupełnie innych wymiarów, kiedy mężczyzna potwierdził swą wolę, dorzucając do jej pierwotnego kształtu kilka, wszystkim znanych, słów każdego portu. Poprosiłem, by zechciał podpisać obraz, nie miałem bowiem wątpliwości, że nazwisko jego musi być notowane na aukcjach, przynajmniej francuskich. Zrobił to starannie, mrużąc otoczone zbędnymi fałdami skóry oczy i trzymając szkicownik daleko od siebie. W tym samym momencie dwa białe pioruny przeszły nagle wewnątrz spadając ku ziemi przez okryte teraz już tylko koszulą plecy. To dziewczyna, chcąc raz jeszcze rzucić okiem na rysunek, pochylała się nade mną zbyt nisko...

W kilka dni później pomarszczona twarz właściciela „Golden Dragon” uśmiechnęła się znowu. Tym razem zaprowadziła mnie do zajazdu nie furia tropikalnej ulewy, ale ciekawość.

Porysowany stolik, gratisowa butelka piwa, zachęta żarzących się węgli.

– Nie, nie, na pewno. Tego mężczyzny nie było tu nigdy przedtem ani potem. Tehura zaś, jak wam zapewne wiadomo, maluje każdy, kto ma na to ochotę. Obojętne czy malować potrafi, czy też nie...

Piwo wydawało mi się bez smaku. Ściany lokalu, bardziej brudne niż zawsze. Szum pasatu w liściach palm mieszał się z grzmotem przyboju. *On umiłował te wyspy, które los kazał mu opuścić, bardziej niż inny kawałek świata. Na pewno zawsze powracał tu myślą, duchem, tęsknotą...*

Odpłynąłem z wysp, unoszony przez dziób statku, który tnie ocean jednakowo łatwo w każdą stronę. Zapomniałem już niemal dni na Bora Bora, nie przestałem jednak kochać Tahiti, czy może raczej wspomnienia po Tahiti moich marzeń. Bowiem szybko obracają się żarna, mieląc czas terazniejszy, którego pyły zasypują pamięć czasu minionego.

Gdy powróciłem do domu, jak wolno przecież nazywać każde miejsce temu, kto domu prawdziwego nigdy nie posiadał, spotkałem znów dziewczynę o dużych oczach i małych piersiach. Z ostrożnie wyjętej z tekturowej koperty kartki uśmiechała się Tehura, głęboką jak wody Tuamotu czernią rozwartych przez piękno oczu. Coś z ich słodczych wydyma w dziecinnej niemal naiwności pełne wargi ust. Błąka się po zbyt wypukłym, jak nasz gust, czole malej bogini. Tajemnica wysp czy żart ołówka mistrza sprawia, że jej pierś – śmiała, dumna i nieskończenie słodka – to preży się płaskim, twardym pancerzem zapelniającym cały tors, to znów skupia swój cały urok i siłę w maleńkich, ostrych jak koncha brunatnej muszli sutkach dziewczęcego ciała. Dwu gwiazdach, dwu rogach sierpa księżycy na wyspiarskim niebie, może dwu słońcach nieznanego świata.

Im jednak jestem starszy, tym częściej myślę nie o Tehurze podziwiając zakłete w dotknięciach grafitu kształty, ale o ręce, która potrafiła dokonać niemożliwego i która zostawiła tylko krótkie słowo Paul.

Galeria i aukcja sztuki „Fraser and Fraser” na Fifth Avenue w Nowym Jorku wśród nie znających co to zieleność tropiku gór betonu, co rysują kształt Manhattanu, bierze sto dolarów za ekspertyzę i wycenę rysunków. Któregoś letniego dnia 1987 roku i ja stanąłem przed przypominającym grubością szkła dział wypłat banku

kontuarze. Sto dolarów nie było dla mnie wówczas dużym pieniądzem.

Po niemal godzinie czekania z twarzą utopioną w „Art” i „Money” na przemian zostałem poproszony na piętro. Gdy zamknęły się za nami obite jasną skórą drzwi, błyskając tabliczką „John Fraser”, oczy od lat trudniące się oceną żywego i martwego zakomunikowały mi, lojalnie ostrzegając o niecodziennej, ba, niepojętej sprawie:

– Jest to najoryginalniejszy Gauguin. Paul Gauguin. Narysowany sto lat temu na papierze zrobionym przed dziesięcioma laty...

– Myli się pan – przerwałem zapewne zbyt szybko – to nie jest Paul Gauguin. Byłem przy rysowaniu tej dziewczyny. Było to osiem lat temu. Gauguin zmarł w roku...

– Tysiąc dziewięćset trzecim – powiedział John Fraser bardzo spokojnie.

– Ten człowiek istotnie podobny był do Gauguina w jakiś sposób, ale na nieba, nie dajmy się oszaleć. Było to zaledwie osiem lat temu i piłem z nim brandy!

– W takim razie pił pan z Paulem Gauguinem. To jest absolutny oryginał nieznanego rysunku nieznanego dziewczyny...

– Nieprawda – powiedziałem o stopień za głośno. – Jest to po prostu mistrzowsko zrobiona imitacja, bo przecież nawet nie falsyfikat, Gauguina...

– Czy przekonam pana, jeśli w tej chwili wyplacę panu za tę „imitację”, jak pan twierdzi – tu potentat rynku sztuki wschodniego wybrzeża Stanów Zjednoczonych pochylił się przez biurko, masywne jak podstawa szybko skrawającej obrabiarki, pokazując wystawiony na moje nazwisko czek – to? – Proszę pana. Jest pan u profesjonalistów. Rysunku podrobić nie można. Można narysować to, co narysował Gauguin, nie można narysować tak, jak rysował Gauguin. Od tego jest nasza praca, od tego są mikroskopy i światło spolaryzowane, określające grubość kreski, głębokość nacisku, kąt trzymania ołówka. Od tego skanery i wymierzenie odległości poszczególnych kresek, charakter prowadzonej linii, gęstość krycia, wejście i zejście grafitu w papier. Komputer policzył każdą z kresek tworzących „Tehurę”, jak pan nazywa ten przesłiczny rysunek, i każdą z osiemnastu cech każdej kreski porównał z ich kilku tysiącami. I wie pan, co powiedziała nam ta diabelska maszynaria za dwieście pięćdziesiąt tysięcy dolarów? Powiedziała: „Paul Gauguin”. Powiedziała tyle razy, ile było tych kresek, narysowanych podobno osiem lat temu, podobno w pana obecności...

Chciałem znów zaprotestować, ale teraz Fraser przerwał: – Mam taką propozycję: czy nie pojechałby pan, na koszt naszej firmy, odnaleźć tego człowieka? Otrzyma pan otwarte konto...

– Pieniądze nie znajdą tego człowieka – powiedziałem spokojnie, bo już zaczynałem rozumieć całą sprawę.

Twarz Frasera przesunęła się po ścianach gabinetu, na których wisiało nie więcej jak pięć obrazów. Razem prawdopodobnie ponad milion dolarów. Potem znów nasze oczy spotkały się. Udałem jednak zajadły upór:

– Jak to może być Gauguin – rzucam – proszę spojrzeć – tu palec wskazał odwrotną stronę taniego arkusza z nadrukiem „Superior Art 1976”.

Wtedy Fraser, wielki Fraser, bogacz i ekspert sztuki, wyjął z butonierki marynarki staroświeckie atramentowe pióro Parkera i równie spokojnie jak zdecydowanie przekreślił cyfrę 1976.

Pacyfik, 1987

Andrzej Urbanczyk



Okladka do „Isaac Asimov's Science Fiction” II/85
(Opowiadanie tytułowe: R. Silverberg „Zeglując do Bizancjum”)

**HISAKI
YASUDA**

Dorobek i drogę twórczą Marka Oramusa (ur. 1952) przypominamy na stronach 56-57 w „Słowniku Polskich Autorów Fantastyki”. Tu natomiast przedstawiamy fragment jego najnowszej powieści „Dzień drogi do Meorii” (tytuł roboczy), przygotowywanej dla Wydawnictwa Iskry. Rzecz, nieco zajdlowska w tonie, będzie traktować o Ziemi znajdującej się pod okupacją Obcych z kosmosu. Jak często bywa w fantastyce socjologicznej Obcy i tu wezmą Ziemian za twarz... ziemskimi rękami. (mp)

Marek Oramus

Owieczki



Eomir Esterhazy, spedytor z ciężkiego transportowca „Hungaria”, spoglądał z wnętrza szklanego kiosku w szesciometrową przepaść. Wyglądał jak owad zalopiony w kropli żółtego bursztynu, a kropla wyglądała jak klejnot na ciemnej piersi olbrzyma. Z zewnątrz do kabiny nie przedostawały się żadne dźwięki, tak że płatanina kształtów w przepaści pogłębiała tylko wrażenie niemego filmu. Zmierzył zapadł nagle, bez ostrzeżenia, jakby chciał zaskoczyć cały tutejszy świat w ramach nieznanego nikomu rozgrywki. Od razu włączyły się kilkadziesiąt punktowych źródeł światła z wyposażenia „Hungarii”, niepotrzebnych co prawda automatom, ale podtrzymujących kruchy komfort człowieka. Plac, zalany potokami światła, kojarzył się spedytorowi z polem bitwy, na którym trwa gorączkowe przegrupowanie sił przed porannym nieuniknionym starciem. Kłocki kontenerów na wysięgnikach rzuciły długie cienie, formując się w zgrabne oddziały. Dopiero później wpadło mu do głowy, że obserwuje nie manewry wojenne, ale parę smoków dogrywających partię szachów w łowarzyswie kibicujących pobratymców. Smoki przysuwali sobie oczami i Esterhazy próbował określić dla zabawy, ile smoków zgromadziło się wokół planszy - przy założeniu, że każdy ma trzy głowy, a w każdej głowie dwoje gorejących ślepi.

Ta dziecinada, fakt, że jej uległ, mogła świadczyć o poprawie jego stanu psychicznego. Przestał się bać, kurczowo, całym ciałem odbierać wrogość świata poza granicą szklanej kropli. Ciemność wessala strach i to, co przedtem wywierało wrażenie nader przytłaczające, nabrało charakteru wesołego miasteczka. Znamienne skojarzenia: od koszarowego dziedzinca, gdzie karne szeregi w milczeniu gotują się na rzeź - do bajki z dobrodusznymi smokami grającymi w szachy. Esterhazy poweselał i zaraz z powrotem zrzęda mu mina, obie wzaje zawierały w podtekście walkę, element konfrontacji, za pierwszym razem bardziej ewidentny, za drugim - zakamuflowany. Uświadomił sobie, że jego nerwy są napęte do granic ostateczności.

Nisko, obok platformy, którą gładko spływały na plac kontenerów, stał najbliższy z jednorekich strażników Hoam. W blasku reflektorów wyglądał jak uosobienie pocziwości, podobny do kawalarza, który przebrał się za niedźwiedzia i teraz, straciwszy kontakt z resztą hałaśliwej kompanii, bez której jego występ tracił sens, rozglądał się po placu w nadziei, że łada chwila zagubieni wesolkowie go odnajdą. Wystarczyło jednak kilka minut, lekka zmiana oświetlenia, a komediant przeistaczał się w ociosany pierś wbiły w ziemię - świadectwo nieznanego kultu. Dla powodów znanych tylko obcym bostwom pien został określony futrem o długich, zmierzwiionych kudłach. Z łulowia wyrastał bez pośrednictwa szyi szeroki leń, a dwa talerzykowate wyrostki po obu bokach jako żywo nasuwały skojarzenie uszu. Z tyłu łba się. Człuch stozkowaty wyłol - wypisz, wymaluj pysk, paszcza albo psia mord. Ale Esterhazy wiedział, że ważniejsze zmysły osobnika Hoam mieszczą się po obłej stronie łba, gdzie gładko leżące futro absolutnie nie daje powodów do takich podejrzeń.

Drugi strażnik Hoam tkwił kilkanaście metrów od pierwszego. Jego psi pysk zwrócony był dokładnie w tę samą stronę co poprzednika; nie bez wysiłku Esterhazy odszukał jeszcze dwóch i skonstatował, że także ich dziobiaste potylicy wycelowane są w ciemność, gdzie chyba nie działo się nic interesującego. A to by znaczyło, że bynajmniej nie dozorują transportu, nie sprawdzają ilości kontenerów, nie porównują z tabelkami asortymentów - że wyładunek w ogóle mało ich obchodzi. Są tu, aby pilnować modułu transportowego „Hungarii” i na najmniejszy znak spoza horyzontu zamienia chętnie ten hektar gruntu w roztopione piekło, ani zważając, że w pierwszym rzędzie pochłonie ono ich pluszowe jestestwa.

Właśnie to było najstraszniejsze - że instynkt samozachowawczy zdawał się krepować ich tyle co polne kamienie, co minerały wijące się żyłami w czeluściach planet. Długo przebiegało się to spostrzeżenie do umysłów ludzi, nawykłych do świata, gdzie wszystko, od ameby do słonia, czepiało się kurczowo okrucichów egzystencji. Istot rozumnych dotyczył ten zwyczaj bodaj w najwyższym stopniu: w zamian za parę sekund gderoczenia wyroku skłonne były do daleko posuniętych ofiar z honoru, godności, lojalności. Minęły czasy herosów, w obliczu biologicznego zagrożenia etyka całych narodów szła w kął. Ten mechanizm sprzyjał Hoam jak diabłu, dopóki nie zrozumieliśmy, myślał Esterhazy, jak bardzo są od nas odmiennie, nie tylko pod względem kształtu

ciała czy ilości rąk, że więcej nas dzieli niż łączy i że póki traktujemy ich jak samych siebie, to jakbyśmy popełniali powolne samobójstwo. Który to z Prezydentów Wrexler? Kazinsky? Sequence? - jego słowa okazały się trwalsze niż nazwisko - otworzył nam oczy, radząc interpretować Hoam jako kamikadze, ale bardziej bezwzględnych. Dla wroga i dla siebie. Jeśli chcecie z nimi wygrać, grzmiał w mowie, którą znało każde dziecko Zjednoczonej Floty, musicie przewyższyć ich bezwzględnością i poświęceniem. Musicie stać się twardsi od kamienia i okrutniejsi od Boga. Nie ma we Wszechświecie miejsca dla dawnego człowieka, człowiek łzawy, sentymentalny, miękki jak brzuch żaby umarł wraz z pojawieniem się Hoam. Jeśli przeżył - został zamieniony w niewolnika, w dwunożne zwierzę dostarczające rozrywki i miesa. Więc wybierajcie: czy bluzgając przez skórę krwią od przyspieszeń, wypływając płuca od niedotlenienia i żrąc własne fekalia pozostać człowiekiem, czy pełzać w kurzu i krwi pobratymców u słop nowego pana. Wybierajcie, jak i ja wybrałem: krwawy pol, nienawiść i nadzieje na szybką śmierć.

Tak powiedział. Kilka miesięcy później już nie żył. Wtedy Prezydenci zmieniali się często.

Eomir nie pamiętał tych czasów. Inwazja Ziemi przez Hoam, rozpoczęta w 2109 roku, trwała lat siedem i zakończyła się całkowitą klęską człowieka. Niedobitki, resztki ziemskiego systemu obronnego ratowały się ucieczką w kosmos. Dołączyły do nich statki z baz księżycowych i marsjańskich oraz oddziały ze stacji orbitalnych, nadspodziewanie bitne, które miały najwięcej czasu na oswojenie się z wrogiem. Reszta planety, pozbawiona osłony satelitarnej i wsparcia wahadłowców, stawiała krótki opór zakończony rzezią. Różne szacunki mówiły o ilości od dziesięciu do czterech miliardów istnień. W porównaniu z nimi dziesięć milionów ocalałych i rozproszonych po kosmosie wydawało się pyłkiem. Na nich miał spocząć cały ciężar dalszej walki.

Wojna miała się ku końcowi, część walczących została wycofana na stałe do stoczni i do badań naukowych, które w krótkim czasie zaowocowały prototypami nowych broni, nowymi rodzajami napędu, ściągniętymi z jednostek Hoam i po pewnym czasie znacznie ulepszonymi. Życie przestało polegać tylko na walce i nienawiści, przestało być cenne tylko dlatego, żeby wysłać do piekła jak najwięcej Hoam. Należało żyć dla pamięci, żeby wychować dzieci i z nich również uczynić żołnierzy bardziej bezwzględnych od kamikadze - a stratę Ziemi na rzecz Hoam jak najszybciej przeboleć. Pozostawał Mars, księżyc Jowisza, Saturna. Stałe bazy padały jednak łatwym łupem Hoam; przestrzeń okazała się lepszą kryjówką. I tak się ustabiło, mimo iż nikt nie podpisywał aktów kapitulacji ani rozejmu: ich pozostał układ Ziemia - Księżyc, a naszym losem stały się miliardy kilometrów sześciennych próżni. Statki zamieniały się w latające miasta, fabryki i zbrojownie, i tak przetrwało do dziś.

- No, jak leci? - odezwał się szef całej operacji zwany Imbrykiem. Jego pyzata gęba z wiechem włosów na czubku głowy wypełniała cały ekran. - Jakies niespodzianki?

- Żadnych - powiedział niechętnie Esterhazy. - Na razie wszystko w porządku. Właśnie skończyłem wyrzucać towar i przystępuje do załadunku. Zaczynam od cystern z wodą.

- Przebadane?

- Częściowo. Zostało jeszcze trochę.

- Jak skład?

- Zwykła woda morska - Esterhazy przesłał mu skład chemiczny i dalej przypatrywał się zmaganiom na placu. Kontenery z „Hungarii” stały w równych rzędach po jednej stronie; po drugiej, na wspornikach - pekałe pojemniki Hoam, przypominające bomby albo batyskafy. Na oświetlonych wypukłościach niczym paciorki połyskiwały sznureczki nitów.

Automaty załadunkowe przeformowały szyk i podjechały do kolumny cystern od tej strony, gdzie zespoły pomiarowe zakończyły już pracę. Suwnica z czujnikami okraczała kolejne gruchy, podnosiła kółka, a najeżony czujnikami łeb zaglądał do środka. Niekiedy sonda z mocnym reflektorem zsuwała się do wody jak wąż - i wewnątrz solidnej, z lekka zamazanej kopuły pojawiała się na ekranie. Esterhazy uważnie oglądał każdy cień i dawał zezwolenie na przejście do kolejnego walcaka. Na tle rozświetlonej czaszy, która w miarę odjazdu sondy wypełniała się ciemnością, pokazywały się wyniki analiz. Rejestrator robił ostatnie zdjęcia,

kolpak opadał na zbiornik, złącze natychmiast otaczał metalowy piersień, z którego tryskały ogniste igły.

Kiedy wojna ustaje, między walczącymi zaczyna się szukanie okazji do wymiany towarowej. Zaledwie w dziesięć lat po zakończeniu starć, kiedy przez Ziemię przewaliła się rewolucja zamykająca Wielkie Błędzenie a otwierająca raj Nowej Ery, na przewidywane lądowiska Hoam wyprawy się wcale liczne jednostki Floty. Z Ziemi zabierały głównie surowce i półfabrykaty: wzbogacone rudy, wodę morską, złom, rzadziej żywność. Korzystając z okazji wysadzały szpiegów albo zabierały wykupionych jeńców, uczonych, artystów. W zamian pozostawiały maszyny, głównie budowlane, dźwigi, pompy, środki transportu, kombajny górnicze. Taka struktura wymiany w zasadzie utrzymała się do czasów Esterhazygo.

Hoam traktowali te wizyty jako zło konieczne. Potrzebowali urządzeń mechanicznych, zwłaszcza od kiedy maszyna została uznana za jeden z relikwów i symboli Epoki Wielkiego Błędzenia. Umiejętnie podszczuwane tłumy w krótkim czasie zniszczyły mechanicznych wyzyskiwaczy – i okazało się, że nie ma kto pracować, liczyć, przewozić towarów. W ciągu ćwierćwiecza, licząc od rozpętań wojny, ludzkość cofnęła się o tysiąclecie. Z powodu wyginiecia większości gatunków zabrakło nawet siły zwierzęcej, którą by można wykorzystać. Prymitywny przemysł oparty na pracy jednokolejnych robotników zaspokajał głównie potrzeby zbrojeniowe. Mit o nieustannym zagrożeniu z góry, stworzony i podsycany przez propagandę, stał się jednym z fundamentów świadomości przeciwnego Ziemiannina w owych latach.

O innych korzyściach Hoam z handlu z Flotą trudno powiedzieć coś pewnego. Na pewno bez entuzjazmu oddawali nieprzyjacielowi ziemskie dobra, gdyż raz po raz towar okazywał się niezupełnie tym, za co go brali naiwni kontrahenci. A to partia jarzyn okazywała się przemysłnie zatruta, a to ziarno skażone genetycznie – a ile razy trzeba było odrzucać cały ładunek w przestrzeń, by nie dopuścić do epidemii... Sprytnie zakamuflowane materiały wybuchowe powodowały uszkodzenia jednostek Floty. W odwet niszczone określone ilości obiektów Hoam, równano z ziemią bazy albo stocznie, wysyłając do nieba przeważnie Bogu ducha winnych ludzi, co propaganda Hoam wykorzystywała na swój sposób. O przyczynach ataku każdorazowo informowano przedstawicieli Hoam, stosunki ulegały zaostreżeniu, handel ustawał na pewien czas, ale zawsze dochodziło do nawiązania kontaktów na nowo. Gwoli sprawiedliwości trzeba przyznać, że i maszyny dostarczane przez Flotę rzadko dobiegały okresów gwałtownych, nie tylko z powodu niewłaściwej obsługi.

Konsorcjum Handlowe „Dolar Pan” było wynalazkiem stosunkowo niedawnym. Dowództwo Zjednoczonej Floty postanowiło zakazać podległym sobie jednostkom handlu na własną rękę. Najpierw doszło do wydzielenia na większych statkach sekcji transportowych, ładujących na powierzchnię Ziemi i przejmujących niebezpieczne ładunki, podczas gdy eskorta z pałkami na spustach czekała na orbicie. Każdy z lądowników był na wszelki wypadek zaminowany, przy czym odpalenie ładunków następowało na rozkaz zarówno załogi, jak eskorty. Zespoły specjalistów pracowały nad piętrowymi systemami zabezpieczeń statków, bez przerwy wynajdując w nich – nie bez pomocy Hoam – słabe ogniwa. Rywalizacja kontrahentów z dostawcami zastąpiła dawną, militarną.

Bezpośrednim powodem zmian organizacyjnych – oprócz konieczności wykonywania specjalistycznych badań towaru – były przedłużające się kwarantanny. Czasem i lat nie wystarczyło dla uzyskania pewności, że u nikogo z personelu lądowników nie nastąpiło zarażenie wirusami o wyjątkowo długim okresie inkubacji. Z chwilą powstania Konsorcjum, handel z Ziemią spadał na barki wyspecjalizowanych załóg, pozostających na własnym rachunku, izolowanych od reszty Floty. Na początek otrzymały trochę najstarszych, przeznaczonych do rychłej kasacji pojazdów – i w ten sposób Konsorcjum stało się faktem, a z biegiem czasu jakby pomostem między Flotą a Ziemią. Działo na własne ryzyko; jego wewnętrzna sprawa było zapewnienie towarów o odpowiedniej jakości, w pełni bezpiecznych dla zdrowia i życia. Ewentualne epidemie wśród swoich załóg Konsorcjum likwidowało we własnym zakresie. Flota oprócz opłat za dostawy gwa-

rantowała dopływ fachowców, a w uzasadnionych wypadkach – także wsparcie militarne.

Istnienie wyspecjalizowanego przedsiębiorstwa handlowego, działającego z ramienia Floty, okazało się krokiem we właściwym kierunku. Hoam nie mieli już do czynienia z gromadą rozproszonych jednostek. Doprowadziło to do centralizacji wymiany i odpowiedzialności. Numery z podrzucaniem dynamitu do kalafiorów, z zatrutowaniem ziarna stopniowo ustały. W trzecim roku istnienia Konsorcjum „Dolar Pan” oprócz sporych dochodów mogło poszczycić się wynegocjowaniem układów handlowych. Ponure niedźwiedzie o jednej ręce w wyniku kompromisu przyznały Konsorcjum prawo do kontroli cech towarów za pomocą wszelkich dostępnych środków i przed wniesieniem opłaty. Jedyny warunek brzmiał: pobyt lądowników musiał być zakończony w ciągu doby, pod groźbą konfiskaty. W tym czasie ludzie, towary ani pojazdy nie mogły opuszczać lądowiska. Oto dlaczego ekipa z członu lądującego „Hungarii” musiała się spieszyć: doba przeznaczona na pobyt miała się ku końcowi.

Po cysternach z wodą morską przyszła kolej na wodę słodką i kwas siarkowy – tym razem brali głównie ciecz. Komputer wazył i liczył pojemniki, porównując zgodność asortymentów z ustaleniemi klauzuli, aby „Hungarii” nie oszukano przynajmniej na ilości. Kontrola cystern z kwasem była nieco bardziej skomplikowana i mniej widowiskowa, gdyż nie można ich było otwierać, ale i z tym automaty sobie poradziły.

– Dobra – powiedział ze swego stanowiska Imbryk. – Zamykaj grodzie. – Na jego górnej wardze zebraty się kropelki potu. Jeśli choć w jednej cysternie coś jednak przeoczyli, ich żywot liczył się na godziny. Wcale nie było powiedziane, że Hoam za każdym razem próbują szluczek – ale jeśli już próbowali, z reguły były to numery nasuwające podejrzenie o pakt z samym Belzebubem.

- Grodzie zamknięte. Mysz się nie przecięnie.
- To mało. Pełna hermetyzacja.
- Jest, pełna hermetyzacja.

Od tej pory każda próba naruszenia hermetyczności lądowni powodowała stan alarmu. Imbryk otarł spoconą twarz.

– Zaczekajmy jeszcze na doktora. Segment osobowy w porządku?

- Przygotowany i czeka.

– Zaczniemy teraz grzać silniki. Czuje, że chciałbyś trochę porozmawiać, Bo.

– Ja? – przez moment zbierał myśli. – A tak, rzeczywiście. – Grunt pod modułem ładującym ugiał się, przez korpus przeleciało drzenie. Szpiczaste pyski Hoam zakłósały się jak na komendę i momentalnie zastygły w poprzednim położeniu. – Zastanawiam się czasem – powiedział Esterhazy – dla jakich powodów handlujemy z nimi. Przecież nie dla zysku. My im tonę maszyn – oni nam metr sześcienny wody. Powiedzmy, że im to się opłaca – ale nam?

– Nam też – Imbryk odpowiadał Esterhazemu angażując jakby połowę uwagi. – Zapomniałeś o owieczkach. Tona owieczek w transakcji związanej kosztuje u nich tyle co tona wody. Bez maszyn nie można ich kupić – więc wozimy maszyny. A woda... bywa nieraz cenniejsza od ludzi.

- Jakiś dziwny ten handel.

– Nie. W handlu nie ma miejsca na dziwy. Coś za coś, dobija się targu – i cześć. Niech im się zdaje, że bez ich dostaw, szczególnie bez wody, nie pociągniemy długo. Niech myślą, że trzymając swoją kosmatą łapę na kurku zawsze mogą zablokować dopływ. Tymczasem gdybyśmy chcieli liczyć wyłącznie na wodę z Ziemi, dawno zamienilibyśmy się w mumie. Woda, zwłaszcza morską, to kapitalne źródło surowców: sodu, magnezu, germanu, selenu... Po ściągnięciu soli nadaje się do celów laboratoryjnych, do zasilania systemów... – mówił z przerwami, nachylony nad aparaturą. – No i najważniejsze: przekonujemy się, że woda, nasza woda, ciągle jest na swoim miejscu.

- Coś nie tak u doktora? – spytał Esterhazy.

– Nie, nie, wszystko w normie. Doktor kończy swoje. Na zeewnątrz spokój?

- Spokój.
- Zwijaj oświetlenie.

Esterhazy wydał dyspozycje i ślepią smoków przyćmiły się, poczynając od najbardziej skrajnych. Nie minęło dziesięć minut, a cały majdan znalazł się w luku z oprzyrządowaniem. Moment – luk pochłonięte teleskopowe maszty oraz wielkie, meduzowate boje w okratowanych kagancach.

– Wiesz co? – powiedział Esterhazy biorąc wdech i starając się dokładnie przywołać jakąś dawniejszą myśl. – Zastanawiam się nieraz, czy przystoi nam handlować z katami naszych przodków. Tacy staliśmy się praktyczni. Oni nas przepędzili – a my im za to dowozimy taśmociąg i koparki. Zadaje sobie pytanie, czyśmy nie do szynki zapomnieli, nie nazbyt chętnie. Jeszcze wczoraj Hoam urywali naszymi łby – a my już dziś spieszymy z ofertami. I towar za towar. Gładziutko. Rozumiałbym jeszcze gdyby to była konieczność, ale sam przecież mówisz: nie ma żadnego przymusu. Więc po jaką cholere włączymy im na szpikulec? Żeby udowodnić, jacyśmy to dzielni? Sobie – czy im? Żeby nie utracić kontaktu bojowego? A może zapomnieliśmy już o 2109 roku, wybaczyliśmy im wszystko w imię wspólnej szczęśliwej przyszłości?

– Przestań pisać androny – obruszył się Imbryk – o niczym nie zapomnieliśmy. Jeśli coś konstytuuje człowieka, to przede wszystkim pamięć. To ona sprawia, że ciebie nie można wymienić na mnie, a nas obu na doktora. Ale co innego pamiętać, a co innego pozwolić zapanować nad sobą rozgoryczeniu i poczuciu klęski. Wojna z Hoam była tylko epizodem, ważnym, tragicznym, obfitym w reperkusje – ale epizodem. Życie toczy się dalej – inne życie, i świat toczy się dalej – też zupełnie inny. My również zmieniliśmy się pod wpływem tych poleźnych impulsów. Inaczej być nie mogło. Jednym z przejawów tych zmian jest odrzucenie uprzedzeń, które przeszkadzają działać. Pierwszy byłem wołał: rozczulajmy się, gdybym miał pewność, że choć jednemu z zabitych przywrócę to życie.

– Nie kpij – parsknął Esterhazy – tylko pomyśl. Jeśli zabronicie człowiekowi płakać po umarłych, wzruszać się i mieć wątpliwości, to przestaniecie mieć do czynienia z człowiekiem, a wyhodujecie, wyszkolicie, jakieś monstrum na kształt i podobieństwo Hoam. Sprawne w zabijaniu, zużywające niewiele tlenu i wody, kochające raz na siedem lat... i nie zważające przy wymianie metalowych zabawek na wodę, że ziemia pod dźwigarami jeszcze ciężka od krwi. Czasem wydaje mi się, że pewne rzeczy robimy wbrew naszej prawdziwej naturze. Czy ty nie rozumiesz – podniósł głos, bo Imbryk zdawał się udzielać jego wynurzeniom ledwie ćwierć ucha – że w naszym postępowaniu jest, oględnie mówiąc, coś ogromnie niesłusznego, a nie ma za to klasy, żadnego szlachetnego motywu? To przecież tak, jakbyśmy na przegromnym cmentarzu wymieniali z rasą równie dziką jak nasza – kamienne siekierki, ani zważając na bielejące tu i ówdzie kości czy nagrobki. Czy wy tego nie widzicie? Czy wszyscy jesteście z drewna?

– Przesadzasz – powiedział z wysiłkiem Imbryk. Silniki ciągle grały – i nagle umilkły od jednego ruchu batuty niewidzialnego dyrygenta. Strażnicy Hoam zareagowali wysunięciem do przodu monstrualnych chwytaków. Imbryk uniósł ciężki łeb z nastrożonym jak u Irokeza grzebieniem włosów. – Wszystko to bardzo piękne i szlachetne, co mówisz. Właściwie ciesze się, że ktoś ma jeszcze podobne wątpliwości. – Wziął oddech jak przed długą przemową i kiedy Esterhazy już, już spodziewał się tyrady mierzającej jego wywody, tamten powiedział tylko: – Doktor zakończył robotę. Zwijaj kłosk.

Była to kwestia chwili. Wysięgnik z kioskiem na końcu, przypominający zaciekawionego robota o żółtym łbie, zaczął wsiąkać w szary pień rakiety. Esterhazy zaczekał, aż zasklepią się przed nim pancerne płyty, pogasił ekrany, wygniół większą część świetlistego robactwa pod palcami, wreszcie uporządkował pomieszczenie, tak by przed startem nie trzeba było już tu wracać – i zameldował się Imbrykowi.

– OK – powiedział Imbryk – skocz teraz do pasażerskiego i zgłoś się u doktora. Pomożesz mu przy owieczkach.

Prawdę mówiąc Esterhazy spodziewał się, że to go omunie. Jednocześnie pragnął zobaczyć je z bliska, odczuwał z ich powodu dziwne podniecenie. Oprócz cystern zabierali coś nierównie bardziej atrakcyjnego i niebezpiecznego: dwadzieścia siedem sztuk

dziewic, wychowanych pod tym niebem, wysmaganych tym wiatrem, pięknych jak Afrodyty. To doktor mówił o nich: owieczki. Tylko dwadzieścia siedem, bo drugie tyle odrzucił jako niepełnowartościowe lub chore. Resztę zdyskwalifikowała komisja z „Hungarii”. Kilka spośród odrzuconych nosiło dobrze zamaskowane ślady przebytych operacji, co sprzeciwiało się kardynalnym punktom klauzuli handlowej.

Pierwsza faza badań przypominała bardziej konkurs na miss urodowiska: polegała po prostu na prezentacji okazów. Doktor podchodził do poszczególnych kandydatek, oglądał je uważnie, pytał o imiona, obmacywał wolną ręką, czasem rzucił: – A co o tej, chłopczy, myślicie? – znakował na posładku i kazał się ubierać. Jeśli okaz był wyjątkowej urody albo jeśli ci z góry mieli także życzenie, przedbiegi przedłużały się nieco.

Faza druga rozpoczynała się w atmosferze narastającej nerwowości. Stąd dziewczęta powtórnie przepuszczano przez barak. Tym razem droga prowadziła od rzęsiste oświetlonej rampy na stół doktora, gdzie dochodziło do weryfikacji niektórych warunków umowy. Doktor za pomocą rozkazu wydanego głosem uruchamiał tomograf i diagnostę komputerowy, wreszcie osobiście przystępował do dzieła. Odziany w gumowe rękawice, zbrojny we wzornik, w masce na twarzy, cierpliwie zaglądał kandydatom w brzuchy. Faza ta kończyła się krótką dyskusją z członkami konsylium na „Hungarii”, którzy na bieżąco śledzili ustalenia aparatury. Potem następowało odsianie tego, co doktor nazywał ewidentnym nieporozumieniem.

Całodzienne badania malejącej liczby kandydatek miały swoją podskórną dramaturgię. Esterhazy obserwując doktora, słuchając jego odzywek myślał nieraz, że ten facet świadomie uczestniczy w widowisku; bał posadzać go o robienie z medycyny teatru, oczywiście nie za darmo. Ale kiedy widział, z jaką serdecznością doktor zwraca się do pacjentek (bo właśnie tak je traktował), jak bierze je za rękę, próbuje uspokajać, ociera im łzy białym strzępkiem oderwanym ze szpuli, jak zapewnia wszystkie bez wyjątku o szansach na sukces – serce w nim międko i wstydził się podejrzeń.

Nie mniej ciekawe rzeczy działy się na zewnątrz blaszaka – i to również pokazywała kamera. Odrzucone piękności – bo pełnych brzydactw nie było wśród setki – miały się po placu z rozwianymi włosami, spazmowały, biły pięściami o ściany baraku, tarzały się w pył i na wszelkie sposoby naśladowały heroiny antycznych tragedii, dopóki nie obstarpi ich strażnicy Hoam i nie pognali do ciężarówek. Esterhazem u krajało się serce, gdy śledził odpływające w pustynie skrzynie ze słocznymi kobietami, zwróconymi jak jedna w stronę lądownika, kiosku i baraku doktora. Odprowadzały je niemo wzrokiem te, które czekała dalsza rozgrywka. Wywożone krzyczały coś na pożegnanie, nie wiadomo co i do kogo, wymachiwały rękoma. Co się z nimi dalej działo? Dlaczego zabierali je tak szybko? Esterhazy czuł się wznieście i podle zarazem: wybawiciel i zdrajca w jednej osobie. Ciężarówki właśnie znikły w kurzawie, gdy zdobył się na przysięgę: my tu niedługo wrócimy i zabierzemy was, uwolnimy i zabierzemy – i wiedział, że kłamie, że tamte są już zaprzepaszczone na zawsze. Na zbrojną ekspedycję Floty na razie się nie zanosilo. I dlaczego żałować akurat tych dziewczyn, a nie ich braci, sióstr i matek – milionów porządných ludzi cierpiących psí los, trwoniących zdrowie i życie na niewolniczej pracy dla Hoam? Tego typu kwestie roztrząsał Esterhazy podczas swego pierwszego dnia po ziemskim lądowaniu, czując się wewnątrz kiosku z szyb jak zanurzony w rzadkiej, przezroczystej mazi. Własna niemoc deprymowała go. Mógł tylko siedzieć i patrzeć.

Z pozostałej pięćdziesiątki miała odpaść jeszcze połowa – tutaj decydowało zdanie grubasów z góry. Szczegółowe badania zdrowotne i wydolnościowe, testy płodności i wszystko inne należało ukończyć przed zapadnięciem zmroku, doktor naprawdę się spieszył. Żelazna granica dwudziestu czterech godzin inspirowała wszystkich wystarczająco, zresztą gdyby pozwolił Hoam na przetrzymanie dziewczyn jeszcze przez noc, mogłoby w tym czasie zastosować dodatkowe sztuczki. Już i tak nie było wiadomo, czym zostały nafaszerowane owieczki – bo najprawdopodobniej zostały Esterhazy nieraz słyszał pogłoski, że dziewczyny z Ziemi są wampirami, a w żyłach ich płynie rēć. Przenosiły też rozmaite

wirusy, udzielając ich obficie zwłaszcza mężczyznom podczas pocałunków i w upojne noce. Te wirusy były sprytniejsze od Sherlocka Holmesa: piekielnie trudne do wykrycia, rozregulowały barierę immunologiczną albo miały tak długi okres inkubacji, że zwykła kwarantanna okazywała się na nic. Kto dobrowolnie zgodził się na ofiarę z dziesięciu lat życia tylko dla udowodnienia, że nie uległ infekcji? Mówiło się też, że Hoam wysmienienie opanowali inżynierie genetyczną człowieka i dlatego nie należy mieć z Ziemiakami dzieci, bo to jakby produkować własnymi rękami rzeźmieszków, dywersantów, w najlepszym przypadku zboczeńców.

Stojąc na progu części pasażerskiej Esterhazy aż zmrzął oczy. Za nim z cichym gwizdem zasuwała się przegroda. Dwadzieścia siedem par najpiękniejszych na świecie oczu spoczęło na postawnym mężczyźnie - następnym z ekipy archaniołów, która jeszcze dziś uniesie je do bram niebios. Nowy, jasnoniebieski kombinezon z barwnymi emblematami Konsorcjum, jasna twarz, błakający się po niej załazek uśmiechu, zyciliwe spojrzenie. Tak wyglądali władcy tego świata. Dwadzieścia siedem kobiet pokochało go w jednej chwili za to tylko, że istniał.

Esterhazy czuł, że koniecznie musi coś powiedzieć. Bogowie, jeśli już ukazują się śmiertelnym, to nie po to, aby milczeć.

- Witajcie na pokładzie członu lądującego „Hungaril”. Gratuluje wam sukcesu i mam nadzieję, że będziecie czuli się tutaj jak u siebie w domu.

Nie wypadło to zrecznie. Doktor skrzywił się na wzmiankę o tym domu, który wszystkie porzucił z rozkoszą. Wejście Esterhazego przerwało mu dłuższą tyradę, w której informował finalistki, że po rozlokowaniu w fotelach otrzymają posiłek, a następnie człon lądujący wystartuje na orbite, gdzie połączy się z macierzystym transportowcem.

Nasz młody przyjaciel Eomir - powiedział wskazując ręką na Esterhazego - postara się pełnić obowiązki stewardesy. Z wszelkimi wątpliwościami, prośbami, kłopotami i tak dalej od tej chwili zwracamy się do niego. Czy wszystko jasne? Są pytania?

Czekali. Esterhazemu wydało się, że na dźwięk jego imienia kilka dziewczyn poruszyło wargami, jakby próbując je powtórzyć. Starał się nie myśleć o tym, że w przeciągu najbliższego półroczia dwie lub trzy spośród nich popełnią samobójstwo.

- Co to jest stewardesa? - odważyła się wreszcie niebieskooka blondyna o wspaniałej figurze i spłoszonym spojrzeniu. Jej głos był chropowaty ze zmęczenia.

Doktor cierpliwie udzielał wyjaśnień. Raz czy dwa zirytował się. „Mówiłem już o tym - wysapał. - Ile razy będę powtarzał?” „Tyle, ile będzie potrzeba, drogi doktorze. Po to tu jesteśmy” - odpowiedział mu z ekranu głos Imbryka i wszyscy przypomnieli sobie o jego istnieniu. Doktor zamachał ręką na znak, że podziela tę opinię. Przeprósł dziewczyny i na jego oblicze wrócił dobroliwy uśmiešek.

- Teraz ty - ujął Esterhazego za ramię i pchnął lekko w kierunku dziewcząt. - Posadź je zgodnie z numeracją na identyfikatory. Większość z nich w ogóle nie zna liczb.

Musiał brać je za ręce i prowadzić do właściwego fotela; wydawały się kompletnie pozbawione inicjatywy. Jego z kolei onieśmielała obecność tylu pięknych kobiet, ich ujmująca nieporadność. Wydawały się łatwiejsze od szklanki piwa. Za jedno słowo lub gest można by mieć każdą z nich. Nigdy już nie będzie z nimi tak blisko. Rozdzielał ich - jego i je - następne dni, tygodnie, każdy z miesięcy, które złożą się na zgubę lub wyniesienie tych dwóch lub trzech spośród bez mała trzydziestu. Wtedy będą jednakowo nie do zdobycia, zarówno te, które użyją stryczka czy trucizny, jak te, które ołoczy przepych i uwielbienie należne królowym. Jaki bóg, u licha, decyduje o losie człowieka?

Jadły jak zwierzątka: pospiesznie, rzucając krotkie spojrzenia na boki. Znamienne nie dochodziło między nimi do kłótni. Używały przeważnie palców, zgrabne widelczyki i wykalaczki wpinając we włosy niemal automatycznym gestem. Niektóre zaczynały od opróżnienia kubka z napojem i kiedy Esterhazy podał im nowy, widział w ich oczach zdumienie. Wtedy te, które piły oszczędnie, jakby skąpymi liźnięciami, natychmiast wychylały zawartość, aby także dostać następny. Jeśli Esterhazy podawał go nie dość szybko, reagowały niecierpliwym pomrukiem.

- Radzę nie pic tyle, zaraz startujemy - przestrzegał z ekranu Imbryk. Obserwował przebieg posiłku niemal z zapartym tchem, podobnie jak doktor spod ściany, i Esterhazy pomyślał w pewnej chwili, że tych dwóch łączy rodzaj zмовы, do której on sam nie został dopuszczony.

- Trzy kubki max! - szepnął doktor. - Bo będą rzygać po starcie!

Dziewczyny siedziały nastrożone, z rozpaczalnymi brzuchami - ale zamiar odebrania naczyń z resztką soku kwitowały gniewnym posykiwaniem. Wydawały się rozczarowane z powodu zbyt szybkiego zakończenia uczty. Koniec jedzenia zaskoczył je w pewnym sensie. Za żadne skarby nie chciały oddać pustych tacek wysmarowanych musztardą. Jeszcze w ostatniej chwili próbowały wylizywać tłuszcz z wglebień.

- Eomir, mógłbyś nieco przyspieszyć? - zirytował się Imbryk. - Za kwadrans musimy stanąć na ogniu.

Dziewczyny stały się nagle leniwe i uparte. Już nic nie mówiły, nie dyskutowały, po prostu wyrzuciły im tarki i wrzuciły do przeczyszczonego wora. Dwie lub trzy rozkaszały się, pakując z determinacją do ust całą porcję pieprzu. Może to umiar, względnie brak umiaru podzielił je na królowe, samobójczynie i pozostałe barachlo? Trudna sztuka rezygnowania...

Na dziesięć minut przed startem zademonstrował im, w jaki sposób zapinać pasy i jak potem odblokować zatrask.

- Przecwiczmy - powiedział ruszając wzdłuż rzędu foteli. Nie więcej jak pięć chwyciło od razu, o co chodzi.

- Łaskawy panie..

- Tak?

- Nie chce się dopiąć. Proszę...

- Mnie też nie... O, tutaj.

Zaczynał podzielać wyrozumiały dystans doktora do tych ładniutkich zwierzątek. Trzeba było pełnego skupienia, by nie traktować ich jak istot niższych.

Właśnie pochylił się nad siedzącą przy ścianie brunetką, skakającą bezradnie w piastce niklowany prostokąt. Wyjął go, odnalazł zatrask i wsunął metalowy języczek w szczelinę. Dało się słyszeć ciche szczeknięcie. W tej samej chwili brunetka nachyliła się i koniec jej sprężystej piersi musnął wierzch dłoni Esterhazego.

- Głowe - powiedział z dumą Esterhazy. Zapatrzył się w jedne kragłosci, rozpychające bez litości dekolty pasażerki.

Chciał dodać: „Prawda, że to łatwiutkie?” ale nie zdążył. Brunetka chwyciła go za szyję i z siłą konia pociągnęła ku sobie. Koleżanka z sąsiedniego fotela, nie mniej wydekoltowana, udzieliła jej wydatnej pomocy. Esterhazy, wychylony do przodu, z ręką jeszcze na kłamrze, z blusem w oczach - nie zdołał utrzymać równowagi. Runął na dwie pary smukłych ud. Następne pół sekundy przekonało go, jak bardzo mylił się co do owieczek. Bez wątpienia miał do czynienia z fachowcami wysokiej klasy: jego ręce i głowę objęło jakby imadło.

- Leż spokojnie, łaskawy panie - syknęła brunetka - jeśli ci życie mile

Wolną ręką - Esterhazego ogarnął spazm śmiechu - sięgnęła do ust, wydobywając spod języka podobne do zyletki ostrze. Niosła je powoli w powietrzu, by kamery, doktor i Esterhazy zdążyli je sobie dokładnie obejrzeć, po czym nagłym ruchem przyłożyła listek stali do naprężonej szyi spedytora.

Esterhazy dusił się ze śmiechu. Ostrze mocniej przyłgnęło do skóry i fala wesołości minęła.

- Nie zbliżać się! - to krzyczał doktor. - Połóż trupem pierwszą, która się ruszy!

Esterhazy nie widział tego, lecz doktor cofał się mierząc przed siebie z małego pistoletu do dawania zastrzyków. Wziął go ze sobą na wszelki wypadek, w towarzystwie paru ampulek środków odżywczych i uspokajających. Dotarł do przegrody, wykreconą do tyłu ręką namacał łaster, z chyzością, której by mu po zazdrości nie jeden młodzieniaszek, prysnął w ciemną szczelinę i stalowe wrota zasunęły się za nim.

- Nie macie szans - wychrypiał Esterhazy. Jego głos przeszedł płynnie w syk bólu, gdyż któraś z panienek wzmocniła uchwyt. Pozostałe spoczywały grzecznie na swoich miejscach

Brzydka zabawa - powiedział Imbryk z ekranu. - Nie sądziłem, że normalnie wyglądający mężczyzna jest dla was aż taką atrakcją. - Jeżeli chciał zawstydzić napastniczkę, to się zawiodł. Zmienił ton: - Dobrze wam radzę, dziewczęta: puscie chłopaka, a ja postaram się o wszystkim zapomnieć. Nie spotka was kara. Film da się jakos wykasować.

Pan jest dowódcą tej kupy złomu? - warknęła brunetka. - Prawdziwa szkoda, że nie ten chłopak. Panie dowódcu, jeśli chce pan jeszcze kiedyś pograć z nim w karty, niech pan słucha uważnie: potrzebny nam ten ładownik. Można nawet powiedzieć - niezbędny.

Puscie chłopaka. Przywazałem się do niego. Jeżeli pan nie posłucha, będziemy zmuszone...

- Najpierw pozwólcie sobie coś wytłumaczyć. Żeby nie było między nami niedomowień dla mnie on już nie żyje. Żałuję bardzo, lecz nie będzie wymiany. Taki ładny młodzieniec. Chcecie powiedzieć, że załatwicie go tą zyletką? Zaczekajcie - dam więcej światła, a wy odsłońcie go trochę, żeby kamera mogła wszystko dokładnie zarejestrować. Nie bądźcie samolubne, ludzie, którzy będą oglądać ten film, też chcą mieć trochę przyjemności.

- Szefie, one chcą przetrzymać ładownik! Wtedy Hoam... - Esterhazy miał wrażenie, że słoń nastąpił mu na grdykę.

- Dziękuję za ostrzeżenie, chłopcze. Do startu mamy jeszcze jakieś trzy minuty i staniemy na ogniu punktualnie. Wysłałem właśnie do Hoam umówioną serię znaków oznaczającą gotowość do odlotu - i otrzymałem łaskawe przyzwolenie ich kapitanatu. Słyszysz ten odgłos? To silnik. Nawet sam diabeł nas nie zatrzyma. Teraz do was, panienki. Nie chce mi się wierzyć, żebyście spodziewały się, że tak sobie oddam wam ładownik. Wyglądacie przecież całkiem rozsądnie. Mówcie, do cholery, czego naprawdę chcecie. Jeszcze możecie uratować życie. Przejdźcie do reszty statku zostało zablokowane. Wystarczy, żeby wpuścić wam trochę gazu, a wytrujecie się jak muchy.

Ale pan nie wpuści. Jesteśmy zbyt cennym ładunkiem - w głosie brunetki pojawił się ślad kokieterii.

Nie wpuścisz - przyznał niechętnie Imbryk. - Właściwie wcale nie mam gazu.

- Niech pan posłucha: musimy udzielić pomocy naszym kumpłom z partyzantki. Wystarczy, że pan wylądować w pewnym miejscu, przechwyci paru ludzi, trochę dokumentów - i po krzyku. Niech nam pan pomoże.

- Najpierw puscie chłopaka.

- W porządku - brunetka cofnęła ostrze. - Przykro nam, jeśli najadłeś się strachu, mały. Naprawdę nie jesteśmy takie groźne.

- Nie bardziej niż drut kolczasty pod napięciem - powiedział Esterhazy masując grdykę. Zrobił głęboki wdech i z wyrazem bezzadności spojrział na Imbryka.

- Na co czekasz? zestrofował go tamten. - Doprowadź robotę do końca. - Patrzył przez chwilę, jak Esterhazy oddala się, demonstrując następnym pasażerom zapinanie pasów. - Bardzo mi przykro, dziewczynki, ale ładownik to nie to samo co rakiet. Nie może podnosić się i osiadać tyle razy, ile nam się spodoba. Zwłaszcza z pełnym ładunkiem. Paliwa jest akurat tyle, by wynieść to wszystko na orbitę. Poza tym Hoam mają nas na muszce wystarczy, że wyjdziemy z korytarza, a z przyjemnością zrobią z nas kulę plazmy. Innymi słowy nie mogę spełnić waszej uprzejmej prośby. Bardzo mi przykro.

- Oszukał nas! - wrzasnęła towarzysząca brunetki. Obie w mgnieniu oka wyswobodziły się z pasów i rzuciły ku Esterhazemu. Ten jednak mógł dać się zaskoczyć tylko raz. Jego ręce i nogi zawirowały w huraganowej parodii wiatraka, błyskawiczne ciosy dosięgły krewkich pań i powaliły je.

- Szkoda kopać takie piękne ciała - stwierdził w zadumie Imbryk. - A już myślałem, że jesteś dzentelmenem.

- Byłem - burknął smętnie Esterhazy. Podniósł z podłogi ostrze i schował je do kieszeni. Zamieszczał się do foteli - zwrócił się do dziewczyn. - Dlaczego nie startujemy? zdziwił się. Kabina zacisnęła się wokół jego głowy, jakby była z gumy. Siedzący posłusznie dziewczyny zwróciły ku niemu piękne twarzyczki w jakimś rytmicznym zdumieniu, obraz falował w oczach, jakby ktoś podgrzewał z tyłu film, na którym zostały uwiecznione. Poczul,

że nogi uginają się pod nim i nagle znalazł się bardzo blisko wlochaty wykładziny. Czuł pod palcami jej frapującą szorstkość. - Dlaczego nie start... - wymamrotał zdumiony i w tej samej chwili jakby wiatr zerwał się wewnątrz jego czaszki. Jego świadomość zgasła, zdmuchnięta jak świeca.

- ...i mu nie będzie - głos doktora brzęczał gdzieś niesamowicie wysoko. Moment - i wpłynął przez jakieś niebieskie okno pod kopułę, gdzie właśnie znajdował się Esterhazy. - O, już przeciera ślepka.

Obok doktora stał Imbryk ze swoją irokezką czupryną.

- Wypij to - ręka doktora z płaskowym kubkiem zawisała w powietrzu. Napój był chłodny, kwaskowaty.

- Bardziej chce ci się pytać niż pić, co? - uśmiechnął się Imbryk. - Nie krepuj się. Coś niecos mogłbym ci wyjaśnić na dzień dobry.

- Gdzie jesteś? Co się ze mną stało?

- Powoli. Jeśli chodzi o ładownik, właśnie dobija na automatach do „Hungarii”. My oczywiście znajdujemy się na jego pokładzie. Ładunek w komplecie - potarł dłonią policzek, niby to z zakłopotaniem, a Esterhazemu momentalnie przypomniało się dwadzieścia siedem owieczek. Niestety, były między nimi także tygrysy. - Co się tyczy twojego stanu: po prostu zasłabłeś. Takie rzeczy zdarzają się czasem. Widzisz, nasza wyprawa nie była taką sobie zwykłą wizytą handlową. Od dłuższego czasu żaden z transportowców Konsorcjum nie zabierał z Ziemi kobiet - ta pozycja po prostu zniknęła z listy towarów oferowanych przez Hoam. Kobiety zostały wycofane z Zabrakto. Znalazł się lepszy kontrahent. Nie wiem - wzruszył ramionami. - Konsorcjum podejrzewało, że Hoam coś knują - aż tu nagle proszę: damy znowu do wzięcia. Ceny bez większych zmian. My z doktorem zostaliśmy wtajemniczeni w plan - bo powstał plan, rzecz jasna - ty natomiast stałeś się elementem wyzwalającym, jądrem krystalizacji konfliktu. Jeśli coś wszczepili lub zasugerowali panienkom, mogliśmy zadziałać w miarę skutecznie na sprawy podkorowe, na ich podświadomość - rozumiesz, stadko młodych samczek z jednej strony, z drugiej samczek w pełnej krasie. Wymagana była bliskość fizyczna. Do spotkania tego zostałeś uwątkowany hipnotycznie. My ze swej strony przesunęliśmy zegary na ładownik o pół godziny do przodu.

- Po co?

- Żeby fikcyjnie przyspieszyć start i w ten sposób skatalizować ewentualny zamiar. Jeśli coś miało się wydarzyć, należało to przewidzieć, a nawet wywołać. Nie mieliśmy pojęcia, co się zdarzy, ale wiedzieliśmy - kiedy. Przynajmniej z grubsza. No i dawaliśmy sobie bezcenne pół godziny zapasu na ewentualne bardzo grube niespodzianki. Kiedy zasłabłeś - to są, niestety, koszty psychiczne całego zadania - weszliśmy po ciebie z doktorem i zabraliśmy także te dwie nerwuski. Reszta nawet się nie poruszyła. Nie tracąc ani chwili wystartowałem.

- No to wszystko w porządku! - rozochocił się Esterhazy. Świat znowu wydawał się jasny i uporządkowany, a z jego mózgu jakby ktoś zdjął ciężką płytę.

- Nie bardzo. Istnieje niestety podejrzenie, że eksces dwóch ślicznotek był tylko zadymą. Że ukrywał, maskował coś zupełnie innego. Pomyśl tylko: jaką ma się szansę zawładnięcia ładownikiem trzymając na kolanach faceta z żalgi? I jak łatwo się ciebie pozbyły... Nie, w ten sposób nie postępują ludzie, którym na czymś strasznie zależy. Rozumiesz? W gruncie rzeczy była to swego rodzaju rozgrywka: ponieważ czegoś się spodziewaliśmy, należało nam urządzić jakiś cyrk, byśmy nie czuli się zawiedzeni Hoam nie chcieli naszego ładownika. Z doświadczenia wiemy, jak takie ładowniki eksplodują, kiedy się je bierze.

- Więc o co im chodziło?

- Ba! prychnął Imbryk. - Nad tym dumają już lby nie takie jak nasze. Na początek mają niewiele: parę godzin filmu. Najważniejsze: wieziemy my - wypiał dumnie klatkę piersiową. - Samo jądro tajemnicy. Taaak - zamyslił się. - Upłynie dobrych parę miesięcy, zanim dowiemy się, co naprawdę zdarzyło się na naszym ładowniku.

Oramus Marek

(ur. 1952)

Publicysta, krytyk,
autor SF

Urodził się 23 marca 1952 r. w Sierpawiu koło Krakowa. Od 1961 roku mieszkał w Myslenicach. W roku 1975 ukończył studia na Wydziale Mechaniczno-Energetycznym Politechniki Śląskiej w Gliwicach (specjalność - energetyka jądrowa) i zapisał się na Pomagisterskie Dziennikarstwo. Studiów ukończył dwa lata później, pracując jednocześnie w warszawskiej redakcji TS „Politechnik” jako kierownik działu studenckiego.

Z fantastyką naukową zetknął się po raz pierwszy w siódmej klasie szkoły podstawowej, kiedy przeczytał „Astronautów” Stanisława Lema. Pierwsze próby pisania własnych tekstów podejmował w liceum: pierwsze opowiadanie „Bunt na Adonie” wzorowane na lekturach prozy Fiakowskiego, posłał do „Młodego Technika” - otrzymał je z powrotem z listem zachęcającym do kontynuowania prób. Kolejne dwa zostały również zgłoszone do druku w „Młodym Techniku” - „Sposób umierania” zostało ostatecznie wydru-

kowane w „Przeglądzie Technicznym”, a „Witaj w domu” opublikował „Nowy Wyrz” (1977/9) redagowany przy współpracy OKMF/SF (opowiadanie „Witaj w domu” odrzucił wcześniej Zbigniew Przyrowski jako zbyt pesymistyczne). Na dobrą sprawę Marek Oramus debiutował dopiero w 1975 roku w czerwcowym numerze „TS Politechnik” opowiadaniem „Eutanazja”.

We wrześniu 1977 roku autor „Arsenału” został sekretarzem redakcji „TS Politechnik”. Uruchomił tu stały, comiesięczny kącik SF, gdzie ukazywały się opowiadania, szkice, relacje z imprez (debiutowali tu Tadeusz Markowski, Andrzej Zimniak, Stawomir Pikula, Edwin Kupienko, swoje utwory drukował też Janusz Zajdel). Współpraca z OKMF/SF zaowocowała zdobyciem dla fantastyki tamów prasy, gdzie Marek Oramus umieszczał sporo opowiadań znanych dziś autorów (m.in. w „Przeglądzie Technicznym” „Wilki na wyspie” - Julia Nideckiej, „Jedyny prawdziwy” - Jacka Rodka i Dariusza Torunia, „W cieniu Slinka” - Wiktora Żwikiewicza, „Podarunek morza” Zbigniewa Prostaka). Był również selekcjonerem gorzowskiej antologii „Bunt robotów”. O fantastyce naukowej pisywał do „Przeglądu Technicznego”, „Razem”, „Merkunusza”, „Filmu”. Uczestniczył w kilku próbach powołania do życia pisma poświęconego fantastyce, współpracował z grupą, która w 1980 roku organizowała „Sferę”. Był wewnętrznym recenzentem Krajowej Agencji Wydawniczej (opiniował m.in. „Imago” - Żwikiewicza, „Całą prawdę o planecie Ksi” - Zakcia, „Dzień czerwonego giganta” - Kury, „Miliardy białych płatków” - Białczyńskiego, „Zamieszkała planeta” - Stefana Wenfelda) jednak z powodu nieuwzględnienia

jego uwag krytycznych zrezygnował z tego zajęcia. W „Politechniku” pracował do września 1980 przechodząc na stanowisko publicysty. Od stycznia 1981 roku rozpoczął pracę w „ITO”, w dziale kulturalnym, jako publicysta. W październiku 1981 roku został wybrany zastępcą redaktora naczelnego tego pisma.

W 1981 roku poślubił Joannę Sachs, w sierpniu 1981 roku został ojcem córki Dominiki. W 1982 roku przeprowadził się z Warszawy do Rybnika, rodzinnego miasta żony.

Rezygnując z etatowej pracy dziennikarskiej zajął się fantastyką. W 1982 roku opublikował w „Przeglądzie Technicznym” szkic o Philipie Dicku, zaczynający nowy etap jego pisarstwa. W ostatnim numerze „Przeglądu Technicznego” tegoż roku ukazała się pierwsza recenzja „z gwiazdkami”, inaugurująca stałą rubrykę poświęconą omawianiu literatury SF. Po pięcioletnim oczekiwaniu Marek Oramus wydał w „Czytelniku” powieść „Seni zwycięzcy” (1982), a w antologii „Spotkanie w przestworzach” (KAW 1982, tom 2) zamieścić swoje opowiadania „Witaj w domu”, „Drwałe i dziewczyna”. W roku 1984 ukazała się jego kolejna powieść „Arsenal” (Wyd Iskry seria „Fantastyka-Przygoda”). Obecnie przygotowuje do druku „Wypaszenie osobiste” (zbiór wywiadów, szkiców i recenzji poświęconych szeroko rozumianej fantastyce - Wyd Iskry) oraz „Hieny cmentarne” (zbiór opowiadań SF dla Wyd Śląsk). Zawartość „Drwałe i dziewczyna”, „Hieny cmentarne”, „Witaj w domu”, „Bariera immunologiczna”, „Kompleks Hioba”, „Osada Meteor”, „Euta-

polemiki

NIEPOROZUMIENIE

Wojciech Gutowski

Na łamach „Fantastyki” od dłuższego czasu ukazują się hasła osobowe „Słownika polskich autorów fantastyki” (w oprac. Andrzeja Nieśwadowskiego). Można przypuszczać, że „Słownik” jest przedsięwzięciem zamierzonym na dużą skalę. Obejmuje pisarzy różnych epok (od literatury staropolskiej po wiek XX), różnej też miary - od znanych i wybitnych po zupełnie zapomnianych. Mogłoby się wydawać, że kryterium włączenia danego pisarza do „Słownika” nie powinno budzić najmniejszych wątpliwości: pisarz ów powinien być, choć w części swej twórczości, „autorem fantastyki”. Oczywiście pojawia się pytanie: jak szeroko rozumieć samo pojęcie „fantastyki”? Powyższe pytanie szczególnie może zaniepokoić czytelnika 4 nr „Fantastyki” z bieżącego roku, gdzie pomieszczono charakterystykę sylwetki twórcy: młodopolskiego poety, dramaturga, prozaika, publicysty Tadeusza Micińskiego (1873-1918).

Niezorientowany czytelnik, przyzwyczajony do zawartości „Słownika”, zapewne będzie szukał we wspomnianym tekście informacji o utworach z zakresu science fiction, weird fiction czy fantasy. Czy je odnajdzie? Czy rzeczywiście należało umieszczać w „Słowniku autorów fantastyki” sylwetkę autora „Nieloty”, „Księgi tajemnej Taty”, neoromantycznego wizerunku, twórcę halucynacyjnych wizji i onirycznych pejzaży, pisarza reinterpretującego tradycję satanizmu (lucyferyzm) i usiłującego stworzyć nową, wieloźródłową, synkretyczną ideologię dla Polaków początku XX wieku? Nie jest to bynajmniej pytanie retoryczne: cały wywód - w polemice z autorem wzmiankowanego hasła - chce na nie odpowiedzieć.

Autor hasła bardzo rzecz upraszcza, gdy twierdzi, że Miciński był „pisarzem nierozumianym”. Kiedy nim był? Począwszy od debiutu książkowego („W mroku gwiazd”, 1902) był przyjmowany entuzjastycznie i bardzo krytycznie. Po prostu był pisarzem kontrowersyjnym. Trzeba dodać, że obecnie w ogóle nie ma sensu mówić o nierozumieniu Micińskiego, skoro od kilkunastu lat wielu badaczy zajmuje się różnorodnymi aspektami jego pisarstwa, pojawiają się lomy studium (świadczą o tym choćby zamieszczone na końcu hasła „bibliografia wybrana”), a co ważniejsze ukazują się nowe edycje utworów (poezje, dramaty, poematy prozą), ważnymi wydarzeniami stają

się inscenizacje dramatów. Oczywiście trzeba przyznać rację autorowi słownikowego hasła, gdy powiada, że Miciński nadal „pozostaje autorem elitarnym”, ale taki jest zwykły los twórców niekonwencjonalnych, eksploratorów nowych obszarów egzystencji, zaścianowanych możliwością czerpania z zasobu symboliki najodleglejszych kultur.

Czy z powyższego wynika, że twórczość pisarza elitarną, kontrowersyjną, synkretyczną, wieloznaczną nie należy popularyzować dopóty, dopóki twórczość ta nie zostanie wyczerpująco opisana w obszernej monografii? Nic podobnego, były tylko popularyzatorskie uprzedzenia przynosiło oczywistych błędów, przeinaczeń, symboliki, laków właśnie, jakie spotykamy w „Słowniku autorów fantastyki”.

Wskazmy tylko najważniejsze błędy faktograficzne i interpretacyjne osobowości.

Autor hasła wymienia utwór pt. „Życie nasze” (1907), które nazywa „manifestem politycznym”. W rzeczywistości istnieje „Życie nowe” (1907), poemat polityczny, w którym, jak często u Micińskiego, wiersz swobodnie przechodzi w prozę poetycką i w stylizowaną publicystykę.

Bezkrytycznie, za „Obrazem literatury polskiej” (najstarszy powojenny zarys twórczości Micińskiego) datuje się powstanie poematu prozą „Niedokonany” na rok 1907, choć wystarczy zajrzeć do później wydanej 15 tomu bibliografii „Nowy Korbut” by odnaleźć tam ustalenie bardziej prawdopodobne - 1902-1904.

Swój „rewelacja” jest przypisanie Kazimierzowi Wyce opracowania i edycji „poezji i prozy” Micińskiego. Natomiast pomija się zupełnie wzorcową edycję dramatów przygotowaną przez Teresę Wroblewską (t. 2, 3 i 4 Wyd. Literackie) (Dodaćmy przy okazji, że prozą Micińskiego na

razie nie była wznawiana, jeśli nie liczyć pogranicznych pod względem gatunkowym „Poematów prozą”).

Podobnym „odkryciem” jest zaliczenie Stanisława Brzozowskiego do „apologów Micińskiego”, gdy właśnie dla autora „Legendy Młodej Polski” Miciński pozostał pisarzem kontrowersyjnym. Osobliwym „komplementem” jest użycie terminu „apolog” pod adresem współczesnych badaczy (chodzi o Edwarda Balcerzana i Marię Podrazę-Kwiatkowską), których badania - zwłaszcza studia M. Podrazę-Kwiatkowskiej - pozwoliły uszytywać twórczość Micińskiego poza - tak charakterystycznymi dla krytyki Młodej Polski - „apologizmem” i „szyderczymi” stylami odbioru.

Powyższe zniekształcenia faktografii i recepcji świadczą, iż autor hasła pośpiesznie gromadził wiedzę o Micińskim i być może czerpał ją z mało wiarygodnych źródeł. Ale też błędy rzeczowe można usprawiedliwić charakterem publikacji, tematem redakcyjnej pracy, które nie zawsze pozwala na sprawdzenie czy porównanie źródeł. Errare humanum est.

Gorzej natomiast, gdy interpretacja, choćby skrócona, ale mająca ambicje ukazania najistotniejszych cech twórczości, okazuje się deformacją i przypomina źle skieconą mozaikę niespójnych sądów.

Jak można pisać, że Miciński „ekspresjonizm i nadrealizm pojmował jako przemieszenie elementów stylistycznych” itd., skoro wiadomo, że programy tych kierunków literackich (zwłaszcza nadrealizm) ukształtowały się później, a Micińskiego można najwyżej nazwać preekspresjonistą czy prenadrealistą? (identyczny błąd popełnił Andrzej Niemiński, pisząc w „Fantastyce” 1984 nr 9, iż „on (Miciński) właśnie w prozie a

słownik polskich autorów fantastyki

nazja", „Sposób umierania”, „Barany i armia lwów”, „Trudno nie być bogiem”, „Ziemia – 4104”, „Kwadrulociczne delirium tremens”. Większość tych opowiadań ukazała się już na łamach „Problemów”, „Przeglądu Technicznego”, „Fantastyki” i „Feniksa”

Autor „Arsenału” należy do czołowych twórców polskiej fantastyki naukowej debiutujących w drugiej połowie lat siedemdziesiątych. W swoich opowiadaniach (m.in. „Witaj w domu”

„Drwa i dziewczyna”, „Hieny cmentarne” – to ostatnie znane czytelnikom naszego miesięcznika jako „Tiatocell”) – ukazuje zderzenie dwóch obcych sobie kultur, z których jedna – kierując się prawami ekonomii, postępu technicznego za gubita podstawowe wartości człowieczeństwa niepowtarzalność indywidualnych losów, różnorodność w spojrzeniu na świat, możliwość decydowania o swoim życiu. Tematem „Sennych zwycięzców” są dzieje kosmiczne, Arki, statku wracającego z podróży ku gwiazdom, który staje się

obiektem manipulacji socjotechnicznych. Ziemska kultura przyszłości wykształciła polizbę zbiorowych gier z udziałem socjokaskaderów, którzy dokonują przekształceń całych zbiorowości dążąc do zwiększenia bądź osłabienia entropii społecznej. Fabuła książki opisuje losy takich działań przetapiających się w psychice bohatera, który boleśnie przeżywa moment inicjacji – rozpoznania reguł gry, musi dokonać wyboru, opowiedzieć się po którejś ze stron

Książka jest powieścią wielopłaszczyznową, tematykę socjologiczną uzupełniają odwołania kulturowe, parafrazy mitów, motywów literackich,

próby odpowiedzi na pytanie czym jest wiedza ludzka, na ile zależy ona od sposobów poznawania i interpretacji świata. Oramus sięga również do wątków o charakterze autolematycznym.

W kolejnej powieści „Arsenal” mamy do czynienia z opisem spotkania innej cywilizacji: ukazany w kategoriach parabol społecznej. Tytułowy Arsenal jest rodzajem sondy kosmicznej przekaznika informacji o niespotykanych możliwościach, modelującego program działania. Jego partnerem staje się Adam Nyad, człowiek o bogatej psychice, postępujący wbrew obowiązującym wzorcom i normom zachowania. W starciu z wyśłannikiem obcej cywilizacji, które przybiera postać swistej gry, pojedynku intelektualnego sięgającego najgłębszych pokładów osobowości bohatera, człowiek zostaje pokonany, ale Arsenal docenia jego wartość jako partnera uczącąc mu swojej niespotykanej mocy. Akcja powieści, która refleksjami filozoficzno-społecznymi przypomina „Solaris” Stanisława Lema, jest zapisem na polu onirycznym, kreuje obrazy podświadomości, odwołuje się do dziedzictwa wyobraźni. Aliuzyjność historii wynika nie tylko z możliwości dialogu, dorównania przeciwnikowi w sytuacji przerażającej człowieka, ale z samych warunków zaistniałych na pokładzie statku kosmicznego: spotkanie z obcą cywilizacją jest okazją do ubezwłasnowolnienia Ziemi, narzucenia im cudzej woli poprzez tzw. pośredników akceptujących warunki „obcych” w zamian za przywileje należne klasie przywódczej. „Kontakt” jest także konfrontacją rzeczywistości i wyobraźni, próbą wyjścia poza człowieczeństwo, odwołaniem do prawd uniwersalnych, archetypicznych.

Twórczość Marka Oramusa dowodzi, że współczesna proza SF może być znakomitym dopełnieniem wielu problemów problemowych penetrowanych przez literaturę naszych czasów. Jego książki mówią o uwikłaniu człowieka w historię, poszukiwaniu granic wolności, podstawowych wartości w chaosie elementarnych pojęć i znaczeń. To przecież te same sytuacje, z którymi zmagają się twórcy „młodej prozy”. Siejak Bilner Łoziński, Bielecki. Jest w nich zarówno żywy, beżosredni język plastyczny opisów, pogłębienie sylwetek psychologicznych, jak i nieustanny optymizm, przesłania, kazający wierzyc w moralną siłę człowieka, zdolność obrony przed złem.

Być może jest Oramus dłużnikiem Lema, pośrednio Conrada w „wymierzaniu sprawiedliwości wdziałnemu światu”. Tak naprawdę w jego sciencyficznej, pozornie brutalnie wyrównanej fantazji, mieści się niezgoda na rzeczywistość, niezwykle ostre widzenie świata, tęsknota za wolnością, jakas próba ucieczki w stronę baśni, melodramatu.

W listopadowym numerze „Fantastyki” rezygnuje wyjątkowo z prezentacji „pożółkłych kartek”. Tak się bowiem składa, że dzięki uprzejmości Autora dysponujemy jednym z rozdziałów nowej powstającej książki „Dzień drogi do Meon” i właśnie fragment tej powieści stanowiący zamkniętą całość publikujemy w dziale „literatury polskiej”.

Bibliografia wybrana:

- M. Parowski (w.), „Fantastyka” 1983/1, 1985/3

polemiki

dza do polskiej poezji założenia europejskiego ekspresjonizmu i nadrealizmu”, podkreślił moje – WG).

Jaka wartość informacyjna i interpretacyjna posiada sąd głoszący, iż pisarz „wydobył ekspresję losów ludzkich za pomocą metafor, symboli”, skoro podobne „wydobywanie” cechuje całą literaturę symbolizmu (i szerzej Młodej Polski) – poezję, dramat i prozę?

Na jakiej podstawie autor hasła autorytatywnie twierdzi, iż „najciekawsza, wciąż aktualna, zadziwiająca precyzją określeń (podkreślił moje WG) jest (...) nie tyle forma jego utworów (...), ile filozoficzna problematyka literackich wystąpień”? Czyż nie jest to apologia czystej wody, nie wiadomo w jakim celu głoszona, skoro już w następnym zdaniu dowiadujemy się, iż ową „precyzję określeń gwarantuje światopogląd pisarza, który – w symbolizującej deformacji autora hasła – składa się z manicheizmu, mesjanizmu i panslawizmu”? (Wyjaśnieniu podobnych dziwności interpretacyjnych należałoby poświęcić osobny artykuł!)

Trudno spodziewać się, by przeciętny czytelnik „Fantastyki” potrafił się, o co chodzi, gdy spotyka np. taką zbitkę myślową: „Autor »Nietoty« zapożycza się u Nietzschego, sięga do teorii okultystycznych, uznając gwiazdy za siedlisko duszy, z których zeszła w odciały i na które powróci aby stworzyć przedświecie nieskończoności”. Kim „jest zatem Micński epigonem nietzscheanizmu, zwolennikiem reinkarnacji, kolega Heleny Bławackiej, twórczyni teozofii, czy może prekursor Georga Gurdżiewa, amerykańskiego mistyka (pochodzenia gruzińskiego), który w gwiazdach dostrzegł żywe istoty”? A może zwolennikiem „teorii kosmicznych, skoro tak podobno bardzo wnerzył w naukę, „która zapewni przyszłości człowieka możliwość panowania we Wszechświecie”? Mamy tylko nadzieję, że czytelnik nie zrażony tak zwięzłą „syntezą”, sięgnie do jakiejś pozycji z „bibliografii wybranej”.

Powróćmy do pytania postawionego na początku: dlaczego Micński znalazł się w „Słowniku”? Czy autor „Nietoty” jest w istocie „autorem fantastyki”?

Z wywodów autora hasła można domniemywać, że fantastykę „pojmuję on bardzo szeroko,

włącza do niej m.in. poetycki oniryzm, formy ekspresji podświadomego, niektóre koncepcje metafizyczne czy przeżycia mistyczne. W ogóle zdaje się utożsamiać „fantastykę” z „wyobraźnią” najszerzej pojmowaną, poetycką (romantyczną) mistyczną, parafilozoficzną itp. Czy tego rodzaju poszerzenie znaczenia „fantastyki” (identyfikacja z „wyobraźnią”) da się obronić, czy jest funkcjonalne? To osobny (i ważny) temat, godny obszerniejszego artykułu. W tym miejscu zwrócić uwagę na trzy warianty tego spotkania (między „wyobraźnią” a „fantastyką”).

1) Pierwszy wariant redukcyjno-mistykatorski, wyznacza piśarstwo Encha von Dänikena. W tym wypadku swoistość wyobraźni mistyczno-religijnej zostaje zredukowana do pseudofilozofii w stylu najbardziej ubożuchnej myślowości literatury science fiction.

2) Anektowanie wyobraźni „poetycko-mistycznej” w obszar „fantastyki” można też tłumaczyć „kompleksem niższości”, którym czują się obciążeni autorzy science fiction, czy fantastyki w stosunku do swych kolegów, parających się literaturą „poważną” (kompleks ten wydaje się uzasadniony – twórczość Stanisława Lema jest zjawiskiem zupełnie wyjątkowym i na zasadzie kontrastu uwypukla myślową małość oraz imaginacyjną kiczowalność polskiej science fiction). Formą przewyciężenia owego kompleksu niższości może być maksymalne poszerzenie tradycji, wzbogacanie swej genealogii o pisarzy uznanych i modnych. Tylko czy tego rodzaju manipulację zmienia dość zakasną sytuację? Wystarczy odwołać się do praktyki i porównać zawartość myślową i poziom artystyczny fragmentów publikowanych na „pożółkłych kartkach” ze złożami grafomanii, zalegającymi „niepożółkłe” kartki „Fantastyki” (w nr 4/87 rekordy grafomanii biją teksty z cyklu „Hotlyss Hotland przedświata”).

3) Trzeci i najbardziej owocny spotkanie „fantastyki” z wyobraźnią polegałoby na przesiedzeniu zmian, jakim podlegają klasyczne toposy i romantyczne fantazmaty w ujęciu współczesnych fantazyjotwórców. Inaczej mówiąc, warto byłoby odpowiedzieć na pytanie: jaki żywot w literaturze masowej II połowy XX wieku wiodą dawne wizje mistyczne i głosy podświadomego?

Wydaje się, że prezentacja twórczości Micńskiego na łamach „Fantastyki” mogła być znakomitą pretekstem do próby spotkania w wariacie trzecim. Niestety okazja została zmarnowana.

Intencją moich wywodów nie jest, wbrew pozorom, obrona „wielkiego” Micńskiego przed włączeniem go w rzekomo „niegodny” krąg autorów fantastyki. Cała ironia nieudanego spotkania na łamach „Fantastyki” polega na tym, że w wieloznacznej i wielokształtnej twórczości Micńskiego można względnie łatwo odnaleźć utwory, w których obszary „wyzwolone, wyobraźni” łączą się z fantastyką w węższym znaczeniu (w tym wypadku inspirowaną parapsychologią i okultyzmem).

Na „pożółkłych kartkach” z powodzeniem mogłyby się znaleźć niektóre poematy prozą, np. „Dolina Mroku” czy „Bezzałej”, dla których czytelnik mógłby odnaleźć wyraźne konteksty w twórczości E.A. Poe czy S. Grabskiego.

Mozna przypuszczać, że autor hasła zbytnio zawierzył magii tytułu. W celu zaprezentowania fantastyki Micńskiego wybrał dwa luźne fragmenty z nieukończonych powieści „Mené-Mené-Thekel-Upharism”, której podtytuł „Quasi una phantasia” (wzorowany zapewne na tytule utworu Beethovena „Sonata quasi una fantasia”) był – jak można się domyslać – argumentem decydującym o wyborze tekstów. Moje przypuszczenie może potwierdzać fakt, iż autor hasła przypisuje niepomiarne znaczenie temu fragmentarycznemu utworowi i dopisuje doń naprawdę „fantastyczną” (w pejoratywnym znaczeniu tego słowa) interpretację (zdaniem autora hasła pojawia się tu problem lucyferyzmu, „w najczystszej postaci”, w jakiej zatem postaci ten problem pojawia się w poemacie prozą „Niedokonany” i w formie poezji „W mroku gwiazd”?).

Doprawdy trudno zrozumieć, dlaczego czytelnikowi podaje się szlępy arcyimiodopolskiego obrazowania nie związane z „fantastyką” w węższym znaczeniu, gdy nadarzała się okazja wyeksploatowania wątków ściśle fantastycznych w twórczości jednego z najbardziej oryginalnych pisarzy przełomu XIX i XX wieku. Rzadko kiedy tak doskonale możliwości zawarte w materiale ulegają niepotrzebnemu zmarnowaniu.

Trudno nie doceniać roli polemiki w naszym dość monotonnym życiu literackim. Kiedy wszyscy zgadzają się ze sobą, nikt nie protestuje, nie zgłasza wotum separatum – życie literackie zamiera. Brakowało polemiki w „Fantastyce”, brakowało rzetelnych głosów krytyki, prócz zbiorowego chóru czytelników „wyrzucenie poźdźdźle kartki”. Czyżby wszyscy wszystko przyjmowali „na wiarę”? A może nikt „słownika” nie czyta?

dostarczałem, widac nie dość uważnie prześledziłem korektę szkicu

4. Nieprawdą jest natomiast, że bezkrytycznie datuję za „Obrazem Literatury Polskiej” powstanie poematu prozą „Niedokonany” na rok 1907. Nie korzystałem z „najstarszego, powojennego zarysu twórczości Mirowskiego”, sięgnąłem do źródła najnowszego: „Literatura polska. Przewodnik encyklopedyczny” (Warszawa, PWN

1984). Być może, autorka hasła pani Bożena Wojnowska powtórzyła bezkrytycznie informację z „Obrazu Literatury Polskiej”. Ale czy nie wdajemy się przypadkiem w szczegółowe spory filologiczne, skoro sam Wojciech Gutowski przyznaje, iż chodzi wyłącznie o „ustalenie bardziej prawdopodobne”?

9. Z podważaniem wartości informacyjnej sądu „wydobył ekspresję losów ludzkich za pomocą metafor, symboli” trudno polemizować. Skierowałem uwagę czytelnika na stronę poetyki symbolizmu. Moje sformułowanie zostało poparte konkretnym przykładem – tekstem Mirowskiego – zamieszczonym na „pożołych kartkach”. Jest to o wiele więcej, aniżeli ogólne określenie gustu i tendencji epoki.

10. Podtrzymuję opinię, że „najciekawsza, wciąż aktualna jest filozoficzna problematyka literackich wystąpień (Mirowskiego)”. Wyjaśnieniu tej kwestii poświęciłem dwa, kolejne akapity szkicu. Zastanawiałem się istotnie nad wprowadzeniem bardziej szczegółowych odwołań do tekstu Czesława Łatawca, ale słownik nie powinien być zbiorem cytatów raczej zachęcać do bardziej samodzielnych studiów. Nie wiem doprawdy, na czym polegają moje „dziwności interpretacyjne” (chodzi o manicheizm, mesjanizm, panslawizm). Przecież pisałem: „Mirowski pojmował (...) świat w duchu koncepcji manichejskich jako walkę dobra ze złem, a koncepcje te łączył z wątkami mesjanicznymi i panslawicznymi tworząc wizję na miarę „Króla ducha” Juliusza Słowackiego, swego literackiego patrona”. To mało? Jakże to „deformacja”? I dlaczego znowu polemista przekręca mój tekst tak, aby odpowiadał jego wizji świata?

11. Jest tak i tak. „Autor „Nietoty” zapożycza się u Nietzschego, sięga do teorii okultystycznych”. W jednym zdaniu zawarłem dwie informacje: obie – jak sądzę – prawdziwe. Być może zabrakło średnika, znaku interpunkcyjnego, bardziej zdecydowanie oddzielającego oba stwierdzenia. To tyle. Ironia wydaje się nie na miejscu.

12. I kwestia najważniejsza. Pojmowanie „fantastyki”. Nie identyfikuję fantastyki z wyobraźnią. Założenia słownika przedstawiłem w pierwszym numerze miesięcznika. Na ogół pozostaje wierny tej oto definicji: „Fantastyka to typ twórczości literackiej, w sposób swoisty budujący świat przed stawiony: składają się nań elementy, które nie odpowiadają przyjętym w danej kulturze kryteriom rzeczywistości” (definicja pochodzi z PWN-owskiego „Słownika terminów literackich”).

13. Trzy warianty społowania między fantastyką a wyobraźnią uważam za interesujące, ale dobor przykładów zupełnie do mnie nie przemawia. Jest tendencyjny, arbitralny. Opiera się na magii, na zwisk. Nie sądzę, aby twórczość Lema była już wiskiem zupełnie wyjątkowym i uwypuklała myślową miłośność oraz imaginacyjną kiczowatość polskiej science fiction. Jest to fantastyka stawiająca sobie inne zadania, cele, rozpoznania. Co więcej, Stanisław Lem w swoich ostatnich utworach („Biblioteka XXI wieku”, „Wizja lokalna”) zdaje się powtarzać wcześniejsze diagnozy kulturowe – natomiast młodzi twórcy (wymienię choćby Oramusa i Żwikiewicza) diagnoz tych dopiero poszukują, dopasowując różne klucze do opisu świata, przy czym literatura poprawność ich tekstów bynajmniej nie zaintryguje. Pisałem o tym sporze na łamach „Życia Literackiego” (1983/115). Pisma L-A” (1984/12), „Przeglądu Humanistycznego” (1979/10), „Miesięcznika Literackiego” (1985/12). Przepraszam, że w ten sposób odpowiadam na niezwykle istotną kwestię. Nie jest to ucieczka, lecz konieczność. To, co publikuję na łamach „Fantastyki” jest nikłym ułamkiem moich wypowiedzi. Najbardziej boli posądzenie o manipulację, dobaranie genealogii. Nie dorabiałem żadnej genealogii. Opisywałem i opisuję zawsze pewien stan rzeczy. Wydobywam z zapomnienia nazwiska autorów małego i średniego formatu. Staram się pisać i nacze o twórcach cenionych i uznanych

Nieporozumienie czy kontrowersje?

Andrzej Niewiadowski

Z tym większą satysfakcją przeczytałem list pana Wojciecha Gutowskiego, autora monografii poświęconej twórczości Tadeusza Mirowskiego oraz wydawcy jego „Poematów prozą”. List polemizujący z moim szkicem o Tadeuszu Mirowskim opublikowanym w kwietniowym numerze „Fantastyki”. Wypowiedź pana Gutowskiego przedstawiam w całości, tym chętniej iż Autor zamieścił w niej kilka ważnych spostrzeżeń na temat „wyobraźni” i „fantastyki”. Ale w zasadniczym przedmiocie sporu zarzuty mojego przeciwnika nie wydają się przekonujące. I stąd odpowiedź, próba obrony.

1. Czy rzeczywiście, „niezorientowany czytelnik, przyzwyczajony do zawartości słownika, będzie szukał we wspomnianym tekście informacji o utworach z zakresu science fiction, weird fiction czy fantasy”? Nie sądzę. Uważna lektura słownika przekonuje, że pojawiali się w nim autorzy różnej proweniencji, niekiedy jak najdalsi literackiej konwencji SF (np. Gombrowicz, Konwicki, Krasicki, Lemański etc.). Miesięcznik, którego jestem redaktorem, nie prezentuje tylko literatury SF – mówi o fantastyce i taki jest właśnie słownik – obszerny, wieloznaczny, bogaty, rozrzucający się pod piórem w system literackich odniesień. Co więcej Autor polemiki przeczy samemu sobie, skoro

2. Mówi o „niezorientowanym czytelniku”, a przecież „od kilkunastu lat wielu badaczy zajmuje się różnorodnymi aspektami pisarstwa (Mirowskiego) pojawiają się formy studiów (...), a co ważniejsze ukazują się nowe edycje utworów (...), znaczącymi wydarzeniami stają się inscenizacje utworów”. Jest chyba inaczej – właśnie tak, jak pisałem: Mirowski bywa nader często twórcą niezrozumianym, bowiem do „szeregowych czytelników” a ściśniętym twierdząc, nawet czytelników bardziej przygotowanych (np. studentów polonistyki) synkretyzm jego utworów nie dociera. To rzeczywiście niełatwo udowodnić – może pośrednio niewielkim zainteresowaniem studentów, niskim nakładem książek, ograniczoną publicznością teatralną. Chyba tylko w ten sposób.

3. Ma Autor polemiki rację, że istnieje „Życie nowe” (1906) poemat (nie pamphlet) polityczny. Jest to mój błąd, choć w maszynopisie go nie

dotrzymałem, widac nie dość uważnie prześledziłem korektę szkicu

5. Nie wiem, na czym polega ironiczna uwaga dotycząca „edycji” poezji i prozy Mirowskiego dokonanej jakoby przez Kazimierza Wykę. Nie pisałem o edycji (to łatwo sprawdzić – wystarczy zajrzeć do tekstu). Kazimierz Wyka jest autorem wstępu do powojennego wydania „W mroku gwiazd”. Wzorową edycję dramatów przygotowaną przez Teresę Wroblewską istotnie pominąłem – pisałem o recepcji, inscenizacjach teatralnych, właśnie ta kwestia wydała mi się szczególnie ważna.

6. Sprawa apologii Mirowskiego. Brzozowski i jego następcy Rzeczowe, sumienne, odkrywcze studia Edwarda Balcerzana i Marii Podraży-Kwiatkowskiej wyjaśniają wiele nieporozumień narosłych wokół recepcji Mirowskiego. Czy są to studia o charakterze apologetycznym? Tak je określiłem. Apologia to wszak obrona autora przed zarzutami przeciwników, a nie – bezkrytyczne oznajmianie wiary. Nie widzę w tym nic niesłusznego. Żaden to „komplement”. Prędzej dowód „intelektualnego powinowactwa” w ocenie dorobku Mirowskiego.

7. Nie gromadziłem wiedzy o Mirowskim „pośpiesznie”, nie czerpałem jej z „mało wiarygodnych źródeł”. Być może głównym moim błędem było pominięcie w „bibliografii wybranej” znakomitej książki Wojciecha Gutowskiego „W poszukiwaniu życia nowego. Mit a światopogląd w twórczości Tadeusza Mirowskiego” (Warszawa – Poznań – Toruń 1980). Błąd ten niniejszym naprawiam.

8. Kwestia „ekspresjonizmu” i „nadrealizmu”. Nie popełniłem uchybienia chronologicznego zarówno w tym, jak i w poprzednim artykule. Mirowski istotnie „wprowadził do polskiej poezji założenia europejskiego ekspresjonizmu”. Czy był pre-ekspresjonistą? Oczywiście. Przecież pisałem: „sięgał w stronę ekspresjonizmu i nadrealizmu, przeciwstawiał bądź zapowiadał kierunki, które miały dopiero nadejść”. I dalej (...) w

nych. Cieszy mnie, jeśli znajduję w historii literatury polskiej utwory prekursorskie wobec ustaleń współczesnej science fiction, bo i coś w tym dziwnego ze „elementy XX-wiecznej konwencji” można doszukać w prozie XIX a nawet XVIII stulecia? Nie jest to jednak fantastyka naukowa w ścisłym tego słowa znaczeniu – nie przypominam sobie, abym kiedykolwiek określił w ten sposób twórczość Adama Mickiewicza czy... Cypriana Kamila Norwida.

Nieprawdą jest, że teksty prezentowane na pozostających kartkach odbiegają poziomem artystycznym od prozy publikowanej w dziale polskim. Jest to uogólnienie wysokiego lotu, pozostawiając kartki rejestrują wyjątkowe style autorów, a autorów „fantastyki” miał śmy różnych, także grałomanów. Cóż ciekawego można powiedzieć o literackich wartościach tekstów Barszczewskiego, Czyżowskiego, Niezabitowskiego (to tylko kilka przykładów)? Drażnią też „złoża grałomani” przypisywane działowi polskiemu w „Fantastyce” – jakoś niezręcznie redaktorowi pisma na te zarzuty odpowiadać. Może tylko tak, że przez pięć lat istnienia „Fantastyki” zaproponowaliśmy czytelnikom wielopostaciowe modele literatury SF, że te nową prozę przyszło nierzadko tworzyć od podstaw, że miesięcznik był swego rodzaju awangardą nowych kierunków tendencji, stylów, że w SF – jak i w całej literaturze – liczą się nie dokonania szeregowych wyrobników pióra (takich wielu i w innych miesięcznikach), lecz kilkadziesiąt tekstów, które po latach ocala swoją tożsamość. Może udało się nam zaproponować kilka takich tekstów w konkursowej antologii „Trzecia brama opublikowanej nakładem „Wydawnictwa Literackiego”. Nie wiem – zbyt wcześnie, aby wydawca w miarę jednoznacznie opinie.

14. I wreszcie trzecie spotkanie fantastyki z wyobraźnią. „Prześledzenie zmian jakim podlegają klasyczne toposy i romantyczne fantazmaty w ujęciu współczesnych fantazyjotwórców”. Przy nam się szczerze, że takiego zadania sobie nie stawiam. Słownik nie jest aż tak pomyślany. Ma raczej popularyzować, przypominać, proponować pierwsze, niesmiałe oceny dorobku autora (to przy literaturze współczesnej). Pełna funkcja informatora krytycznego, daleko mu do syntez historyczno-literackich. Autor polemiki jest specjalistą w wybranej przez siebie dziedzinie – doskonałym znawcą twórczości Micrinskigo. Ja z ogromnym trudem zbieram materiał do prezentacji selektywnej, autorów różnych epok. Praca to benedyktynska przyzwyczajająca – jak sądzę – na pewien stopień ogólności. To czego żąda pan Gutowski byłoby nadto zaprzeczeniem popularności, postępowało w kierunku specjalistycznej syntezy naukowej i „przeciętnej” czytelnicy wspomnianym faktem byłoby mocno oburzeni.

I wreszcie sprawa ostatnia. Nie zawieram nigdy „magii tytułu” przy prezentowaniu „pozostających kartek”. W przypadku Micrinskigo zależało mi na przypomnieniu fragmentów „Mene-Mene” ponieważ był to tekst opublikowany w pierwszym i ostatnim tomie „Pism pośmiertnych” pod red. Artura Gorskigo i Czesława Łatawca, na którego wstęp powołałem się w moim słowniku. Z pełnym przekonaniem zrezygnowałem zatem z wprowadzenia fantastyki „w węższym znaczeniu”. Nie dorabiałem do tekstu Micrinskigo fantastycznych interpretacji – wystarczył zajrzeć do przywoływanego w bibliografii studium: Marii Podraży-Kwiatkowskiej, aby przekonać się, że korzystałem z inspiracji w studium.

O tym, że Micrinski był jednym z najbardziej oryginalnych autorów przełomu XIX i XX wieku starałem się napisać. Ale z polemiki Wojciecha Gutowskiego wynika nado, że był autorem wybitnym. Trudno z tym twierdzeniem polemizować. De gustibus non est disputandum. Ale mimo wszystko doradzałbym ostrożność. Jak to brzmiało? „Był autorem kontrowersyjnym”? No, własnie.

1978 (ciąg dalszy)

- 1293.** KURTZ Carmen. *Oskar w laboratorium*. Tłum. [z hiszp.] Piotr Niklewicz. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 211, nrb. 5. 30 000 egz. – CJSF/F.
1294. PETECKI Bohdan. *Prosto w gwiazdy*. Katowice. Wyd. Śląsk. 16° ss. 250, nrb. 2. 30 000 egz.
1295. TOMASZEWSKA Maria. *Powanie*. Wyd. II. Warszawa. Kraj. Ag. Wyd. 16° ss. 56, nrb. 4. 60 000 egz.
1296. WOJTYSZKO Maciej. *Syntez*. Warszawa. Nasza Księgarnia. 16° ss. 161, nrb. 6. 20 000 egz. – CJSF/ASF.

Utopia (U):

- 1297.** BEEKMAN Aimée. *Katarynka*. Tłum. [z estońskiego] Witold Dąbrowski. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 230, nrb. 2. 10 000 egz. – Klub Interesującej Książki.
1298. BRATNY Roman. *Radość nagrobków*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 236, nrb. 4. 20 000 egz. – Elementy fantastyki.
1299. BRITTO GARCIA Luis. *Prosto w twarz*. Tłum. [z hiszp.] Anna Grodzicka. Postowie Henryk Czubala. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 187, nrb. 1. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska – Większość opowiadań fantastyki – U/AF.
1300. BRYLL Ernest. *Doświadczeni, czyli Sarnacka śpiewogra o szczęściu Nipuanów* [sztuka]. Warszawa. Inst. Wyd. Pax. 16° ss. 83, nrb. 1. 10 000 egz. – U/ASF.
1301. IWANICKI Eugeniusz. *Miałem dobrego pana*. Warszawa. Lud. Spółdz. Wyd. 16° podł. ss. 63, nrb. 2. 1000 egz. – Niektóre opowiadania fantastyki.
1302. MROZEK Sławomir. *Wybór dramatów i opowiadań*. Wyd. II w tym zest. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 417, nrb. 2. 50 000 egz. – Kolekcja Polskiej Literatury Współczesnej. – Niektóre utwory fantastyki.
1303. PRZYPKOWSKI Andrzej. *Palm City*. Warszawa. Wyd. MON. 16° ss. 322, nrb. 2. 30 000 egz. – C d poz. 1204/77.
1304. [SZEŚCZDZIESIĄT] 60 minut na godzinę. Aut. Maria Czubaszek [i in.]. Red. Marcin Wołski. Warszawa. Wydawnictwa Radia i Telewizji. 16° ss. 309, nrb. 3. 30 000 egz. – Niektóre opowiadania fantastyki.
1305. TRUCHANOWSKI Kazimierz. *Dzwony Piekła*. Wyd. II. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 201, nrb. 3. 16 000 egz. – U/ASF.
1306. VERNE [Jules]. *Tajemnicza wyspa*. T. I-II. Tłum. [z franc.] Janina Karczmarewicz-Fedorowska. Wyd. XI. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° T. I ss. 409, nrb. 7, T. II ss. 393, nrb. 7. 50 000 egz. – Klasyka Młodych.
1307. ZYLINSKA Jadwiga. *Gospoda samobójców*. Opowiadania. Wyd. II. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 187, nrb. 4. 20 000 egz.

Fantazja dla dorosłych (AF):

- 1308.** AFANASJEW Jerzy. *Laboratorium*. Gdańsk. Wyd. Morskie. 16° ss. 117, nrb. 2. 10 000 egz.
1309. BADKOWSKI Lech. *Sny*. Opowiadania. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 89, nrb. 3. 10 000 egz. – Niektóre opowiadania fantastyki.
1310. BIOY CASARES Adolfo. *Sen o bohaterach*. Tłum. [z hiszp.] i postowie Anna Jasirńska. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 183, nrb. 1. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska.
1311. BORGES Jorge Luis. *Opowiadania*. Tłum. [z hiszp.] Zofia Chądzyńska [i in.]. Postowie Rajmund Kalicki. Wyd. II [właśc. I w tym zest.]. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 380, nrb. 2. 20 000 egz. – Biblioteka Klasyki Polskiej i Obcej. – Wybór z czterech zbiorów, m.in. „Alela” i „Fikcji”.
BRITTO GARCIA L. *Prosto*. – zob. U.
1312. (?) BRZEKOWSKI Jan. *Bury nr 138*. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 121, nrb. 3. 5000 egz. – Elementy fantastyki.
1313. BUJANSKA Maria. *Paproczy*. Opowiadania. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 97, nrb. 3. 10 000 egz. – Większość opowiadań fantastyki.
1314. (?) COFINO Manuel. *Ostatnia kobieta, najdłuższa walka*. Tłum. [z hiszp.] Janina Konieczna-Twardzikowa. Postowie Henryk Czubala. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 233, nrb. 3. 10 000 egz. – Proza Iberoamerykańska. – Elementy fantastyki.
1315. [COSTER Charles Theodore Heuri de]. *Legenda, jako też bohatera, wesole i sławne przygody Dyla Sowizdrzała i Jagnuszka Poczwowca w krajach flamandzkich i gdzie indziej*. Tłum. [z franc.] Julian Rogoziński. Wstęp Romain Rolland – tłum. [z franc.] Barbara Szumanska-Grossowa. Postowie Theum de Vries – tłum. [z flamandzkiego?] Czesław Przymusiński. Wyd. III. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 493, nrb. 3. 30 000 egz. – Na k. tyt. aut. Karol de Coster.
1316. [DOSTOJEVSKI Fiodor]. *Łagodna*. Opowiadanie fantastyczne. Tłum. [z ros.] Gabriel Karski. Komentarz Wanda Jesionowska. Wyd. IV. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 8° ss. 55, nrb. 1. 30 000 egz. – Biblioteka Lektur Szkolnych. – Na k. tyt. aut. Fiodor Dostojewski.
1317. DRZEŻDŻON Jan. *Kraina Patałonków*. Warszawa. Iskry. 16° ss. 209, nrb. 5. 20 000 egz. – AF/CJF.
1318. ENDE Michael. *Momo, czyli Osobliwa historia o złodziejach czasu i o dziecku, które zwróciło ludziom skradziony im czas*. Tłum. [z niem.] Teresa Jętkiewicz. Warszawa. Nasza Księgarnia. 8° ss. 216, nrb. 4. 20 000 egz. – AF/CJF.
1319. (?) FRONCZEK Zbigniew Włodzimierz. *Tam, skąd pociągi odchodzą rzadko, a może wcale*. Lublin. Wyd. Lubelskie. 16° ss. 154, nrb. 2. 10 000 egz. – Elementy fantastyki.
1320. GRIN [właśc. GRINÉVSKIJ] [Aleksandr]. *Biegająca po falach*. Tłum. [z ros.] Irena Piotrowska. Wyd. IV. Warszawa. Iskry. 8° ss. 281, nrb. 3, tabl. 1. 45 000 egz. – Na k. tyt. aut. Aleksander Grin. – AF/CJF.
1321. HAUFF Wilhelm. *Fantazja z piwnicy bremeńskiego ratusza. Przyjaciółom wina podarunek jesienny*. Tłum. [z niem.] Zbigniew Fonlerko. Warszawa. Państw. Inst. Wyd. 16° ss. 47, nrb. 1. 20 000 egz. – Seria z Jednorozcem.
1322. JAWORSKI Roman. *Historie maniaków*. Wyd. I powoj., uzup. Postowie Bogusława Chęłmianiak i Teresa Podowska. Przedmowa Michał Otowiński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 308, nrb. 4, tabl. 10, w tym portrety. 10 000 egz.
1323. KARINTHY Ferenc. *Noc Don Juana*. Tłum. [z węg.] Andrzej Sieroszewski. Warszawa. Czytelnik. 16° ss. 120, nrb. 3. 30 000 egz.
1324. MURDOCH Iris. *Jednorozec*. Tłum. [z ang.] i postowie Juliusz Kydryński. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 238, nrb. 2. 20 000 egz. – Seria Fantastyki i Grozy. – AF/W.
1325. PORTILLO Y PACHEDO José Lopez. *Quetzalcoatl*. Tłum. [z hiszp.] i koment. Danuta Rycerz. Kraków. Wyd. Literackie. 16° ss. 136, nrb. 4. 10 000 egz.

cdn.

Przygotował Jacek Izworski

C o tu pisać z okazji wydania polskiego przekładu „Fundacji” Isaaca Asimova? Wypada paść na kolana i bijąc pokłony oddawać hołd autorowi, dziękować mu, że zezwolił na „złotówkową” publikację powieści i dziękować wydawcy, że wpadł na pomysł pokazania „Fundacji”, że udało mu się wynegocjować z agentem literackim Asimova zezwolenie na druk. Cóż więcej? Zagiądam do jakiejś podręcznej historii SF a tu ocena, że trzy tomy „Fundacji” to jeden

nie świeci już przy nich tak jasno, jakby nam świeciła kilkanaście lat temu. Ale też taki jest nasz los, tu na prowincji, w czasach kryzysu, kiedy i tak udaje się – mimo wszystko – nadrobić niektóre zaległości wydawnicze i w ogóle kulturalne (a to wydrukujemy sobie Gombrowicza, a to Johnny Cash przyjedzie), a czasami nawet jesteśmy „w kursie” („Imię róży” Ecco już było do kupienia, nowy film Felliniego do obejrzenia). „Fundacja” u nas, w trzydziści kil-

dziesięciu się mówi religijnie i ich wykorzystaniu dla celów politycznych. Chciałem napisać, że powieść Asimova jest powieścią o społeczeństwie, ale właściwie lepszym określeniem będzie, iż jest to powieść o mechanizmach historii i dopiero poprzez nie pokazuje ona dzieje społeczeństw. W tych socjologicznych zainteresowaniach nie był zresztą Asimov odosobniony na przełomie lat czterdziestych i pięćdziesiątych. Kiedy o przeszłości SF myślimy potocznie i szybko, wystarcza nam przekonanie, że były to czasy rozkwitu „twardej”, „technologicznej” fantastyki zaś fascynowanej naukowo-technicznymi możliwościami cywilizacji ludzkiej. Tymczasem jednak przecież w 1949 roku ukazał się „1984” Orwell (niech mi bóg literatury odpuści takie bezpardonowe zaliczenie tej powieści do SF), w 1952 wydano „Pranole” Vonneguta, też w dużym stopniu powieść „społeczną”, dwa lata później Bradbury opublikował „451° Fahrenheit”. Coś się więc już wtedy działo pod tą maskującą wszystko skórą gatunku. I wszystkie wymienione powieści znaczą wiele właściwie nie tylko w obrębie SF, ale w ogóle w światowej literaturze. Może więc „Fundacja” była ogniwem większego, rozleglejszego procesu literackiego, który spokojnie sobie dojrzał, nim, ujawnił się po upływie lat? Ale nie miejsce tu, w krótkim powitaniu polskiego przekładu ważnej powieści Asimova, na rozważanie tego. Po prostu, jest „Fundacja”, czekamy na kolejne tomy.

Leszek Bugajski

Isaac Asimov: *Fundacja*. Przełożył Andrzej Janowski. Wydawnictwo Poznańskie, Poznań 1987, Cena 220 zł

NA KOLANACH

z najlepszych na świecie cyklów powieściowych w obrębie SF, zagiądam do innych, a tam wszędzie Asimov i Asimov. I same pochwały. Ktoś bąknie, że mu się nie podoba jakaś nowela, ktoś się skrzywi półgębkiem, ale generalnie wszyscy z szacunkiem piszą o twórcy „Trzech praw robotyki” o pisarzu, za sprawą którego SF doznała „objawienia” (to James Gunn), który to i tamto. No więc padłem na kolana i przeczytałem po raz kolejny pierwszą część „Fundacji”, a potem rozpocząłem czekanie na „Foundation and Empire” oraz „Second Empire”, nie śmiąc czekać na dalsze, te najnowsze tomy legendarnego cyklu.

Na kolanach czyta się niewygodnie, ale się czyta. Powieść jest istotnie świetna i fundamentalna, lecz też upływ lat zaszkodził jej co nieco. Oczywiście sama w sobie jako utwór zamknięty i pełny, sprawdza się znakomicie, jednak w trakcie lektury należy chyba zapomnieć, że wokół niej i właściwie z niej wyrósł las innych powieści, gąszcz propozycji sprawających, iż „Fundacja”

ka lat po światowej premierze, nie jest więc powodem do dumy, ale do zadowolenia. Lepiej późno niż wcale.

Rozległa, rozciągnięta na wiele setek lat opowieść o losie osadników z planety Terminus, mimo swej złożoności nabiera pod piórem Asimova dynamiki i poszczególne jej wątki łączą się w logiczny spój. To ważne, bo powieść nie posiada ciągłej narracji, ale pokazuje tylko fragmenty z dziejów Fundacji (tak bowiem ostatecznie nazwano cywilizację Terminusa). Fundacja zorganizowana pod pozorem stworzenia „Encyklopedii Galaktycznej” miała w istocie uratować co się da z cywilizacyjnego dorobku chylącego się ku upadkowi potężnego Imperium galaktycznego. Jego upadek (rozpad wewnętrzny) został przewidziany przez Hrabiego Seldona, twórcę nowej nauki: psychohistorii.

Cała ta opowieść o losie Fundacji jest jednocześnie niezwykle zajmująca opowieścią o tworzeniu się społeczeństw, o sprawowaniu władzy, o walce o nią, o ro-

N iewesołe to, ale chyba i nieuniknione – pierwszy tom pięcioksięgu Isaaca Asimova, „Fundację”, otrzymaliśmy do ręki w 1987 roku. Tom piąty, „Foundation and Earth” („Fundacja i Ziemia”) ukazał się w USA z datą 1986 roku.

Łatwo dziś mówić źle o klasykach dawnej fantastyki naukowej, łatwo jest mówić źle o niej samej, rozważając kryzysy, preterencje czytelnice, schyłki i zmierzchy. Łatwo jest głosować na fantasy, a jeszcze łatwiej ją polubić w przekonaniu, że bywa wystarczająco zła. Najtrudniej zaś przyznać się do ignorancji, do niewiedzy i do tego, że nie uda nam się wyjść poza jej granice. Historii fantastyki naukowej nie ma bez dwóch (dziś już potocznych w jeden) cykli Asimova: „cesarskiego” i „robotowego”. Nawet gdyby już niedługo udało nam się (jakimś cudem) je przeczytać, nie poznamy ich nigdy. Czas, w którym trzeba było powieści te czytać młodzi, interesujący nas już inne problemy i dziś oglądamy „Fundację” jak koronacyjny klejnot, leżący w gablotce w zatłoczonym muzeum, którego świetność minęła wraz z królestwem.

O czwartym tomie cyklu cesarskiego pisałem w „Fantastyce” (nr 11/26/1984) opowiadając o podróży, którą rozpoczął polityk pierwszej Fundacji i o tym, jak zmuszony został do podjęcia decyzji przesadzającej o losach Planu Seldona, Cesarstwa i Całej Galaktyki. „Fundacja i Ziemia” jest bezpośrednią kontynuacją „Foundation's Edge” i rozpoczyna się na tajemniczej planecie Gai, której obywatele żyją w stałym „telepatycznym” związku z otaczającym ich środowiskiem: zwierzętami, roślinami a nawet skalami i minerałami, mającymi również swój udział w dzielonej powszechnie świa-

PIERWSZY KROK W NIEZNANE

domości. Gołan Trevize, bohater „Granicy Fundacji”, wyrusza z Gai w podróż po Galaktyce w poszukiwaniu odpowiedzi na pytanie dlaczego, mocą jego decyzji, ona cała będzie musiała upodobić się do niezwykłej planety, dlaczego – w niedalekiej przyszłości – ludzie zostaną zmuszeni do rezygnacji ze znanego im i przewidzianego przez Seldona kształtu Cesarstwa, by w zamian za to stać się częścią wielkiej, powszechnej nadświadomości. Odpowiedź znaleźć ma na mitycznej już w jego czasach planecie – kolebce ludzkości, która, według niektórych źródeł nazywa się Ziemia.

„Fundacja i Ziemia” jest gigantycznym freskiem, malującym bogactwo form cywilizacyjnych wykształconych w toku ludzkiej kolonizacji Wszechświata. Jest jednocześnie najbardziej klasycznym w całej serii dziełem SF, opartym na motywie podróży. Oprócz rozmachu, z jakim motyw ten został zrealizowany, trudno ją w myśl współczesnych kryteriów za coś więcej pochwalić: bohaterowie lecą na planetę, lądują na niej, oglądają i oceniają kulturę, z którą się zetknęli po czym startują i lecą dalej. Z ułamek otrzymanych po drodze wiadomości przeprowadzonych przez telepatyczny komputer, rekonstruują wiedzę o Ziemi i w końcu potrafią już powiedzieć, w którym zakątku Kosmosu należy jej szukać. I jak ją można rozpoznać.

„Fundacja i Ziemia” nie obroniłaby się zapewne przed piórem surowego krytyka jako samodzielna powieść, jest natomiast doskonałym łącznikiem między czterema

pierwszymi tomami a tomem szóstym, którego wolno się spodziewać w najbliższej przyszłości. W „Granicy Fundacji”, o czym już pisałem, Asimov rozbudował świat Galaktyki, w „Fundacji i Ziemi” uczynił pierwszy krok przez granicę, wprowadzając motyw hipotetycznego na razie niebezpieczeństwa grożącego człowiekowi ze strony równie (na razie) hipotetycznych mieszkańców innych Galaktyk. Jest to „skok” nie tyle ilościowy, co jakościowy – od znanego nam, sympatycznego Daniela Olivaw, którego Gołan Trevize spotyka na Księżycu martwej, radioaktywnej Ziemi, do miliardów rozciągających się poza tę Ziemią Galaktyk.

Polityk pierwszej Fundacji, obdarzony niezwykłą w skali Kosmosu umiejętnością wyciągania trafnych decyzji z niedostatecznej ilości przesłanek, podejmuje w końcu (tym razem z całym przekonaniem) decyzję o tym, że Galaktyka musi upodobić się do Gai, że musi stać się jednym, pełnym organizmem, jedną całością. Użyje przy tym znaczącego argumentu: w ten jedyny sposób człowiek będzie mógł odeprzeć każdy atak spoza granic jego Wszechświata. Ze zręcznością autora doskonałych kryminałów, w ostatnim zdaniu powieści, Asimov zadaje pytanie: „A co, jeśli Obcy już są wśród nas?”

To dobre pytanie.

Na odpowiedź znów przyjdzie nam chyba poczekać przeszło trzydzieści lat.

Krzysztof Sokołowski

Isaac Asimov: *Foundation and Earth*. New York, 1986

JESTEŚMY TYLKO GOŚĆMI WE WSZECHŚWIECIE

Gdy kupowałam *Delirium w Tharsys*, trzecią z kolei wydaną powieść Wiktora Żwikiewicza, jakiś pan też sięgnął po egzemplarz, przeczytał umieszczoną na okładce notkę „biograficzną” poparzył na mnie odłożył książkę i wyszedł. Rozeszmiałam się wtedy. Dziś zastanawiam się czy dla urzeczenia wiernych czytelników jeszcze jednym przyzwykłym do „Żwikiewicza wisi światła” rzeczywiście warto było ryzykować utratę czytelnika nowego, tym bardziej ze twórczości autora „Drugiej jesieni”, „Imago” oraz szeregu opowiadań, wydanych prawie w komplecie w serii „Stało się jutro”, po prostu szkoda nie znać?

Proza Żwikiewicza budzi we mnie dwa sprzeczne uczucia: podziwu i zniecierpliwienia. Gdy po pierwszej lekturze, będącej hołdem składanym oryginalności słynnego już języka, przegladam tekst po raz drugi, z jednakowym zalem stwierdzam, iż jest to „tylko” kolejny hologram na temat człowieka i ewolucji.

Najnowsza wypowiedź tego autora jest „Delirium w Tharsys” powieść zdecydowanie lepiej niż poprzednie przystosowana do potrzeb „polykającego” jeszcze fantastykę czytelnika. I choć nie brak w niej fragmentów refleksyjno-opisowych („podstuchujemy” wtedy głównego bohatera – Megaloxanthę) i mądrych dialogów, większość tekstu wypełnia wariacja akcji, oglądana co prawda, jak słusznie w swojej recenzji z „Imago” zauważył Andrzej Niewiadomski, w zwolnionym tempie. Niemniej jednak w licznych potyczkach staczanych od 35 do 305 strony książki „trup („nasz”) jakby trochę mniej niż „ich”) ściśle się gęsto”, a mający wiele z supermana Megaloxantha z zasady dopiero w ostatniej chwili wychodzi cało z najrozmaitszych opresji.

Czytanie Żwikiewicza to świetna zabawa. Oprocz efektownej, jak przystało na science fiction, organizującej cały tekst teorii, ma czytelnik do odkrycia liczne aluzje i jak zainteresowane. Łatwo na przykład masochistycznie ucieść się, iż „Towarzystwo ludzi pociąga za sobą nieuchronną degradację nie tylko umysłu, lecz i całej postaci” lub rozłósć z powodu „profanacji” pojęć Szerna czy Orzewa Kosmicznego. Można zastanawiać się, czy wędrowka Megaloxanthi przez korytarze Enklawy ma więcej wspólnego z wyprawą Dantego do piekła „po coś” czy Tezeusza do Labiryntu „przeciwko czemuś” i można też odczytywać tę powieść jako jeden ogromny, stoczoną niegdyś na poziomie Wszechświata, dziś rozgrywany w społeczeństwie i we wnętrzu każdego człowieka, dialog pomiędzy zdaniem psychoanalizy i równie silnym – pragnieniem życia i pragnieniem śmierci.

Grozą powało. Ale optymizm Żwikiewicza dotyczy ewolucji i jej najnowszych osiągnięć, w żadnym zaś wypadku przejściowej formy człowieka. Nie bez powodu „łajemniczy starzec” (37 lat) za motto swej książki obrał słowa jednego z bohaterów: „Ten świat nie jest nasz, chociaż uparcie krowy go na własny obraz i podobieństwo”. Trochę to skomplikowane, ale z wywodów Biosfery i Megaloxanthi wynika, iż my, ludzie, jesteśmy ostatnim, najdrobniejszym bytem, posiadającym jaźń i próbującym pogodzić fizyczność z duchowością, i jednocześnie pierwszym spośród zwierząt, zdolnym, chociaż tylko jako katalizator, wziąć

udział w tworzeniu prawdziwego wolnego i wiecznego Szerna. Sporo w tej konstrukcji osobliwego heglizmu i pojęć typowych raczej dla kultury hinduskiej, ale tego typu koncepcja zwykle lepiej, jest przyjmowana w ramach fantastyki naukowej niż w literaturze „w ogóle”.

Zaskoczyły mnie, zaintrygowany w „Delirium”, dwie rzeczy. Przede wszystkim czy po przeprowadzeniu autentycznej deflacji Biosfery można na temat ewolucji stworzyć coś więcej? Mnie wyobraził starca tylko na, podobne do Głosu Pana”, expose Życia – Absolutu. Na szczęście jest to zmarłowie Żwikiewicza, a od niego można wszystkiego oczekiwać.

Drugim zaskoczeniem było wprowadzenie, nietypowego przecież dla twórcy „Delirium”, wykładu, w którym dokonuje się interpretacji i przynajmniej pozornego, rozwiązania fantastycznego-naukowego zagadku. Dotychczasowe osiągnięcia Żwikiewicza (grono wielbicieli, liczne nagrody, uznanie krytyków) pozwalają stwierdzić, że to z pewnością nie brak odwagi ani umiejętności kazały pisarzowi zrezygnować z chwalebego zwyczaju zmuszania czytelnika do uważnej analizy tekstu i do myślenia. Może być to oczywiście ustępstwem na rzecz mniej wymagającego odbiorcy, lecz może być także próbą napisania Żwikiewiczowskiej, zgodnej z postulatami zawartymi w metaliterackiej warstwie „Drugiej jesieni”, wersji, znakomitego zresztą, „Robota”. Wiśniewskiego-Snerga. Jeśli było tak rzeczywiście byłoby świadkami wytoczenia naprawdę poleźnego działu.

A na razie pozostaje nam tylko czekanie na następny tom prozy Żwikiewicza. Rozpoczęliśmy już dzielne podtrzymywanie Biosfery, rozbiłszy twarz Kamiennego Szerna, mamy pewne osiągnięcia w inżynierii genetycznej i produkcji fajerków. I z Bydgoszczy do Tharsys, leżącego przecież na Ziemi – niedaleko.

Magdalena Szmit

Wiktor Żwikiewicz *Delirium w Tharsys* Pomorze Bydgoszcz 1986 Cena 350 zł

Raz, jeden próbowałam napisać na tych łamach o fantastyce kobiecej, niezbyt podobno fortunnie. Recenzja zbioru opowiadań Gabrieli Górskiej „Węzeł” spotkała się nie tylko z ostrą repliką autorki. Znamy mi czytelnicy, zgadzając się z merytoryczną oceną tomu, też mieli do mnie pretensje o bolesność sformułowań i nagłość ataku. Czemu się czepiasz kobiety? – pyta-
li.

Sam się zastanawiam. Teraz po trzech latach widzę, że w książce Górskiej zrywały mnie głównie uniki i zmiekczenia, a tym samym zmarnowana okazja. Węzeł Górski na warsztat trudny problem swobód twórczych oraz przeszkód, jakie pisarz spotyka również w sobie samym, lecz za kłopotem wszystko w kształt fabularny niezbyt satysfakcjonujący. Nie pokazała co w owej kwestii (i po stronie autorów i zwłaszcza otaczającego ich świata kontrolerów słowa) jest najbardziej drastyczne, wynaturzone, przerażające. Zamiast tego pozwoliła sobie na złośliwości pod adresem komiksów. No i stało się – wybuchłem! – pardon rzeczywiście ponad miarę.

Wracajmy do drastyczności. Kobiety, a w każdym razie większość kobiet, nie mają ręki do obrazów okrutnych do wizerunków odrażających, do precyzyjnego siedzenia jednostkowych i systemowych diabolizmów. Kobiety nie gustują w horrorze, trudno sobie wyobrazić Orwella w spodnicy. Naturalna skłonność popycha kobiety raczej ku obronie niż ku atakom, raczej ku afirmacji cnoty miłosierdzia niż demaskowaniu nienawści, raczej ku manifestowaniu indywidualnego cierpienia niż do tworzenia planów całocięciowego przeciwdziałania się zło czy przemocy. Dotyczy to na pewno autorów polskich. Taki jest klimat polskiej kultury, która nie przerobiła szkoły agresywnego feminizmu znanej choćby pisarkom amerykańskim.

Liryczne, malarskie, poetyckie i kruche jest np. prezentowane na tych łamach piśmarstwo Zofii Beszczyńskiej. Podobnie rzecz się ma ze znanymi ze zbiorów Naszej Księgarni opowiadaniem Małgorzaty Kondas czy Górskiej. Nawet! Julia Ni-

DZIEWCZYNA W SPODNIACH!

decka, autorka „Wilków na wyspie” (jednego z pierwszych tekstów zapowiadającego już w latach siedemdziesiątych falę polskiej fantastyki politycznej) pisała swe demaskatorskie opowiadanie z pozycji słabej dziewczynki. Tożez zawierało ono, podobnie jak inne opowiadania z jej tomu, „Goniący za słońcem”, dużo tej miękkości i delikatności, której oczekujemy od kobiet.

Na tym tle Emma Popik i jej debiutancki tomik „Tylko Ziemia” zaskakują konsekwentną ciemną atmosferą, bardzo chwilałami wyszukanym okrucieństwem wizerunków i wyczuwalną agresywnością. W towarzystwie naszych pań, Emma Popik wygląda na jedyną autorkę chodzącą, za przeproszeniem, w portkach na co dzień i od święta. Buduje charakterystyczne własne wzgę, zdecydowanym piórem opisuje światy po katalizmie, bądź naprawdę egzotyczne zaświaty, miewa wyraziste pomysły klarowny język, nieule operuje nastrojami. Jej opowiadania jak „Mistrz”, „Nadejście Fortymbrasa”, „Myto”, „Szaman” (niektóre z nich znane z łamów „Fantastyki”) robią silne wrażenie, czuje się w nich zacieklność i zdecydowanie. Jest to proza, którą chce się czytać.

Światy przedstawione przez Popik umiują pewną totalnością i kompletnością. Autorka nie unika nieprzyjemnych sytuacji, nie wykłada się z nich pisarskimi eufemizmami, doprowadza sytuację do krańca. Czy opowiada o nieudanej wyprawie do gwiazd, czy o oglupiających telewizyjno-senacjach, czy o podróży do fantomatycznej krainy, która zwraca nam nasze małe marzenia, czy o krachu kapłana-maga, czy o parze dogorywającej na piętrze wieżowca w świecie po atomowym

kalaklizmie, czy o zdżeczonych dzieciach – ludojadach – jej opowiadania nie sprowadzają się do zrecznie opowiedzianej historijki. Spełniają się także poza nią w oryginalnej atmosferze, w pisarskim transie, w demaskacji pokreślonej ludzkiej małości połączonej z dużymi tęsknotami, w tym szczególnym zadowoleniu, jakiego dostarcza rzecz niechby ponura, ale konsekwentna i dobrze zrobiona.

Jednocześnie klimat, konstrukcja, narracja tych opowiadań nie całkiem odstają od zarysowanych wcześniej cech piśmarstwa kobiet. Tyle że do kobiecej wrażliwości i do poetyckiej narracji, do babskiego odruchu stawiania po stronie przegranych i pokrzywdzonych dodaje Popik odwagę patrzenia okrutnym rzeczywistościom prosto w oczy. Przywykliśmy nazywać tę cechę męską – cholera wie, czy jest właśnie taka?

Opowiadana Popik zaskakują. Poetyckość łączy się w nich z fabularną bezwzględnością. Kruchość z twardością. Jest Popik gdańszczanką, w cywilu nauczycielką języka angielskiego. Może to właśnie krzyżowanie się polskiego doświadczenia i szczególnego piśmarckiego temperamentu z wpływami anglosaskimi dało w wyniku tę prozę, bardzo własną, oryginalną, w której zdają się jednak pobrzmiewać słabe echa tego co najlepsze u Ursuli Le Guin, Bradbury’ego czy może Woolfa?

Maciej Parowski

Emma Popik *Tylko Ziemia* Seria „Fantastyka. Przegląd” Iskry Warszawa 1986 Cena 160 zł

„Dwudziestego drugiego dnia siódmego Księżyca pierwszego roku okresu Szi-Ho, uczony Jang Wej-te powiedział: Chylę ku Ziemi swą osobę – oto dostrzegłem w gwiazdozbiornie Twen-Kwan pojawienie się gwiazdy-gościa. Była ona barwy lekko różowej...”

W starej kronice Sung Han-Jao tak właśnie naczelny astronom Cesarstwa Chin, Jang Wej-te, zapisał był dziwne zjawisko: na niebie pojawiła się nagle nowa, niezwykle jasna gwiazda, doskonale widoczna nawet w dzień. Nie zauważyli jej Europejczycy, zajęci wtedy sporami pomiędzy Bizancjum a Rzymem, rozłamem między Wschodem a Zachodem. Był rok 1054 i dokonywała się ostatecznie Wielka Schizma. Na ziemi polskiej panował wtedy Kazimierz Odnowiciel, któremu udało się właśnie odzyskać Śląsk.

Z tamtej strony lustra

GOŚĆ W OBŁOKU MAGELLANA

Maciej Iłowiecki

Chińczycy ucieszyli się z nowej gwiazdy – miała zwiastować cesarstwu szczyt potęgi. Nie była zresztą pierwszą tego rodzaju niezwykłością – najstarsze kroniki notowały już podobne zjawiska. Ciekawe, że nową gwiazdę w 1054 r. dostrzegli też Indianie północnoamerykańscy z plemienia Nawaho i wieść o tym niezwykłym wydarzeniu przetrwała w legendach ich plemienia.

Nowa gwiazda znikła po pewnym czasie i fakt ten zapewne musiał jeszcze bardziej zdumieć chińskich astronomów. Przestała być widoczna w dzień po 23 dobach, a po dwóch latach, w 1056 r., nikt już nie mógł jej dostrzec nawet nocą. Chińczycy (ani Indianie, ani Arabowie, którzy także zaobserwowali pojawienie się nowej gwiazdy) nie wiedzieli – nie mogli wtedy wiedzieć – skąd wziął się nagle na niebie jasno świecący punkt i dlaczego potem zbladł i zniknął bez śladu.

Minęło prawie dziesięć stuleci, zanim astronomowie pojęli, że nowe ciało niebieskie nie znikło jednak bez śladu. Pozostało po sobie tajemniczy, gigantyczny obłok rozrzedzonej materii, nazywany w XIX wieku Mgławicą Kraba (bo pierwszemu obserwatorowi obłok przypominał kraba – w istocie ma kształt okrągłego tułowia z dwoma niby szczypcami). Minęło jeszcze trochę lat i dopiero w naszym stuleciu zorientowano się, że świetlisty rozbłysk z 1054 r. oznaczał rzadkie we Wszechświecie zjawisko: niewiarygodnie silny wybuch gwiazdy i nagłą jej przemianę. Coś takiego dostrzeżono znowu w 1572 r. – nową gwiazdę obserwował i opisał duński astronom Tycho de Brahe. Niedługo potem pojawienie się kolejnej nowej gwiazdy dostrzegł w 1604 r. Johannes Kepler. Swoją drogą, cóż za zbieg okoliczności: od czasów kroniki chińskiej tajemniczy wybuch w naszej Galaktyce powtórzył się po pięciu wiekach, ale za to w ciągu krótkiego okresu 32 lat nastąpiły w różnych miejscach nieba aż dwa wybuchy i w dodatku mogły je obserwować najwięksi astronomowie tamtych czasów!

W 1934 r. znani astronomowie amerykańscy Baade i Zwicky zaproponowali, by

naśladując wybuchające gwiazdy, po których pozostają mgławice, nazwać SUPERNO-
WYMI. Miał to być szczególny rodzaj gwiazd nowych, także pojawiających się zniemacka i wielokrotnie opisywanych przez obserwatorów nieba od czasów najdawniejszych. Jednak zwykłe „nowe” mają dużo mniejszą jasność, dziś już wiadomo, że są efektem, rzec można „normalnego” wybuchu gwiazdy, wynikiem toczących się w jej wnętrzu procesów jądrowych. Wybuchająca gwiazda odrzuca zewnętrzną powłokę, powiększa się, nagle jaśnieje. Trwa to pewien czas i wkrótce gwiazda wraca do stanu poprzedniego; wybuch może się zresztą powtórzyć. Gwiazdy nowe nie są rzadkością i co roku odkrywa się w naszej Galaktyce kilka takich wybuchów. Jednak wybuch supernowej nie ma porównania z wybuchem nowej – blask gwiazdy zwiększa się nagle co najmniej 100 milionów razy, gwiazda supernowa może zaświecić miliard razy jaśniej, niż Słońce. Jest to bodaj jedna z najpotężniejszych katastrof w skali Wszechświata i może najbardziej tajemniczych; w każdej galaktyce, składającej się z miliardów gwiazd supernowa wybucha raz na kilkaset lat (w skali trwania galaktyk jest to oczywiście niestychanie często, ale w skali ludzkiego życia – bardzo rzadko). Dopiero od niedawna zaczęto poszukiwania supernowych. „Patrolując systematycznie wieleset galaktyk każdego roku można oczekiwać (o ile się nie przeoczy!) zaobserwowania jednej lub dwóch supernowych. Trudność polega na tym, że absolutnie nie wiadomo w której galaktyce nastąpi wybuch” – napisał radziecki astronom Josip Szkłowski (w swej słynnej książce „Życie gwiazd”, Wiedza Powszechna, 1982). Od kilkudziesięciu lat wszyscy badacze Kosmosu marzą o tym, by supernowa teraz właśnie pokazała się w naszej Drozdzie Mlecznej, albo chociaż w jej pobliżu. Przy dzisiejszych możliwościach technicznych nauki można by dokonać zupełnie niezwykłych badań, wydrzeć supernowej większość tajemnic, odpowiedzieć na pytania, na które wciąż nie ma odpowiedzi.

I oto w nocy z 23 na 24 lutego 1987 r. w Wielkim Obłoku Magellana pojawiła się niezmiernie jasna gwiazda, wyraźnie od tej chwili widoczna gołym okiem na południowej półkuli Ziemi. Jest to najbliższa i najjaśniejsza SUPERNOWA, jaka narodziła się w ciągu ostatnich 400 lat, od czasu tamtej z 1604 r., którą z podziwem obserwował Kepler.

Tysiące gigantycznych teleskopów nieustannie obserwuje niebo, ale supernową naszej epoki dostrzegł pierwszy Kanaadyjczyk Ian Shelton przez wcale nie największy teleskop w obserwatorium Las Campanas w Chile. W dwie godziny po nim nowe „światło niebieskie” zobaczył pewien amator z Australii, Albert Jones, obserwujący akurat Obłoki Magellana. Potem zaczęła się już lawina obserwacji i teraz supernowa „1987 A” (tak ją skromnie nazwano) jest bodaj najbardziej z Ziemi obserwowanym obiektem kosmicznym.

Obłoki Magellana są to dwie galaktyki, najbliższe Drogi Mlecznej (czyli naszej Galaktyki). Na półkuli południowej można je oglądać nawet gołym okiem; należą do tzw. lokalnej grupy galaktyk, są jakby galaktycznymi satelitami Drogi Mlecznej. Zauważył je i opisał jako mgliste, świetliste obłoki wielki żeglarz Ferdynand Magellan w czasie pierwszej podróży dookoła Ziemi na początku XVI wieku. W tamtej epoce nie wiadomo oczywiście, że są to galaktyki – skupiska olbrzymiej liczby gwiazd. Wielki Obłok Magellana odległy jest od nas o ponad 160 tysięcy lat świetlnych, Mały Obłok – około 175 tysięcy. Jak na rozmiary pustki między galaktykami jest to... bardzo blisko, choć naszej wyobraźni nie staje, by wyobrazić sobie taką odległość. Rok świetlny jest miarą drogi, którą światło, pędzące 300 tysięcy kilometrów na sekundę przebywa w ciągu 31 557 000 sekund, czyli właśnie w ciągu roku... Wynosi to 9 460 000 000 000 kilometrów, dla uproszczenia powiedzmy, że 9 i pół biliona kilometrów (bilion = 10^{12}). Otóż kilka lat świetlnych jest typową odległością między sąsiednimi gwiazdami – na przykład najbliższa nam gwiazda, Proxima Centauri, znajduje się w odległości 40 bilionów kilometrów od Słońca, promień światła przebywa tę drogę ponad 4 lata... Odkryta w lutym 1987 r. w galaktyce satelitarnej zwanej Wielkim Obłokiem Magellana supernowa „1987 A” znajduje się od nas w odległości około 163 tysięcy lat świetlnych – stanowi to zatem ponad półtora trylionu kilometrów ($\text{trylion} = 10^{18} = 1\,000\,000\,000\,000\,000\,000$). No cóż, spróbujemy sobie wyobrazić taką odległość! Powtórzę: wobec „normalnych” odległości międzygalaktycznych to prawie nic...

Ale lata świetlne są przecież jednocześnie miarą czasu, światło (w ogóle fale elektromagnetyczne) supernowej „1987 A” pędziło do nas przez 163 tysiące lat. Nocą z 23 na 24 lutego 1987 roku ludzie zobaczyli gigantyczny wybuch, który nastąpił przed 163 tysiącami lat, w czasach, kiedy na planecie zwanej Ziemią trwały początki młodszej epoki kamiennej, zaś neandertalczyk zaczynał pojmywać własną skończoność w czasie. Dużo jeszcze musiało minąć lat, zanim człowiek nauczył się spoglądać na niebo nie tylko ze strachem, ale i z ciekawością.

Jest to swoją drogą zdumiewające: właśnie teraz widać wydarzenie, które nastąpiło 163 tysiące lat temu, w początkach naszej cywilizacji. Widziana dzisiaj supernowa ma w rzeczywistości już na pewno inną postać, nie jest supernową,

jest czymś innym, być może nieprawdopodobnie ciężką, małą i ciemną gwiazdą neutronową, może zaś czarną dziurą, pulapką przestrzeni, której NIC opuścić nie może, cokolwiek by tam wpadło.

Supernowa „1987 A” wysłała więcej światła (może lepiej: wysłała przed 163 tysiącami lat), niż cała jej rodzinna galaktyka, złożona z miliardów gwiazd. Jest 6 razy jaśniejsza, niż wszystkie dotąd widziane supernowe.

O supernowych nie wiadomo zbyt wiele. Wiadomo, iż są etapem ewolucji niektórych gwiazd. W 1969 r. przedstawiono hipotezę, którą zdają się wciąż potwierdzać mozolnie zdobywane informacje o fizyce gwiazd.

Otóż (podaję naturalnie opis bardzo uproszczonej gwiazdy żyjącej zwykle tyle czasu, ile trwają w ich wnętrzu reakcje termojądrowe, przemieniające pierwiastki lekkie (od wodoru poczynając, który niewątpliwie jest twórcą Wszechświata) w ciężkie. Na ogół w takich procesach powstaje żelazo (zwane dlatego „żużlem gwiazd”), gwiazda kurczy się, ochładza i w końcu – też na pewien czas tylko – pozostaje małą kulką (porównywalną z małą przeciętną Ziemią), tzw. białym karłem. W pewnych okolicznościach procesy te przebiegają inaczej – wówczas gwiazda może rosnąć i stać się z kolei czerwonym olbrzymem – ale nie jest moim zamiarem opisywanie leżących „zwykłej” ewolucji gwiazd. Chodzi o ewolucję „niezwykłą”, o pojawienie się supernowych (powstają ich dwa rodzaje, ale mniejsza o rodzaje).

Zatem niektóre gwiazdy, kilka razy większe od Słońca, w pewnym okresie swej ewolucji produkują więcej energii, niż są w stanie wypromieniować (takie jest założenie, tłumaczące narodziny supernowej, oczywiście nie mówimy tu o szczegółach). Temperatura jądra takiej gwiazdy rośnie, rośnie także gigantyczne ciśnienie. Zachodzą kolejne reakcje przemian pierwiastków – w końcu, w jednej chwili następuje eksplozja, jakiej nie ma równych we Wszechświecie. We wszystkie strony rozbiegają się, z szybkością bliską światła – strumienie różnych cząsteczek. Dotrą one potem do Ziemi w postaci promieniowania kosmicznego. Fala uderzeniowa rozprzestrzeni się na wiele parseków (parsek = 3,26 lat świetlnych). Gwiazda zaczyna jaśnieć jak miliard Słońc, rozrzedzone strugi materii rozszerzają się nagle w mgławicowy obłok. W ciągu paru dni taka wybuchająca gwiazda może przekroczyć rozmiary całego naszego Układu Słonecznego, zaś energia wypromieniowywana przez nią w ciągu sekund sięga co najmniej 10^{48} – 10^{49} ergów (dla porównania: zwykła gwiazda, jaką jest nasze Słońce, wypromiowuje 10^{46} ergów w ciągu 100 tysięcy lat...). Obłok materii wokół wybuchającej gwiazdy supernowej rozszerza się z ogromną prędkością – na przykład pozostałość po wybuchu z 1054 r., słynna Mgławica Krab, rozszerza się z prędkością 1300 km/sek. i trwa to już ponad 900 lat, będzie jeszcze trwało długo, aż w końcu pozostałości po tamtej gwiazdzie rozpląną się w niezmierzonych przestrzeniach kosmicznych.

Z resztek supernowej powstaje najpewniej gwiazda neutronowa, przypominająca jakby jedno gigantyczne jądro atomowe. Jej gęstość jest nieprawdopodobna – taką gęstość miałoby Słońce, gdyby je ścisnąć w kulę o promieniu 10 kilometrów. 1 centymetr sześcienną materii gwiazdy neutronowej ważyłby na Ziemi... miliard ton! Gwiazdy neutronowe wysyłają stałe okresowe

sygnały radiowe – dlatego nazwano je pulsarami (dawniej myślnie, że pulsary są innym rodzajem obiektów kosmicznych) – i taki właśnie pulsar znajduje się w Mgławicy Kraba.

Niekiedy wybuch supernowej (zależy to od wielkości gwiazdy) kończy się całkowitym kolapsem grawitacyjnym, samozapadnięciem, powstaje wtedy czarna dziura – a czarne dziury, jak wiadomo, są najdziwniejszą rzeczą, jaką w ogóle można znaleźć we Wszechświecie.

Może jednak najciekawsza jest koncepcja, że skoro pierwiastki cięższe od wodoru i helu powstawały w wyniku: perwybuchów supernowych, wobec tego pierwiastki, z których my sami się składamy także „przeszły kiedyś kataklizm supernowej”. „Fenomen supernowych był niezbędny, by mógł powstać nasz Układ Planetarny, Ziemia, by wreszcie mogło na niej rozwinąć się życie i pojawić człowiek” (Jerzy Stodółkiewicz w książce „We wnętrzu Wszechświata”, Wiedza Powszechna, 1981). Supernowa mogła też ingerować w rozwój już powstałego życia. Na przykład wspomniany tu Szklowski wysunął kiedyś hipotezę, że wybuch supernowej blisko Układu Słonecznego mógł być właśnie przyczyną zagłady wielkich gadów i „skierowania” ewolucji na drogę rozwoju ssaków – i w końcu – człowieka. Bylibyśmy zatem dziećmi supernowej?

Za mało jest wciąż danych, by ostatecznie to ustalić. Ale supernowe wciąż pojawiają się w Kosmosie. Ta najnowsza, „1987 A” – rozprzestrzenia się w nową mgławicę z prędkością około 17 tysięcy km/sek., średnica nowego ciała kosmicznego jest już 10 tysięcy razy większa od Słońca. Być może, wkrótce uda się odkryć poszukiwane od lat fale grawitacyjne – tak potężny wybuch powinien je wytworzyć. Byłoby to jedno z największych odkryć tego stulecia (nie mówiąc już o możliwości dostrzeżenia wielu innych, nawet dziś nieprzewidywanych zjawisk).

My zaś możemy się cieszyć, że supernowa wybuchła tak daleko. Teoretycznie w supernową mogłoby się zamienić w ciągu sekundy sporo gwiazd, dużo bliższych Ziemi. Wówczas – w ostatniej chwili życia – zobaczylibyśmy najwspanialsze, najpiękniejsze i najpotężniejsze we Wszechświecie zjawisko przyrody. Byłoby to zresztą może koniec godny ludzi.





Różne recepty na film SF

Tak się złożyło, że twórczość Ridleya Scotta omawiałam na łamach „Fantastyki” zaczynając od jego najnowszego filmu, „Legendy”, cołając się później do „Blade Runnera”, żeby dojść wreszcie do jego pierwszego obrazu science fiction „Obcy – ósmy pasażer Nostromo”. Okazją do przypomnienia „Obcego” jest pojawienie się na polskich ekranach drugiej części filmu.

„Obcy – decydujące starcie” jest kontynuacją „najstynniejszego horroru kosmicznego”, lecz tylko w warstwie narracyjnej. Akcja pierwszej części kończyła się sceną układania się do hipersnu jedynej ocalałej z załogi „Nostromo” kobiety imieniem Ripley, która wygrała pojedynek z obcym.

Druga część rozpoczyna się w momencie odnalezienia kapsuły dryfującej od 57 lat w kosmosie przez statek tej samej korporacji, która niegdyś wysłała załogę „Nostromo” w misję do gwiazd. Bohaterka pozostaje ciągle w szoku spowodowanym minionymi wydarzeniami, w które nikt nie chce uwierzyć. Na planecie, gdzie wylądował kiedyś statek badawczy, nie znaleziono w czasie kolejnych wypraw nic groźnego. Wysłano tam więc grupę kolonistów.

W czasie pięćdziesięciu siedmiu lat na Ziemi nie zmieniło się wiele. Nawet technika, pokazana bardzo starannie i efektownie nie uczyniła takiego skoku jakościowego, który uniemożliwiłby pilotce powrót do czynności zawodowych. Na przeszkodzie stają jednak ludzie, których mentalność i motywacje też nie uległy zmianie. Dla konsorcjum najważniejsza jest strata statku, nikt nie pamięta o załodze, która zginęła przed pół wiekiem!

Prerażona Ripley usiłuje tłumaczyć co grozi wysłanym z akcją kolonizacyjną rodzinom. Bezskutecznie. Aż do chwili gdy kontakt z planetą nagle ulega zerwaniu...

Wszelkie kontynuacje czy przeróbki filmów, zwłaszcza znanych czy wręcz sławnych, zachęcają do porównań. W przypad-

ku „Obcego” jest to tym bardziej kuszące, że obie części zostały zrealizowane przez dwóch różnych reżyserów. Ridley Scott to jeden z najwybitniejszych twórców kina science fiction, stawiany obok takich tuzów gatunku jak Kubrick czy Carpenter. Popularność drugiego z reżyserów – Jamesa Camerona – jest już późniejszej daty, ale po sukcesie „Elektronicznego mordercy” (patrz: „Fantastyka” nr 4/87) jego nazwisko stało się bardzo głośne.

Obaj reżyserzy rozpoczęli jako graficy. A jednak ich twórczość filmowa jest odmienna. Jako filmowiec Ridley Scott zaczął od filmów reklamowych. Z tego okresu pozostała mu pasja tworzenia bogatych wizualnie i konstrukcyjnie obrazów. Plan każdej kręconej przez niego sceny (przy czym on sam stał zawsze za kamerą) jest dokładnie rozpisywany i rozrysowany. Dla sprawdzenia wyników pracy używa równolegle kamery wideo. Sam nadzoruje wykonanie kostiumów, dekoracji, ustawienia światła, przygotowania efektów specjalnych i trików optycznych.

W „Obcym – ósmym pasażerze Nostromo” Ridley Scott stworzył atmosferę jakby z filmów Hitchcocka – groza budowana jest starannie przy pomocy drobnych, niegroźnych z pozoru zdarzeń. Lęk budzi zło, które jest nieokreślone do końca.

James Cameron od zawodu grafika przeszedł do pracy nad efektami specjalnymi. On także pracuje nad filmem rozrysowując dokładnie sceny, w których każdy szczegół musi być precyzyjnie ustalony. Ale dla niego jest to tylko sposób porozumiewania się z innymi ludźmi pracującymi przy robieniu filmu – aktorami, kaskaderami, technikami. Kiedy sam robi jakąś scenę, ma ją „w głowie”. Camerona fascynują komiksy, które są dla niego kwintesencją wizualnej narracji.

Dlatego też, gdy Scott snuje wokół nas pajęcza sieć, Cameron pędzi prosto do celu. Od obrazu do obrazu. Od zdarzenia do zdarzenia. W drugiej części „Obcego”

po pierwszych sekwencjach przypominających widzowi historię „Nostromo”, akcja zaczyna toczyć się w stylu „Elektronicznego mordercy”.

Na ratunek kolonistom (po zerwaniu kontaktu z planetą nikt już nie twierdzi, że zagrożenie przed którym przestrzegała Ripley jest bezpodstawne) skierowana zostaje grupa komandosów do zadań specjalnych. Nie brak wśród nich robota (czy jak sam woli być nazywany – syntetycznego człowieka). Jest to jedna z wielu reminiscencji scenariusza części pierwszej.

Po wylądowaniu na planecie komandosi rozpoczynają akcję bojową. Jednak tym razem ich strategia zawodzi. Okazuje się, że małe dziecko (dziewczynka imieniem Newt) potrafi skuteczniej przetrwać w sytuacji, gdy bezradni są uzbrojeni po zęby specje.

W filmie Scotta zło przez dużą część filmu jest nieznane. Załoga nie wie z kim walczy (wizję scenograficzną filmu zawdzięczał szwajcarskiemu malarzowi-surrealistie H.G. Gigerowi). Pod kostiumem horroru niósł głębsze przesłanie – jak łatwo można zniszczyć swoją rasę przez zwykłą nieostrożność, lub głupotę (jeszcze jedna odmiana stwierdzenia: wiemy, że nic nie wiemy). Zgodnie z inną interpretacją ukazywał, że grożące nam zło tkwi w nas samych (symboliczna scena wydobywania się obcego z człowieka).

Cameron decydując się na nakręcenie drugiej części wiedział, że musi zrezygnować z tego, co stanowiło o atrakcyjności pierwowzoru – tajemniczości, niedopowiedzenia. Tak więc od samego początku było wiadomo, że powstanie zupełnie inny film.

W „Obcym – decydującym starciu” nie ma miejsca na refleksję, na budowanie atmosfery strachu. Kompensowane jest to szybkością akcji i ilością wrogów. W pierwszej części wystarczył jeden obcy, w drugiej mamy do czynienia z całą ich kolonią.

W obu filmach w roli Ripley wystąpiła Sigourney Weaver. Stworzyła ona kreację pełną pasji, udało się jej przy tym uchronić od przeszarżowania i śmieszności. Rola sprawnego zawodowo pilota nie przeszkodziła jej ukazać się również jako ciepłej, pełnej uroku kobiecie, zwłaszcza w scenach z Newt.

Podobnie jak w „Elektronicznym mordercy” Cameron obsadził w głównej roli męskiej sympatycznego Michaela Biehna, maskującego nieśmiałość pozorną szorstkością, a skrywającego we wnętrzu skarby uczuć.

„Obcy – decydujące starcie” nie ma w sobie nic, co mogłoby przyćmić „Obcego – ósmego pasażera Nostromo”, ale jest to film niezwykle efektowny, sprawnie zrobiony i całkowicie zasłużył na swą popularność. Myślę, że jego związek z filmem Ridleya Scotta to jedyna rzecz, która mu zaszkodziła.

Dorota Malinowska

OBCE – ÓSMY PASAŻER NOSTROMO (Alien). Reżyseria: Ridley Scott. Scenariusz: Dan O'Bannon. Efekty wizualne: H.R. Giger, Carlo Rambaldi, Brian Johnson, Nick Allder, Denys Ayling (film otrzymał za efekty wizualne Oscara). Obsada: Tom Skerritt, Sigourney Weaver, Veronica Cartwright, Harry Dean Stanton, John Hurt, Ian Holm, Yaphet Kotto. USA, 1979.

OBCE – DECYDUJĄCE STARCIE (Aliens). Reżyseria: James Cameron. Scenariusz: James Cameron. Obsada: Sigourney Weaver, Carrie Henn, Michael Biehn, Paul Reiser, Lance Henriksen, Bill Paxton. USA, 1986.

Hisaki Yasuda, którego prace z przyjemnością przedstawiam w tym wydaniu „Galerii”, jest młodym i elegancko noszącym się człowiekiem. Jeździ zagranicznym wozem o sportowej sylwetce, co w Japonii również jest wyznacznikiem sukcesu zawodowego. Ukończył projektowanie form przemysłowych na uniwersytecie Chiba, lecz obecnie ogranicza się do reklamowania tychże. Superrealistyczne wizerunki obiektów przemysłowych takich jak kamera wideo (w przekroju), nowy typ felgi czy przerzutka rowerowa są – jak twierdzi – podstawą jego utrzymania. Pozornie proste, noszą te obrazy piętno innego niż potoczne myślenia. Ich autor przez odpowiednią kolorystykę i układ przedmiotów, zdradza swoje inspiracje – zaczerpnięte zarówno z tradycji malarstwa surrealistycznego, jak i – według mnie – z niemalże mistycznego przeżycia tematu.

Twórczość Yasudy w dziedzinie „fantastycznej” przebiega na dwu płaszczyznach. Realizuje on zamówione ilustracje do konkretnych wydawnictw i tekstów, lecz po pracy – przemienia się w demniurga własnego świata. Od kilku lat pracuje on nad cyklem kartonów pod wspólną nazwą „Miasło”. Píše japoński krytyk, pani Akiko Hyuga („Idea” 5 85): (...) *superrealistycznie przedstawione sceny pustacz wzdłuż estakad Tokyo Bay mają posmak planety Solaris; to pustynia, w której rosna struktury podobne modelom, nie ma tu śladu życia. Zimna technika malarska nadaje obiektom wrażenie prawie dotykalne.*

Naprawdę tak jest w Tokyo Bay. Lecz obrazy pana Yasudy, przedstawiające pustą stację kolejki i cementowe konstrukcje autostrad nie są prostą kliszą rzeczywistości. Są jej obrazem, może istotnie cieniem w znaczeniu platońskim, przefiltrowanym przez umysł twórczy, nie poddający się zbyt łatwo marzeniom i skłonny do refleksji.

Hisaki Yasuda, przedstawiciel kultury o korzeniach: starszych niż nasza srodiemnomorska – nie boi się rzeczywistości i



Fot. Maria Wujala

współczesności. Jego „fantastyczne światy” mają w sobie wyraz i mistycznego przeżycia, i leków mieszkańca „światowej wioski”. Opowiada nam Yasuda, nie zostawiając odcisków palców, co wydarza się, gdy zabraknie człowieka. Nie afirmuje on zastanej rzeczywistości, jego sztuka jest raczej zreczną konstatacją nie pozbawioną pytań – formułowanych w prosty, choć ekstremalny sposób. Ze słynnych pytań Gauguina „Skąd przychodzimy? Kim jesteśmy? Dokąd idziemy?” Yasuda akcentuje ostatnie, odpowiadając swoją twórczością na poprzednie.

Nie chcę tym krótkim wywodem sugerować, że twórczość artystów jest rodzajem sportu; w tych zawodach wygrywają tylko widzowie, i to ci, którzy sprawniej odczytują kody i znaki stawiane przez tych kuglarzy ludzka wyobraźnia. Żałować mi jedynie wypada, że podłym drukiem pozbawiamy się możliwości uczestniczenia w kontemplacji kartonów Hisaki Yasudy.

Mam nadzieję, że ich autor, człowiek łagodny i uprzejmy, nadto muzykalny, nie jest ostatnim reprezentantem Japonii w naszej „Galerii”.

Marek Zalejski



Okladka do „Isaac Asimov's Science Fiction Magazine”